

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

ProLibris

PROGRESJA

Nr 3-4(64-65) Zielona Góra 2018 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Leonora Carrington
1909

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Michał Hrisulidis

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2018

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Layout
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Robert Rudiak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott,
Joanna Wawryk

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, archiwum R. Rudiaka, Alicja Błazyńska, Paweł Brol, Aneta Michałowska,
ze zbiorów Huberta Kopacza, ze zbiorów Klaudii Małagockiej

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida

Druk i oprawa
Dual Studio Bartosz Zajac

Nakład – 250 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Przepiękna tegoroczna jesień skłania do romantycznych spacerów, brodzenia w różnobarwnym li-stowiu, napawania się zapachem opadłych liści, podziwiania cudownych kolorów natury. Mamy nadzieję, że między refleksyjnymi spacerami znajdą Państwo czas na lekturę tekstów, których bogactwo pomieszczono w numerze utrzymanym w dłoniach.

Aktualny „Pro Libris” zawiera pozornie standardowy zestaw tekstów, składający się m.in. z nowych wierszy nadesłanych przez uznanych lubuskich twórców, jak Władysław Łazuka czy Karol Graczyk. Pragniemy również zwrócić uwagę, że pojawia się świeży narybek w postaci dojrzałych wiekowo autorów, jak Halina Jerulank, Krzysztof Bąkowski, Elżbieta Dybalska oraz poetów młodych, którzy debiutują na łamach naszego pisma (Justyna Stachura, Klaudia Małagocka, Anna Witkowska). Podobnie rzecz się ma z prozaikami, felietonistami i recenzentami. Teksty Mirosławy Szott, Czesława Sobkowiaka, Edwarda Derylaka, Adama Bolesława Wierzbickiego, Renaty Diaków, Wojciecha Śmigiełskiego, Joanny Kapicy-Curzytek czy Marcina Radwańskiego niejednokrotnie mieli Państwo okazję czytać na łamach „Pro Libris”. Dołączyli do nich zupełnie nowi autorzy: Sandra Stempniewska, Klaudia Małagocka (w potrójnej roli – poetki, reportażystki i recenzentki), wspomniana wcześniej Anna Witkowska, która próbuje sił także jako prozatorka, Klaudiusz Mirek, Aga-

ta Poważńska, Hubert Kopacz, Barbara Curzytek, Piotr Gulewski. Cieszy, że tak znacznie poszerzają się kręgi osób piszących, wnoszących nowe trendy do rodzimej literatury.

Wśród zaprezentowanych autorów warto przyrzeć się tegorocznym laureatom konkursów literackich – Bartoszowi Konstratowi i Edycie Wysockiej, uhonorowanym wysokimi nagrodami w 19. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszyty w Kargowej. Polecamy także tekst Andrzeja Bucka, obszernie podsumowujący tegoroczną edycję imprezy na stałe wpisanej w kalendarz kulturalny województwa lubuskiego pn. Festiwal Filmu i Teatru. Kozzi Gangsta Film. W numerze pomieszczono też zapowiedź atrakcyjnego programu 8. Prozy Poetów. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej autorstwa Doroty Kaczmarek.

W materiale Aliny Kruk żegnamy zaprzyjaźnioną poetkę Barbarę Konarską, która odeszła w tym roku. Zachęcamy Państwa również do zapoznania się z recenzjami najważniejszych książek, które ukazały się na regionalnym rynku wydawniczym w ostatnim czasie.

Całość numeru uświetnia twórczość Michała Hrisulidisa, znakomitego malarza, rysownika, scenografa, ilustratora, który zechciał podzielić się z Czytelnikami swą sztuką.

Spis treści

Edward Derylak, Pan od Znaczków	6
Krzysztof Bąkowski, Wiersze [*** nocne koty..., *** stoję przed lustrem..., *** wystarczyłoby..., *** jeden rysownik...]	9
Marcin Radwański, Przeznaczenie	13
Karol Graczyk, Wiersze [*** Urodziłem się nagi..., Wieczne sny, Retrospekcja, Podróże]	17
Sandra Stempniewska, Agelia	21
Justyna Stachura, Wiersze [Anglia, Niepotrzebny sen]	27
Czesław Sobkowiak, Prozy	29
Elżbieta Dybalska, Wiersze [*** Porozwieszane skrzydła..., *** Jesteś pokojem...]	32
Bartosz Konstrat, Taka sobie opowieść	34
Władysław Łazuka, Wiersze [Ku jesieni, Bez odpowiedzi, Mój bluesie, Zima]	38
Edyta Wysocka, Ślady dzieciństwa	42
Halina Jerulank, Wiersze [Zakłopotanie, *** Nie mam nic..., Czerwony mak, *** Noc się skrada...]	46
Adam Bolesław Wierzbicki, Pokój temu domowi	50
Klaudia Małagocka, Wiersze [Alice, Ewa]	54
Anna Witkowska, Astronauta, Opowiadanie wilka	56
Anna Witkowska, Wiersze [Nie boję się, Księżyc, Nie potrafię, Chropowatość]	58

ZBLIŻENIA

Odeszła Barbara Konarska. [Rozmowę z Barbarą Konarską przeprowadziła Alina Kruk]	63
Alina Kruk, Na pożegnanie Basi Konarskiej	66
Musiałem wiele spraw zaczynać niemal od zera. [Rozmowę z Władysławem Klepką, przeprowadziła Mirosława Szott]	67
Robert Rudiak, Helena i Zygmunt Rutkowscy – pierwsi autorzy lubuskich baśni	73
Jerzy Szewczyk, On był jeden. Wspomnienie o Zdzisławie Grudniu 77	
Robert Rudiak, Początki baśni lubuskiej (część 3)	80
Klaudia Małagocka, W poszukiwaniu wolności. Reportaż o Festiwalu Woodstock w Kostrzynie nad Odrą (Pol'and'Rock Festiwal)	86
Klaudiusz Mirek, Wprowadzenie do <i>Krwio pijcy</i>	90
Agata Poważńska, <i>Krwio pijcy</i>	91
Andrzej Buck, Teatralno-filmowe emocje za nami. Podsumowanie 4. Festiwalu Filmu i Teatru <i>Kozzi Holoubek Głowacki</i>	95
Dorota Kaczmarek, Projekt Tokarska	101
Czesław Sobkowiak, W stronę piękna	104

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	106
-------------------------------	-----

PREZENTACJE

Michał Hrisulidis	108
Wojciech Śmigieński, Michała Hrisulidisa przypisy do człowieka	109

VARIA

Hubert Kopacz, Nikomu nie utrudniać życia – niech pan pamięta te słowa Miłosza. Wspomnienie o Julii Hartwig	114
Renata Diaków, O pisaniu	118
Barbara Curzytek, Arnulfo Briceño: wszechstronny kompozytor i kolumbijski folklor	120
Wojciech Śmigieński, Komentarz do nieodbytego wieczoru autorskiego	123
Piotr Gulewski, Light novel	125

RECENZJE I OMÓWIENIA

Piękne z bólu ocalenie Barbara Konarska, <i>Ślodycz imbiru</i> (Mirosława Szott)	126
Morderstwo w butelce Krzysztof Koziołek, <i>Wzgórze Piastów</i> (Klaudiusz Mirek)	128
Słyszająca, niesłyszająca, nieposłuszna Agnieszka Leśniewska, <i>Wyprawa w częstochowskie</i> (Martyna Budnik)	129
Uwznioślenie i mistycyzm Winston Morales Chavarro, <i>Śłodka Aniquirona</i> (Czesław Sobkowiak)	130
Poznańskie peregrynacje naukowe Rafał Reczek, <i>Pielgrzymowanie w PRL na przykładzie pieszych pielgrzymek Duszpasterstwa Rolników Diecezji Gorzowskiej z Klenicy do Częstochowy w latach 1984-1989</i> (Daniel Koteluk)	131
Słowa jak klucze Elżbieta Skorupska-Raczyńska, <i>Klucze</i> (Agnieszka Aleksandrowicz)	132
Wiersze z różnych lat Halina Jerulank, <i>Przed Tobą</i> (Czesław Sobkowiak)	134
Rejs po wywiadzie rzece (rzece Wiśle) Marcin Świetlicki, Rafał Księżyk, <i>Nieprzysiadalność. Autobiografia</i> (Klaudia Małagocka)	134
Obcowanie z wielkością Zbigniew Kulik, <i>Tadeusz Różewicz w Karkonoszach i Tadeusz Różewicz w fotografii</i> (Czesław Sobkowiak)	136
Proza z malarstwem Zdzisława Beksińskiego w tle Nadieżda Myszlennik, <i>Rabunek i Maski</i> (Czesław Sobkowiak)	137
Są tacy i tacy wśród Niemców Ewa Wanat, <i>Deutsche nasz. Reportaże berlińskie</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	138
Długi rejs Galery Igor Myszkievicz, <i>Galeria Twórców Galera. XX lat rejsu</i> (Alina Polak-Woźniak)	140
Miedzy rzekami Bronisława Raszkievicz, <i>Nad Żejmianą i Odrą</i> (Elżbieta Brygida Kościucha)	141
Słowa, obrazy, dźwięki... w poezji Tomasza Jankowskiego Tomasz Jankowski, <i>Skrzydła motyla</i> (Anna Wiwiana Szewczuk)	143

KSIAŻKI NADEŚLANE	144
AUTORZY NUMERU	145
FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ. 8. PROZA POETÓW	150

Pan od Znaczków

Często go można było spotkać w mieście. Niski, o szczupłej posturze, starszy pan w wysłużonej, niebieskiej marynarce, krawacie i kaszkiecie na głowie. Zawsze pogodny, chętny do rozmowy. Przed laty był częstym gościem w szkołach. Prowadził koła filatelistyczne, organizował wystawy, potrafił skupić wokół siebie małych zapaleńców filatelistyki. Jednak dzieci, które z wypiekami na twarzy przewracały kartki klaserów i drżącymi rękami, by nie uszkodzić, pincetą podnosiły do oczu kolorowe papierowe cudeńka, teraz matkują swoim dzieciom albo są ojcami rodzin. A ich dzieciinne zapomniane klasery spoczywają zakurzone w piwnicznych kartonach. Kolejne, trzecie już pokolenie tych ze szkolnych kół filatelistycznych głowę zaprząta sobie wypasionymi smartfonami i wirtualnym światem. A znaczki? Chyba że Nike, Big Star, 4F, Adidas jako metki markowych ciuchów i butów – to i owszem.

Jego klasery spoczywają na regale i spędzają mu sen z powiek. Co dalej? Komu przekazać wartościowe zbiory gromadzone przez dziesiątki lat – dzieło swojego życia? Coś niebezpiecznie ścisła go w środku na myśl, że to wszystko ulegnie roztrwonieniu. Najpierw pokładał nadzieję w dzieciach, ale szybko się przekonał, że tej pasji z pewnością nie odziedziczą. Doczekał się wnuków i z nadzieją pomyślał, że może one... Od małości z benedyktyńską cierpliwością za rękę wprowadzał je w świat kopert, stempli i kolorowych znaczków. W efekcie z trójki tylko najmłodsza, Igiełka (dziadkowej postury dziewczynka), o imieniu Zosia, budzi pewne nadzieje. I kiedyś zwierzył się, że wszystko jest na dobrej drodze, wnuczka ma odpowiednią do wieku wiedzę, cierpliwość i zamiłowanie. Będzie mógł odejść spokojny. Oprócz wykrytych ostatnio szmerów – z uśmiechem nazywał tak migotania przedsionków – nic innego mu nie dolega. – Ale – pokiwawszy głową – trzeba już liczyć się z ostatecznością.

Znałem go zaledwie od kilku lat. Kiedyś znajoma, wskazując ręką mężczyznę po drugiej stronie placu, powiedziała: – Tam idzie Pan od Znaczków, o którym ci opowiadałam. Przy następnej okazji zostałem przedstawiony. Zostaliśmy znajomymi. Wkrótce potem zaprosił mnie na spotkanie Towarzystwa Przyjaciół Zagania i odtąd spotykaliśmy się cyklicznie raz w miesiącu i niezliczoną ilość razy przypadkiem, na ulicy, w sklepie. Starszy pan chętnie opowiadał różne historie i zdarzenia. Jak choćby o początkach swojej pasji i pierwszych znaczkach. Jego ojciec pracował na pocztce i nieraz zabierał go ze sobą. Ogromny budynek, wejście z podwójnymi kolumnami po bokach i ciężkie drzwi nad kilkunastostopniowymi schodami robiły na chłopcu przytłaczające wrażenie. Do dziś pamięta ten pierwszy raz i pana o czerwonej twarzy z dużymi wąsami w pocziarskiej czapce segregującego stosy listów. Kolorowe znaczki na kopertach migały jak obrazki slajdów na ścianie. I pewnie wtedy miało miejsce to zauroczenie. Przynoszone do domu przez ojca znaczki początkowo wklejał do zeszytu. Na najbliższą Gwiazdkę otrzymał pierwszy solidny, niemiecki klaser.

Nie widziałem go przez kilka tygodni. Trochę się zaniepokoiłem. Może chory? W jego wieku wszelkie przypadłości są chlebem powszednim. Może w szpitalu? Gdy spotkaliśmy się jak zwykle przypadkiem, na chodniku, zaproponowałem kawę i weszliśmy do pobliskiej cukierni przy rogu placu. Zaczął opowiadać o swoich niedomaganiach. Z synem jeździł do różnych lekarzy, ale najważniejsza była wizyta u kardiologa.

Zgłosił się ze skierowaniem. Pani w rejestracji zastrzegła od razu, że dopiero za kilka miesięcy, na jesieni. Jak to?! Przecież nie może czekać, serce to nie ręka, że się nie umiera. Gdyby chociaż za kilka tygodni.

A tu masz! Miesiące czekania. Poirytowany mocno zaczął wymachiwać przed okienkiem papierową teczką, pękającą od opinii, skierowań, wypisów ze szpitali i orzeczeń lekarzy. Tutaj jeszcze nie był, słyszał, że to najlepszy szpital w okolicy, a oni, że dopiero „na jesieni”. Opadł z sił. Spurpurowiał. Pewnie skoczyło ciśnienie. Spoczął na ławce przy ścianie. Zrobił wrażenie na pani w rejestracji i oczekujących pacjentach. Po chwili został przywołany do okienka. Pani powiedziała, że za trzy tygodnie.

Siedział przed doktorem, który znużonym spojrzeniem oglądał kolejne papiery. Raz po raz o coś pytał. Drgnęła mu twarz, gdy wziął do ręki kliszę ze zdjęciem klatki piersiowej. Pochylił się bardziej i przesunął okulary do góry, pokiwał z niedowierzaniem głową. Przyglądał się z bliska zdjęciu i wiekowemu już pacjentowi po drugiej stronie biurka, znowu zdjęciu i znowu pacjentowi. Nic się nie odzywał. Podniósł słuchawkę telefonu. – Może pan przyjść do mnie? To ważne – powiedział krótko. Po chwili wszedł ordynator. Podeszli ze zdjęciem do okna. Lekarz podniósł je pod światło na wysokość oczu. Przyglądali się obaj z wyraźną ciekawością. Ścisłym głosem wymieniali uwagi. Poprosili pacjenta, żeby wyszedł. Potem inicjatywę przejął ordynator. Powiedział, że zabieg mogą wykonać choćby jutro, ale wiadomo – najpierw badania.

– No i zgoda na piśmie – zawiesił spojrzenie znad okularów – bo, pan rozumie, zabieg jak zabieg, nic specjalnego, ale procedury...

Powiedział, że się zastanowi.

– Wie pan, chcieli mnie wziąć na stół, ale się nie zgodziłem...

– Dlaczego?

– Rzadko co teraz jest dla nich operacją, wszystko to zabiegi, niewinne cięcia skalpelem. Najpierw kazali czekać pięć miesięcy, a teraz „choćby jutro”. Jaki zabieg?! Nie chcę zabiegu, tylko leczenia w szpitalu. Zlecieli się do rentgena jak ćmy do światła i po chwili chwytają już skalpele w łapy i miejsce na stole operacyjnym proponują. Tylko podpisać zgodę. Niedoczekanie! Stuknęła mi już przecież cztery lata temu osiemdziesiątka... Królikiem doświadczałym nie będę – zakończył. Westchnął jak po zrzućeniu ciężkiego worka z pleców. – Pan nie wie – spojrzał mi w oczy, by się upewnić, więc przecząco pokręciłem głową, bo rzeczywiście nie wiedziałem, o czym mówi. – Pan nie wie, że ja mam... – zatrzymał się w pół zdania. Sięgnął dna kilkudziesięcioletniej pamięci i po chwili znalazłem się w latach dwudziestych ubiegłego wieku w skromnym i zimnym mieszkaniu pracownika poczty. – W mieście szalała grypa – zaczął. – Miałem sześć miesięcy i trójkę starszego rodzeństwa. Od kilku dni leżałem półżywy... a może półmartwy. Podczas ostatniej wizyty doktor powiedział, że co do niego należało – uczynił. Pozostaje tylko czekać. Po jednym, dwóch dniach będzie wiadomo. Albo – albo. Albo umrze, albo przeżyje...

Słuchałem i oczami wyobraźni widziałem kobietę z pobladłą twarzą, podkrążonymi z niewyspania oczami, pochyloną nad drewnianym łóżeczkiem. Pogodzoną z tym, nawet najgorszym, co może nadejść. Przecież za drzwiami do pokoju była jeszcze trójka starszych. Teraz częściej myślała już tylko o nich, jakby to, co najgorsze, co mogło się zdarzyć, już się stało. Zawstydyła się swoich myśli, ale czyż mogła inaczej, gdy pod wypływiałą i lichą kołderką, w której utkwiła spojrzenie, nie tliła się nawet isierka. Przyłożyła dłoń do małego czoła, potem wsunęła do środka, na pierś. Poczula tylko chłód. Więc to już koniec – pomyślała. Tą tragiczną wiadomością obdarzyła budzącego się do pracy męża. Nad wyraz spokojnie, bez emocji, ustalili, że po pracy wstąpi do stolarza i kupi trumienkę, przyprowadzi też lekarza, który wypisze akt zgonu.

Kiedy została sama, westchnęła z ulgą, jakby już było po wszystkim (poniekąd było) i postawiła na blachę garnek z wodą. Przyniosła do łóżeczka taboret, na którym postawiła szeroką, emaliowaną misę. Nalała ciepłej wody. Trzeba synka umyć i ubrać. Ostatni raz zbada go jeszcze doktor, wypisze akt zgonu... – rozmyślała rzeczowo, kładąc ciało na lewej dłoni. Maczała w wodzie lnianą szmatkę i przecierała piersi i brzuszki. Potem odwróciła, podłożyła dłoń pod prawą pierś i znów zamoczyła szmatkę... Bezwiednie powtarzała te same ruchy. W pewnej chwili poczuła, że w jej ręce krew pulsuje nierównym rytmem. Wstrzymała oddech. Tętnienie powtórzyło się. Doświadczała już czegoś podobnego, ale dzisiaj to coś innego. Po

chwili odniosła wrażenie, że to jednak nie w jej dłoni. W jednej chwili zrobiło się jej gorąco. To tak... jakby małe serduszko. Zna to uczucie, nieraz trzymała kolejne maleństwa, ale... – teraz jej dłoń była pod prawą piersią dziecka. Nadzieja walczyła z rozsądkiem. Przesunęła dłoń pod lewą pierś. Nic. Tak, to tylko zwidy. Westchnęła. Tylko zwidy. Ramię już omdlewało. Położyła ciało na prawej ręce. Znowu ten puls. Nierówny, ledwie wyczuwalny. Nie, to nie jej krew pulsowała. Prawie była już pewna. Ale to niemożliwe, niemożliwe – powtarzała jeszcze w myślach. Zawinęła dziecko w ciepłą pieluszkę i na powrót umieściła w łóżeczku. W euforii oczekiwała powrotu męża.

Uradowana podbiegła do drzwi, gdy usłyszała dzwonek. Cofnęła się zaskoczona, bo zobaczyła znajomego doktora. Zapomniała o porannej rozmowie. Tuż za nim wszedł mąż. Nie spostrzegł dziwnie pogodnej twarzy żony. Postawił drewnianą trumienkę na podłodze.

– Odnies to z powrotem! – krzyknęła podekscytowana kobieta i wyciągnęła rękę w kierunku drewnianej skrzyneczki.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia: „Kobieta pewnie rozum postradała”.

– Wyoś się z tym! – krzyczała rozjuszona.

– Przecież rano mówiłaś... – oponował nieśmiało mąż.

– On żyje! – nie pozwoliła mu dokończyć. – Żyje! – wołała podniesionym głosem.

Mężczyźni weszli do pokoju. Ona za nimi. Doktor ze słuchawkami w uszach pochylił się nad łóżeczkiem. We dwójkę wpatrywali się w lekarza, który w milczeniu osłuchiwał niemowlę. Śledzili każdy jego ruch.

Doktor zakończył badanie i się wyprostował.

– Pana żona ma rację. Serce syna państwa bije w prawej piersi – powiedział, patrząc mężczyźnie w oczy.

Pan od Znaczków skończył opowiadać i zamilkł nagle. Jego pociągła twarz pojaśniała w uśmiechu skrywającym się w środku, usta drgały delikatnie. Powolnym ruchem podniósł lewą rękę i poklepał się dłonią po prawej piersi. – Oni zabieg mi proponują, „choćby jutro”. – Głos mu drgał na wspomnienie tamtej rozmowy.

nocne koty już wyległy
rozsuplują swoje plany
pieczętują mokrą łapą
parapety i chodniki

zanim wyjdzie pierwsza zjawia
wszystkie ślady i westchnienia
do następnej nocy skryje
liśćmi księżyc ich przyjaciół

maj 2015 – październik 2018

staję przed lustrem
w ręku mocne narzędzie
szukam belki
w oku

wystarczyłoby jedno twoje słowo
chcę żebyś poczuła jego moc
naprawdę to zrób
zamknij oczy
teraz
dotykam twoich stóp
rzęsami muskam kostki
zaciskam palce na łydce
i pieszczę ją
powoli
wspinam się między pniami twoich ud
przywieram ustami
co mogłoby je zatrzymać
w drodze
do soczystego owocu
i do wyrażenia zachwyty
wystarczyłoby jedno twoje słowo

jeden rysownik
 zbyt mocno roztał na niebie
 węgiel wieczora
 ktoś inny wyrazistą kreską
 rozświetlił most
 powietrze cięży
 rzeka zgęstniała i niemal stanęła
 jak wszystko dokoła
 tylko ptaki nieśmiało snują pieśń
 ale za chwilę i one zamilkną
 gdzieś gdzie
 już bez komentarza
 przeleci nietoperz
 w ten zbutwiały wieczór
 próżno szukam
 głębokiego oddechu
 błękitu

Przeznaczenie

Była deszczowa, jesienna noc. Światła samochodu rozświetlały leśny krajobraz, który jawił się długimi i niebezpiecznymi zakrętami. Wąska i słabo utwardzona droga powodowała mocne wibracje, które przenosiły się na kierownicę. Tadeusz mocno ścisnął ją rękoma obleczonymi w skórzane rękawiczki.

Myślał tylko o tym, aby bezpiecznie i bez żadnych niespodzianek dojechać do celu. Już od jakiegoś czasu zauważył, iż prowadzenie samochodu sprawia mu coraz większą trudność. Nie miał takiego refleksu jak kiedyś, a pogarszający się wzrok doprowadzał go często do irytacji i bezsilności. Wkładał więc w jazdę coraz więcej energii, co nie pozwalało mu na dłuższe wyjazdy.

Tym razem pokonał ponad dwieście kilometrów i czuł, że jest na skraju wyczerpania. Chciał jak najszybciej wyładować bagaże, rozpaść w kominku i zjeść coś ciepłego. Później zasiąść w wygodnym fotelu i oddać się lekturze któregoś z mrocznych kryminałów, których całą serię wiozł ze sobą w oddzielnym neseserze.

Wyjazd zaplanował kilka miesięcy wcześniej, gdy osiągnął wiek emerytalny i zaprzestał pracy w przychodni psychiatrycznej. Przez jakiś czas przyjmował jeszcze pacjentów w gabinecie prywatnym, ale pewnego dnia powiedział sobie: dość! Przekazał chorych młodej koleżance i na tym zakończył praktykę lekarską, która trwała ponad trzydzieści pięć lat. Przez ten czas wydarzyło się wiele. Może nawet, jak sądził, zbyt wiele.

Po kilku kilometrach wjechał na skrzyżowanie. Zatrzymał się i starał przypomnieć to, co mówił mu właściciel kwatery, z którym rozmawiał kilka dni temu. Kierować się na wschód? Tak, to na pewno w tę stronę – pomyślał i ruszył nieutwardzoną drogą.

Korony drzew przerzedziły się i w blasku księżyca zauważył prześwitujące dachy zabudowań, w których paliło się światło. Wiedział, że na tym odludziu mieszkają ludzie, co mogło wydawać się irracjonalne. Zatrzymał się jeszcze tylko raz, gdy minął zniszczony i przeżarty przez rdzę drogowskaz, na którym wypisana była ręcznie nazwa miejscowości. Był szczęśliwy, że trafił na miejsce.

Domek wyglądał niepozornie. Zbudowany z drewna, z jednym piętrem, otoczony z każdej strony lasem i pozbawiony jakiegokolwiek ogrodzenia. Prowadziła do niego droga, która kończyła się kilkanaście metrów dalej, przechodząc w leśny trakt. Zaparkował przed wejściem i wyciągnął klucze. Okazało się, że właściciel przygotował wszystko tak, jak obiecał. Były więc prąd, woda i drewno na opał. W lodówce – mleko, jajka i masło, a na stole wiejski chleb i sztućce. To zupełnie wystarczało, by przeżyć kilka pierwszych dni i rozejrzeć się po okolicy.

Rozpakował się dość szybko, umył i zjadł kilka jajek. Później rozpaść w kominku, znajdującym się w głównym pokoju na parterze i usnął w fotelu, wpatrując się w strzelające płomienie. Kolejny dzień spędził na roglądaniu się po gospodarstwie. Sprawdzał szopę, która przylegała do budynku, piwnicę i strych. Zajrzał w każdy zakamarek, spisując przy tym listę rzeczy, które będą mu potrzebne, aby spędzić tu najbliższe miesiące. Wiedział, że najbliższy market znajduje się około dwudziestu kilometrów w kierunku północnym, ale nie uważał tego za problem. Z zadowoleniem przyjął też fakt, że są problemy z zasięgiem telefonu. Dochozły do niego tylko wiadomości tekstowe i to z wielkim opóźnieniem.

Na tym pustkowiu poczuł się szczęśliwy. Z daleka od pracy, problemów i miejskiego gwaru, którego miał w ostatnich latach po dziurki w nosie. W leśnym domku, otoczony przez szumiący las, odkrywał siebie na nowo.

Pierwszy tydzień minął mu bardzo szybko. Przez większość czasu padał deszcz, więc zajął się pracami wewnątrz budynku. Uszczelnił okna, naprawił nogi stołu, z zapalem przygotował też sobie stanowisko do pracy – stary i zniszczony sekretarzyk, który odnalazł w piwnicy. Wszystko to zakończył gruntownym sprzątnięciem. Tchnął życie w zapuszczony domek, a ten powoli stawał się miejscem, w którym można było zamieszkać.

Pierwszego października nadeszło ocieplenie. Zniknęły ciemne chmury, a nad niziną pojawiło się słońce. Stare tranzystorowe radio zapowiadało złotą polską jesień.

Tego dnia przygotował sobie śniadanie, które zjadł na zewnątrz. Z widokiem na błękitne niebo, osnute niewielkimi chmurami, górujące nad sosnowym lasem smakowało zupełnie inaczej. Celebrował ten posiłek ponad godzinę, nie mogąc wyjść z zachwyty. Później włożył wygodne, sportowe buty i postanowił pójść ścieżką wijącą się tuż za budynkiem. To była jego pierwsza piesza wycieczka po okolicy, więc czuł się dość niepewnie. Wziął ze sobą mapę okolicy, wodę, kilka kanapek i telefon, który akurat był w tej okolicy mniej funkcjonalny. Był zachwycony tym, co zobaczył. Do tego stopnia, iż po kilku godzinach zgubił się i spędził kolejną na ustaleniu swojego położenia. Nie było to łatwe, ale pomogło mu kilka znaków, które uprzednio z premedytacją pozostawił na swojej drodze.

Około osiemnastej z niewielkiego wzgórza ujrzał zarys swoich zabudowań. Cieszył się w duchu z udanego spaceru i szczęśliwego powrotu. Był zmęczony, ale bardzo usatysfakcjonowany. Miał zamiar wziąć kąpiel, zjeść przygotowaną wczorajszego dnia grochówkę i spędzić wieczór na delektowaniu się nowym kryminałem.

Zupełnie zaskoczyła go postać szczupłego i wysokiego mężczyzny, siedzącego na ławce tuż przed wejściem. Wyglądający na sześćdziesiąt lat, z kędzierzawymi, ciemnymi włosami, które wystawały mu spod czapki. Ubrany we flanelową koszulę i wytarte dżinsy wyglądał na miejscowego. Gdy tylko zauważył zbliżającego się Tadeusza, szybko wstał z miejsca i uśmiechnął się, wyciągając ku niemu dłoń.

Nazywał się Szymon Bergstein i mieszkał dwa kilometry dalej, co oznaczało, że są najbliższymi sąsiadami. Mieszkał w tej okolicy już kilka lat, choć nie wychował się tutaj. Pomiędzy mężczyznami szybko nawiązała się nić przyjaźni. Byli mniej więcej w tym samym wieku i częstując się czarną kawą, opowiadali o swojej pracy i powodach, dla których znaleźli się właśnie na tym pustkowiu. Godzinę później mówili już sobie na ty, a na kuchennym stole pojawiły się butelka wódki i dwie literatki.

Okazało się, że przybysz jest Żydem polskiego pochodzenia. Urodził się pod Rzeszowem, ale w wieku dziesięciu lat opuścił kraj wraz z rodzicami, po wydarzeniach marcowych w 1968 roku. Zamieszkali w Jerozolimie i Szymon tam też skończył studia z filozofii. Pracował na uniwersytecie, gdzie poznał swoją przyszłą żonę. Wspólnie doczekali się urodzenia córki Rebeki.

Jak przyznawał, był człowiekiem spełnionym. Miał wszystko, o czym marzył. Kochającą rodzinę, interesującą pracę i środki, które zapewniały im przyzwoite życie. Nie pielęgnował swego pochodzenia, które jednak w nim drzemało. Tak jak jego rodzice, nie mówił od dawna po polsku, a jego krajem ojczystym stał się Izrael. Aż do pewnego kwietniowego popołudnia...

Tego słonecznego dnia jak zwykle wrócił z uczelni do mieszkania, odwiedzając po drodze jeden z marketów. Kupił wszystko, co było potrzebne do przyrządzenia mussachan. Miał zamiar przyrządzić obiad dla żony i córki, które spędzały czas w centrum. Słuchając przy tym radia, niezbyt zwrócił uwagę na komunikat o wybuchu bomby w jednej z kawiarni. Żył w przekonaniu, że takie rzeczy nie mogą zdarzyć się jego bliskim.

Przez kolejny rok nie mógł dojść do siebie. Jego żałoba zakończyła się pobytem w zakładzie psychiatrycznym i całkowitą rozsypką psychiczną. Zrezygnował z pracy i wyniósł się do innego mieszkania. Żył z renty, którą w większości wydawał na alkohol. To znajomi podrzucili mu pomysł na odwiedzenie Polski. Na początku wyśmiał go i szybko zapomniał. Przypomniawszy sobie dopiero wtedy, gdy natknął się na polską wycieczkę i usłyszał język swojej młodości. Spakował się w ciągu tygodnia i wyjechał. Teraz mieszkał tutaj i tak jak Tadeusz powoli odnajdywał sens życia.

Pierwsze spotkanie nowych sąsiadów zakończyło się po północy. Przyjacielskim uściskom nie było końca, ponieważ obaj odkryli w sobie bratnie dusze. Tak rozpoczęła się przyjaźń dwóch dojrzałych i samotnych mężczyzn, których wspólnym rytuałem stały się wieczorne spotkania i długie rozmowy o życiu.

Miesiąc później z samego rana Tadeusz otrzymał wiadomość. Pisała jego córka Anna, która chciała go odwiedzić. Z tych kilku zdań odczytał jednoznacznie, że znów musiała nasilić się jej depresja, bo tylko wtedy szukała u niego pomocy. Rozwiedziona, bezdzietna kobieta w wielkim mieście i do tego z ogromnymi ambicjami. Już dawno przewidział, że odbije się to na jej zdrowiu. Jednak nic do niej nie docierało. Odpisał natychmiast. Przyjechała po kilku dniach. Z podkrążonymi oczami, nieumyętymi włosami i smutnym wzrokiem wbitym wciąż w swoje stopy wyglądała na poważnie chorą. Przygotował jej sypialnię na piętrze i wygrzebał z toreb zapas leków. Prawie od razu poszła do łóżka, w którym spędziła kolejne dwadzieścia godzin. Od tamtej pory skupił się na opiece i to ona stała się najważniejsza. Starał się jej pomóc w jak największym stopniu. Przez jakiś czas zrezygnował nawet ze spotkań z Szymonem.

Postępy przychodziły, ale dość wolno. Po miesiącu Anna zaczęła wychodzić na krótkie spacerunki i jeść obfite posiłki. Sporo robiły również leki, które codziennie jej podawał. Wieczorami, siedząc w fotelach, wspominali lata młodości, które spędzali wspólnie z matką. Ogrzewając się przy kominku, snuli opowieści o ludziach, których kochali i którzy byli ważni w ich życiu. W takiej atmosferze zastały ich zima i święta. Spędzili je we trójkę, wraz z Szymonem, który stał się stałym bywalcem w drewnianym, leśnym domku.

Tydzień po Bożym Narodzeniu na dworze leżał jeszcze śnieg. Było białe i ślisko. Tadeusz umówił się z sąsiadem na wieczór i odradzał mu przy tym przyjazd samochodem. Anna długo wylegiwała się w łóżku, ale około południa zabrała się za przygotowywanie obiadu. Zjedli wspólnie rosół i postanowili uciąć sobie drzemkę. Czas płynął tutaj powoli i leniwie. Od kilku godzin panował zmierzch, zbliżała się szósta wieczorem. Rozpadał się drobny śnieg, a dość silny wiatr porywał jego białe płatki raz w górę, raz w dół. Wyglądający przez okno gospodarz zachwycał się tym widokiem, popijając przy tym gorącą herbatę. Do czasu przyścia sąsiada postanowił oddać się lekturze. Był przekonany, że czeka go kolejny miły spędzony wieczór. Zatopił się w wielowątkowej fabule do tego stopnia, iż umknął mu fakt wyjścia Anny.

Ocknął się około godziny dwudziestej. Poczł dziwne ukłucie niepokoju, które zagnieździło się gdzieś w żołądku. Wstał energicznie z fotela i zawołał głośno imię córki. Nie doczekał się odpowiedzi. Wbiegł więc na schody do jej sypialni. Pokój okazał się pusty. Wrócił na parter i sięgnął po telefon. Kłął na brak zasięgu. Poczł, że stało się coś złego. Włożył ciepłą kurtkę i zimowe buty. Wziął ze sobą latarkę i wybiegł na zewnątrz. Otoczyła go całkowita ciemność. Stał zdezorientowany, oświetlając przestrzeń przed sobą i próbując odnaleźć odpowiedni kierunek. Po chwili postanowił pójść w stronę głównej drogi i tam spróbować zadzwonić. Nie było to łatwe. Śnieg nadal prószył dość mocno i skutecznie przesłaniał widoczność. Niebo osnute było chmurami i wyglądało na to, że pogoda szybko się nie poprawi.

Usłyszał sygnał w telefonie. Czekał tak długo, aż włączyła się poczta głosowa. Próbował jeszcze kilka razy. Krzyczał do słuchawki z bezsilności. Szedł środkiem drogi, nawołując córkę, a jego głos odbijał się echem od ściany lasu i ginął w jego ciemnych czeluściach.

Nagle w zasięgu wzroku zauważył postać. Była przygarbiona i poruszała się dziwnie, podpierając się co jakiś czas rękoma. Wyglądało na to, iż wstawała i upadała, ale wciąż poruszała się w jego kierunku. Tadeusz zatrzymał się. Nie był pewny, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę, czy jest to wytwór jego wyobraźni. Po chwili u swoich stóp ujrzał czołgającego się Szymona Bergsteina. Na jego głowie widniała otwarta rana, z której sączyła się krew. Miał usmoloną twarz, przywodzącą na myśl oblicze diabła. Ciągnął za sobą płaszcz, który był w strzępach. Mężczyzna dopadł do lekarza i ukląkł przed nim, oplatając go ramionami w pasie.

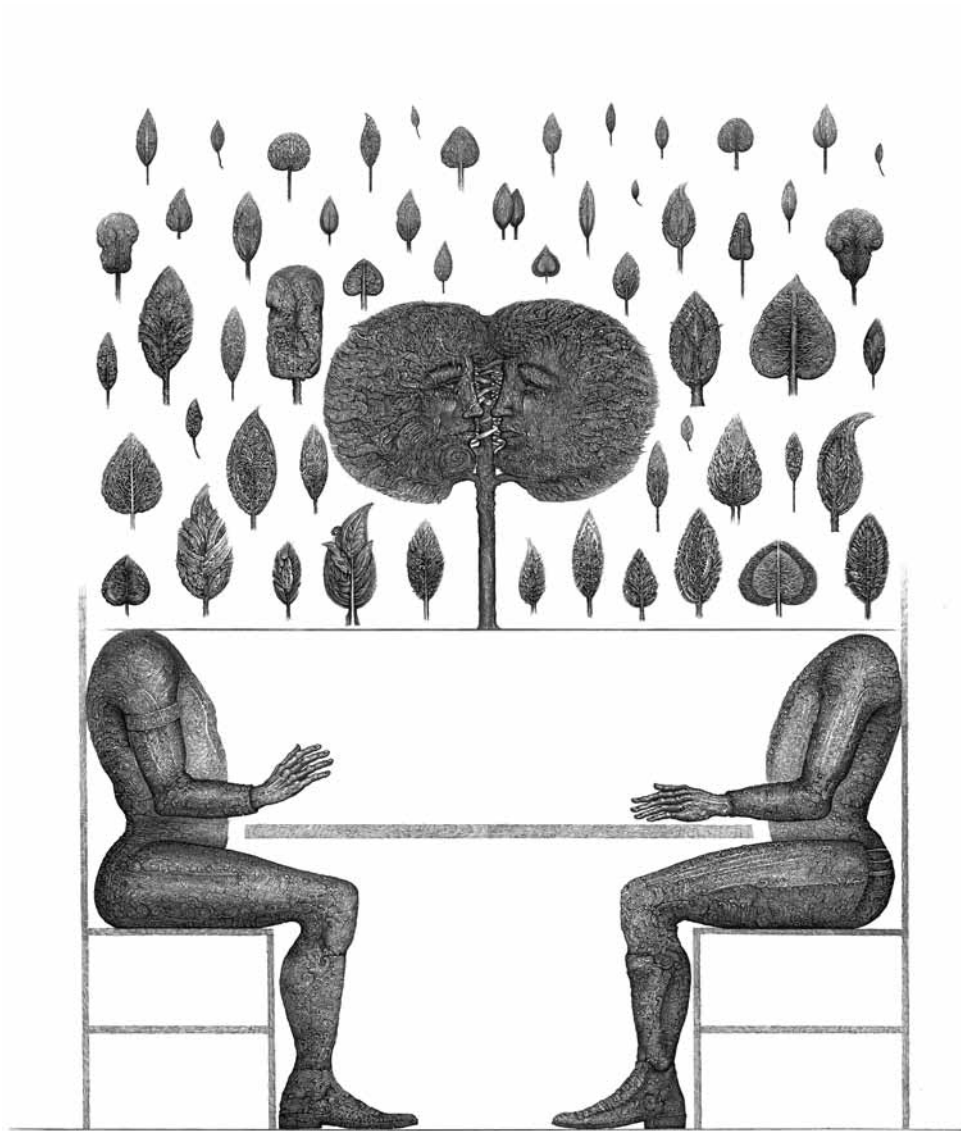
– Co się stało?! – krzyczał zdumiony, chcąc uwolnić się z uścisku. – Powiedz, co się stało?! – powtarzał w kółko.

Sąsiad w odpowiedzi zaczął łkać i tracąc równowagę, opadł na zaśnieżoną drogę.

– Nigdy mi tego nie wybaczysz. Nigdy. Wiem o tym dobrze – mówił niezbyt zrozumiale.

Tadeusz dopiero wtedy zauważył stojący na zakręcie samochód przyjaciela. Miał rozbitą szybę i wgniecioną maskę. Tuż przed nim leżała bez ruchu kobieca postać, którą od razu rozpoznał.

W tym momencie emerytowany psychiatra zrozumiał. Nie potrzebował więcej wyjaśnień i pytań. Wiedział dobrze, że jego ukochana córka Anna nie żyje.



Urodziłem się nagi, ale owinięto mnie w ręcznik,
żeby wytrzeć ze mnie wspomnienia sprzed życia.

Urodziłem się nagi, lecz przyodziano mnie w szaty,
żeby zmyć ze mnie grzechy. Jakie to biblijne.

Urodziłem się nagi, ale wciągałem spodenki,
kiedy chłopaki wołały, żebym wyszedł na dwór.
Nie było nic wygodniejszego do biegania za piłką,
skakania do piłki i uciekania przed psami sąsiada.

Urodziłem się nagi i postawiłem na wygodę,
dlatego ubrałem dres, chociaż nie zapisałem się
do partii dresów, skejtów ani prawidłowych ziomali.
Niestety dziewczęta wołały tych w dżinsach,

więc chociaż urodziłem się nagi – ubrałem dżinsy
i to wystarczyło. Nadszedł czas podbojów i zawodów.
Okazało się, że wygodą nie jest najważniejsza w życiu,
więc tak już zostało, zdarzało się jednak, że nawet dżins

był zbyt nonszalancki, więc na okazje rzeczy ostatecznych,
jak liczne sakramenty (własne oraz cudze) zmuszono mnie,
bym wdziewał garnitur, chociaż urodziłem się nagi
i ze złośliwości (bo ludzie są złośliwi) w nim mnie pochowają.

Wieczne sny

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,
choć mój sen nie ma z nim nic wspólnego.
Może to wina syren wozów strażackich
tnących miejskie arterie, wołających dym.
Myślę wtedy o wszystkich, którzy mogli spłonąć.

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,
więc kiedy śpią inni, czuję zapach nocy i wilgoć
powietrza. W zupełnej ciszy słyszę lekki wiatr,
deszcz. Kolory nieba zwiastują wschód słońca.

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,
i ciągle słyszę kaszlącego sąsiada zza ściany.
Może jutro pójde do niego, otworzy mi drzwi
i znajdziemy brakujące liczby na tarczy zegara.
Zapalam papierosa od świeczki, gaszę świeczkę.

Palcami.

Retrospekcja

W zasadzie nie wiem, jaki był początek,
pewnie Bóg przechodził na czerwonym świetle.
(Później duży przeskok do moich sennych wspomnień).

To była wycieczka, jeszcze w latach szkolnych.
Patrzyłem na dziewczynę tak, jak ona na mnie,
ale – mam to w pamięci – wiedziałem, że nic z tego.

Później było różnie, z kilkoma imionami
zdążyłem się żyć, kilka razy zniknąć;
sen jest zbyt pojemny, żeby iść w szczegóły.

Zainteresowało mnie śledztwo kryminalne
dotyczące kilku morderstw kobiet.
W końcu w sporym tłumie na stronę wziął mnie śledczy

i powiedział, że chciałby porozmawiać. Zrozumiałem wtedy,
że to mnie szukają i że w tej sytuacji robi się gorąco,
ale pozwolił mi jeszcze wziąć porządny prysznic

i zmyć wszystkie grzechy. Tylko jedna osoba stała wtedy obok,
a nawet zbliżyła się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.
(Całe mnóstwo rzeczy musiałem wziąć w nawias).

Wtedy się obudziłem, z ulgą, jak zawsze po koszmarze
i po sekundzie doszło do mnie, że ten sen to prawda.
Z dziur w ziemi wyrasta woda. Zamyka nas na wyspach.

Podróże

Mimo kilku dowodów ciągle wierzę,
 że śmierć zdarza się w odległym gdzie indziej.
 To miejsce położone gdzieś na krańcach mapy,
 gdzie panuje głód, terror i tyrania, a w morzach
 żyją wielkie potwory wodne udające wyspy.

Czasem nurkuję w tę ciemność, ale tylko do czasu,
 aż wszystko stanie się jasne i umyвам ręce.
 Wtedy wychodzę na brzeg i trafiam na słoneczną plażę.
 Biorę głęboki oddech i czuję się dużo lepiej.

Najchętniej podróżuję, nie wychodząc z domu.
 Znam dźwięk wiertarki każdego z sąsiadów,
 rozpoznaję ich kaszel i kroki na schodach,
 repetycje Beethovena grane przez sąsiadkę.
 Zamykam drzwi, otwieram okno, wietrzeję.

AGELIA**AGELIA – Prolog**

Dawno, dawno temu. Naprawdę bardzo dawno temu była sobie Dziewczyna i był sobie Chłopak, a między nimi była sobie Miłość. I było im we troje bardzo dobrze. Chodzili na długie spacer, tam gdzie tylko nogi ich poniosą, a gdy zmęczeni się chodzeniem, znajdowali zaciszny zakątek i oddawali siebie w ofierze Miłości. Lecz z czasem Miłość zaczęła nudzić się tą dwójką. Zapraszała do zabawy kolejno: Gniew, Smutek, Znużenie i Cierpienie. Razem nie było im już tak dobrze jak we troje. Gdy któregoś razu zawędrowali do zielonej doliny przedzielonej strumieniem, Miłość zaprosiła Chłopaka i Dziewczynę do tańca. Potem przekonała Gniew, Smutek, Znużenie i Cierpienie, aby dołączyły do zabawy. Miłość odeszła na bok i przyglądała się, jak Chłopak i Dziewczyna tańczą w Gniewie, Smutku, Znużeniu i Cierpieniu. Przestała ich kontrolować, obserwowała, jak niezgodnie tańczą, jak płaczą im się nogi, jak Gniew, Smutek, Znużenie i Cierpienie niezgrabnie tworzą melodię. I uznała Miłość, że ma już dość. Nakazała odejść Znużeniu i szepnęła Gniewowi kilka słów, a ten przekazał je Chłopakowi i rzekł Chłopak do Dziewczyny:

– Zabieram swoją Miłość i zostawiam ci Cierpienie.

I odszedł z Miłością, a za nimi podążył Gniew, który z czasem od dwójki tej również odszedł.

Dziewczyna rozplakała się w ramionach Smutku i upadła na zieloną trawę. Cierpienie odepchnęło Smutek i przywarło do Dziewczyny tak, jakby było jej częścią i płakała tak Dziewczyna, nie mogąc ruszyć się spod ciężaru Cierpienia. A łzy jej padały na zieloną trawę i płacz ten trwał wiele, wiele lat. I gdy wypłakała już wszystkie łzy, wciąż czuła na sobie ciężar Cierpienia, nie mogąc ruszyć się z miejsca swojego upadku. Suchymi oczami ujrzała swoje dłonie i nogi zakopane w ziemi. Nie było one nawet już dłońmi i nogami, ale grubymi korzeniami wbitymi poniżej powierzchni. Stała się Drzewem. Drzewem wysokim do nieba, o grubym pniu i konarach. Była w każdej gałęzi, w każdym liściu, w stojach, w rdzeniu, w korze. Gdy zakładała na głowę koronę, dostrzegała wszystko, co widać było na horyzoncie i ujrzała w oddali wielki, biały mur otaczający całą zieloną dolinę. Ujrzała też białe domki z czerwonymi dachami i drzwiami. Widziała uliczki i alejki otoczone wysokimi lampami. Po alejkach przechadzali się ludzie: inne dziewczyny i inni chłopcy. Spojrzała na rzekę, która podzieliła dolinę na pół. Zbudowano tam niewielki mostek, który łączył dolinę, a na mostku ujrzała Wędkarza. Dręczona Cierpieniem i pragnieniem samotności wykrzyczała do Wędkarza:

– Obyś nigdy nie złowił żadnej ryby!

Stojący na pomoście Wędkarz usłyszał zaledwie delikatny szum liści i łowił dalej. Jednak tak jak życzyło Drzewo, żadna ryba nie skusiła się na jego przynętę. I tak każdego dnia Wędkarz przychodził z rozmaitym robactwem, wierząc, że któregoś razu sprostą wyszukany gustom kulinarnym agelijskich ryb.

Widząc potęgę swych słów, Dziewczyna-Drzewo obiecała sobie, że każdego, kto zakłóci jej spokój, spotka ciężar jej Cierpienia.

Pierwszą zakochaną parę, która przysiadła pod nią, przeklęła dzieckiem z niezaspokojoną ciekawością.

Drugiej parze zesłała dziecko, które nie będzie potrafiło znieść własnego widoku i z lęku nie spojrzy nigdy w lustro.

Trzeciej parze, która oddała się miłosnym zabawom tuż pod jej liśćmi, życzyła dziecka, które zazna przeklętej miłości.

Czwarta para została obdarzona potomkiem, który nigdy nie zaśnie.

Piątej parze zesłała dziecko, które nie zazna sytości.

Szósta para miała spłodzić istotkę, której nikt nie usłyszy.

Siódmej parze życzyła dziecka, które nie zobaczy nigdy dnia.

Lecz Dziewczynie-Drzewu tego wszystkiego było mało. Wszystkich tych mieszkańców białych domków z czerwonymi dachami i drzwiami obdarzyła niewiedzą, a całej dolinie zesłała pętlę zapomnienia. I dopiero wtedy mogła obserwować skutki własnego Cierpienia.

AGELIA – Milczenie

Nikt nie potrafił powiedzieć ośmioletniej Avie Konvuzo, kiedy powstała Agelia. Dziewczynka spytała najpierw swoich rodziców, panią i pana Konvuzo. I chociaż ich umysły były bystre, to po intensywnym marszczeniu czoła i unoszeniu brwi, a także zaciskaniu ust, które wyrażały ich głębokie zaangażowanie w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie ich córki, pozostawili jej ciekawość niezaspokojoną. Zwyczajnie w świecie nie wiedzieli, kiedy powstała Agelia. Ava zapytała więc babcię i dziadka Konvuzo. – Bardzo dawno – odpowiedziała babcia Konvuzo, a dziadek jej przytaknął. Taka odpowiedź wystarczyła dziewczynce. Jednak w wieku dziesięciu lat zapytała sąsiadkę, panią Kirn – matkę Oktawii Kirn – kiedy to jest „dawno”. Pani Kirn pokiwała głową kilkukrotnie i wydała z siebie ciche mruczenie, jak robi to zwykle człowiek, który udaje, że coś wie i odparła: – Pomiędzy stworzeniem świata a obecnym czasem.

I Ava Konvuzo uznała tę odpowiedź za godną jej pytania. Jednak, kiedy w wieku trzynastu lat usłyszała, jak Lukrecja Wyler żali się swojej mamie, pani Wyler, że d a w n o nie dostała nowej sukienki, zdała sobie sprawę, że odpowiedź pani Kirn – matki Oktawii Kirn – jest nieprecyzyjna. Poszła więc do Kapłana i zapytała:

– Kiedy powstał świat?

Kapłan uśmiechnął się, kładąc na kolanach Świętą Księgę i powiedział:

– Wtedy kiedy na świecie nie było niczego poza chaosem.

– Czyli kiedy? – zapytała.

– Na początku czasu.

– I co było potem?

– Bóg stworzył świat i gwiazdy, i niebo, i wszystkie cuda świata, takie jak ludzie i inne stworzenia. Bóg stworzył także rowery i samochody.

– A huśtawki?

– Też.

– A książki?

– Naturalnie. Bóg stworzył najpierw litery.

– A czy stworzył też mowę?

– Bóg stworzył wszystko.

– Ale nie stworzył czasu i chaosu – zauważyła trzynastoletnia Ava Konvuzo, a Kapłan otworzył usta ze zdziwienia i siedział tak przez kilka dni, aż w końcu ktoś zapytał go o coś, na co znał odpowiedź i tak powrócił do świata harmonii pytań i odpowiedzi.

Ava Konvuzo zdecydowała się policzyć czas, od momentu jego stworzenia do czasu obecnego. Stwierdziła więc, że skoro ma trzynaście lat, to musi znaleźć kogoś, kto żyje dłużej od niej, a różnice wieku dodać do siebie, a potem znaleźć kolejną osobę i kolejną i tak dalej, a dzięki skomplikowanemu równaniu mogłaby dojść do tego, ile świat tak w ogóle ma lat! Potem podzieliłaby czas świata przez dwa i dowiedziałaby się w końcu, jak długo istnieje Agelia. Niestety. Bardzo szybko musiała się poddać, bo potrafiła liczyć tylko

do stu. Jak każdy Agelijczyk. Uważano bowiem, że sto to i tak sporo, a liczby służą tak naprawdę odprawianiu codziennych rytuałów o odpowiedniej porze i świętowaniu urodzin, a ponieważ nikt nie dożywa stu lat, uznano, że dalsza nauka liczb jest marnotrawstwem czasu. Jednak kiedy Ava Konvuzo skończyła osiemnaście lat, stanęła przed wielkim białym murem otaczającym całą Agelię i zastanowiła się. Wiedziała, że od tego zastanawiania się rozboli ją głowa. Jednak było już za późno, myśli przenikały przez jej głowę z zawrotną prędkością, a z myśli tych wyłaniały się pytania: Kto stworzył mur? Ile lat ma mur? Co jest za murem?

Wróciła więc do domu i zadała swojej matce, pani Konvuzo, wszystkie te pytania. Pani Konvuzo nie знаła odpowiedzi, podobnie jak pan Konvuzo i babcia Konvuzo. Zrozpaczona i niezaspokojona przez swoją dręczycielską ciekawość, Ava pobiegła na cmentarz i stanęła przed grobem swojego dziadka Konvuzo i zapytała go, kto i kiedy stworzył mur, a także co jest za murem. Lecz grób milczał, bo nawet zmarły nie znał odpowiedzi. Jego duch błąkał się między cieniami rzucanymi przez wszystkie drzewa Agelii i po śmierci nie doznał wcale oświecenia – nigdy nie zadawał sobie takich pytań, jak jego wnuczka Ava. Jego życie po śmierci było równie spokojne jak za życia. Ava Konvuzo rozplakała się nad grobem swojego dziadka i przysięgła sobie, że musi poznać odpowiedzi, bo nie dadzą jej one spokoju ani za życia, ani po śmierci.

Oktawia Kirn miała tej nocy dziwny sen. Zwykle śniła o tym, co robiła w ciągu dnia. A to jadła śniadanie, innym razem czytała Księgę Świętą, a czasami rozmawiała z sąsiadką i słuchała długich rozważań Antoniny di Lectus Luisy na temat chłopców. Tej nocy jednak sen był niecodzienny. Oktawia Kirn śniła, że się obudziła. Obudziła się o świcie. Spojrzała przez okno i ujrzała Gwiazdę Zaraną obserwującą jakąś postać. Oktawia wyszła z domu, stanęła na ganku i podążyła wzrokiem za Jutrzenką. W stronę muru Agelii szła Ava Konvuzo. Dumna i wyprostowana. Oktawia wyszła boso na ulicę, czując pod stopami jeszcze chłodną nawierzchnię, bo zanim ta nagrzej się od słońca, minie jeszcze kilka godzin. Patrzyła, jak Ava idzie w stronę muru, zupełnie tak jakby go nie było. Oktawia zastanawiała się przez chwilę, czy nie zawołać swojej koleżanki, czy nie ostrzec jej przed zderzeniem z murem. Zanim podjęła decyzję, zanim wzięła głęboki wdech, by wydać z siebie najgłośniejszy w życiu dźwięk, Ava Konvuzo zniknęła w murze. Zamiast krzyku Oktawia wciągnęła świszcząco powietrze do płuc i zastygła przerażona. Wiedziała już, co się wydarzyło. Wiedziała, że była temu winna. Nie ostrzegła Avy przed murem i oto dziewczyna w nim utknęła.

Zegar na wieży ratusza wybił dokładnie szóstą. Dziesiątki czerwonych drzwi umieszczonych w białych domkach z czerwonymi dachami otworzyły się niemalże w jednej chwili, a na gankach stanęli najstarsi mężczyźni z rodziny i schylili się, żeby podnieść nowe wydanie gazety codziennej i po chwili zniknąć za murami swoich domów. Wraz z wybicciem dzwonów Oktawia Kirn zbudziła się ze swojego dziwnego snu. Usiadła na łóżku i spojrzała w stronę okna, ale Gwiazdy Zarannej już tam nie ujrzała. Przyłożyła dłoń do szyi, czując, że jej głos zagubił się gdzieś pomiędzy krzykiem a przerażeniem. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie potrafiła. Poszła więc wypłukać gardło, ale głosu wciąż nie było. Zaniepokojona zeszła na dół. Pan Kirn siedział już na krześle w kuchni przy okrągłym stole i czytał poranną gazetę, podczas gdy pani Kirn nakładała jajecznicę z boczkiem na trzy talerze. Oktawia zajęła swoje miejsce w milczeniu.

– Dzień dobry – powiedział pan Kirn, zerkając na swoją córkę znad gazety.

Oktawia otworzyła usta, ale nie wypowiedziała żadnego słowa.

– Kochanie, co się mówi? – powiedziała pani Kirn, a Oktawia tylko wzruszyła ramionami i sięgnęła po szklankę z wodą, mając nadzieję, że utopi swoje milczenie. Okazało się ono jednak wodoodporne.

Czując narastający dyskomfort, wstała od stołu i podeszła do sekretarzyka w salonie, wyciągnęła z niego kartkę papieru i długopis, po czym napisała „Dzień dobry” i wróciła do jadalni, aby pokazać rodzicom kartkę. Odetchnęli z ulgą, bo już wiedzieli, że jej córce nie odukało, a cisza musi być spowodowana złożeniem ślubów milczenia. Gdy tylko Oktawia odeszła od stołu po zjedzonym posiłku, państwo Kirn zaczęli dzielić się swoimi przemyśleniami.

– Może ślubowała milczenie, bo zdecydowała się iść do zakonu – powiedziała pani Kirn.

– Albo znalazła narzeczonego – uznał pan Kirn.

Obie opcje były prawdopodobne. Były prawdopodobne, od kiedy Oktawia zaczęła dorastać, bo już wtedy widać było, że jest ładną i pokorną dziewczyną, a takie nadają się zarówno do zakonu, jak i do małżeństwa. Podobny los czekał większość dziewcząt w Agelii. Wyjątek stanowiła Antonina di Lectus Luisa i Ava Konvuzo. Antonina o chłopcach mówiła dużo i chętnie z nimi flirtowała, ale była wredną dziewczyną. Mężczyźni nie biorą sobie wrednych kobiet za żony. Z kolei Ava Konvuzo została skazana na staropanieństwo nie tyle przez swoje pytania, co przez konsekwencje nieotrzymania odpowiedzi. Dręczona niemożnością zaspokojenia ciekawości nie mogłaby zaspokoić nikogo innego w żaden możliwy sposób. Co więcej, narastające w jej głowie pytania prędzej czy później doprowadzą ją do szaleństwa.

Oktawia Kirn założyła zieloną sukienkę, zaplotła swoje złotorude włosy w warkocz udekorowany błękitną wstążką, założyła sandały i wyszła na zewnątrz. Musiała znaleźć swój głos, zanim zacznie się niedzielna msza. Zostawiła rodzicom kartkę w kuchni, informując, że spotkają się w kościele i popędziła uliczkami Agelii, szukając swojego głosu. Nie było go pośród żadnego z białych domów z czerwonymi drzwiami i dachami. Nie było go też w parku. Stojąc na pomoście, pomyślała, że może wpadł on do wody. Ściągnęła sandały, podwinęła sukienkę i weszła do wody, mając nadzieję, że na niego nadejrze, ale woda nie wzburzyła się, nie pojawiły się też bąbelki ani kręgi sugerujące, że głos gdzieś tam jest. Potem przez dziesięć minut siedziała na pomoście z wyciągniętymi stopami, czekając, aż wyschną i znów będzie mogła założyć sandały.

Kiedy doszła do kościoła, dostrzegła Antoninę di Lectus Luisę idącą obok Gabrieli Espero i Lukrecji Wyler. Z oddali widziała, jak Antonina gorączkowo coś opowiada. Z pewnością mówiła o chłopcach. Ava Konvuzo twierdziła, że Antonina mówi, żeby odwrócić uwagę od swojego sekretu. Kiedy Oktawia pytała, jaki to sekret, Ava patrzyła na nią z niedowierzaniem i odpowiadała, że to przecież oczywiste.

Oktawia Kirn weszła do kościoła i usiadła obok swoich rodziców. W świątyni nie było państwa Konvuzo, ale to nic nowego. Nie zawsze chodzili do kościoła, czym budzili zniesmaczenie wśród Agelijczyków, ale niektórzy próbowali tłumaczyć ich tym, że z pewnością nie zdążyli na mszę, bo przez pytania Avy Konvuzo zgubili drogę do świątyni. Oktawia miała nadzieję, że w kościele odzyska głos. Tak jednak się nie stało. Podczas wspólnej modlitwy otwierała tylko usta, żeby nikt nie zarzucił jej odmawiania odmawiania modlitwy. Po mszy dołączyła do Anotniny de Lectus Luisy, Gabrieli Espero i Lukrecji Wyler.

– Piękna sukienka, prawda? – zapytała Lukrecja dziewcząt, prezentując im swoją nową, błękitną sukienkę, niemalże identyczną jak każda, którą posiadała.

Antonina i Gabriela skomentowały ją pochlebnie, ale biedna Oktawia uśmiechnęła się tylko, co nie uszło uwadze Lukrecji.

– Wiesz, Oktawia, zdecydowanie przydałoby ci się coś nowego. Widziałam ciebie w tej sukience co najmniej trzy razy – powiedziała.

Oktawia pragnęła odpowiedzieć swojej koleżance na tę zaczepkę, ale bez głosu trudno było prowadzić dyskusję. Postanowiła znów go poszukać i niezauważenie odłączyła się od dziewcząt, zamierzając udać się na cmentarz. Być może głos odebrał jej jakiś zmarły. Nie zdążyła jednak opuścić kościelnego placu, bo w jej stronę zmierzał złotowłosy Robert Wyler, szczerząc zęby na jej widok.

– Oktawio, pięknie wyglądasz. Dokąd idziesz? Wszyscy zmierzają do parku, chodźmy razem, chciałbym z tobą porozmawiać – powiedział i chociaż Oktawia wcale nie zamierzała rozmawiać z bratem Lukrecji, Robert pochwycił jej dłoń i zawiesił na swoim ramieniu.

Bez głosu i z jedną wolną dłonią czuła się przytłoczona jak nigdy.

– Za dwa tygodnie kończymy szkołę. To najwyższy czas, aby pomyśleć o naszej przyszłości. Naszej, Oktawio. Wspólnej. Szaleję za tobą, od kiedy trzy zimy temu stanęliśmy razem pod jemiolą. Przysięgam,

że nie było po tobie żadnej innej dziewczyny. Ani na mych wargach, ani w moich myślach. Nawet w snach nie patrzyłem na żadną inną. Nasze dzieci będą miały złote włosy. Będą piękne i grzeczne jak ty. Nasz syn odziedziczy po mnie odwagę. Myślę, że będziesz wspaniałą żoną i matką – powiedział i spojrzał kątem oka na Oktawię, a ta oniemiała – jeszcze bardziej – i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– To znaczy, że się zgadzasz? – zapytał, a Oktawia Kirn, próbując z całej siły powiedzieć „NIE”, pokiwała tylko bezradnie głową, co Robert Wyler uznał za zgodę.

– Najmilsza. Będziemy razem bardzo szczęśliwi. Pójdę do twojego ojca po błogosławieństwo – powiedział i wypuścił dłoń swojej narzeczonej, pędząc w stronę państwa Kirn.

Oktawia miała nadzieję, że cały ten dzień jest tylko jej dziwnym snem, z którego lada moment się obudzi. Postanowiła ułatwić sobie przebudzenie i pobiegła do domu. Wbiegła do swojego pokoju, ściągnęła buty, sukienkę, rozplątała warkocz, założyła białą koszulę nocną, położyła się do łóżka i zamknęła oczy, czekając, aż się obudzi. Zamiast tego znów zapadła w sen, którego tym razem nie zapamiętała.

Oktawię Kirn zbudziły hałasy dobiegające z dołu. Zdążyła tylko usiąść na łóżku, a już po chwili w jej pokoju zjawiły się: Antonina di Lectus Luisa, Gabriela Espero i Lukrecja Wyler.

– Ava Konvuzo zniknęła – powiedziały chórem, a Oktawia Kirn, mimo iż zapragnęła krzyknąć, płakać i wrzeszczeć, nie mogła wydusić z siebie żadnego dźwięku.

Skoczyła na równe nogi, odepchnęła swoje przyjaciółki i pobiegła na dół, na bosą, w koszuli, tak jak w swym śnie. Chciała biec do muru, bo wiedziała, że gdzieś tam musi być Ava Konvuzo, jednak gdy otworzyła czerwone drzwi, ujrzała swoich rozpromienionych rodziców, wspinających się po schodach na ganek. Gdy tylko ją spostrzegli, zatrzymali się zaskoczeni.

– Gdzie ty idziesz tak ubrana? – zapytał pan Kirn, a pani Kirn machnęła ręką i powiedziała:

– Jesteśmy tacy szczęśliwi. Za trzy tygodnie wychodzisz za mąż!

Świat zawirował Oktawii Kirn przed oczami, a kiedy odzyskała przytomność, wszystko wydarzyło się tak szybko, że miała wrażenie, że poza głosem zgubiła też czas. Założono jej sukienkę, białe buty i welon. Szybko przestała być Oktawią Kirn i stała się Oktawią Wyler. I chociaż miała ochotę krzyknąć, nie mogła tego zrobić. Podczas nocy poślubnej nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie krzyknęła nawet, kiedy rozdziła łucję, a potem kiedy z trudem wydawała na świat Ludwika.

Nocami wymykała się z małżeńskiego łóżka i kawałek po kawałku, w świetle latarni badała agelijski mur, przekonana, że gdzieś tam utknęła Ava Konvuzo. Pod murem zostawiała wodę i chleb, a ponieważ następnej nocy nie znajdowała ani kropelki i ani jednego okruszka, wierzyła, że pomaga Avie Konvuzo przetrwać. Tylko tyle mogła dla niej zrobić. Wiedziała, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby ostrzegła ją wtedy, kiedy jeszcze miała głos. Nikt specjalnie nie przejął się zniknięciem Avy Konvuzo – wielu Agelijczyków z ulgą przyjęło fakt, że nikt nie zada im już więcej trudnych pytań.

Oktawia Wyler, chociaż nie mogła mówić, dostrzegła zalety innych zmysłów. Więcej widziała i więcej słyszała, ale nigdy nie miała żadnych pytań. Odpowiedzi przychodziły, zanim o cokolwiek spytała. Oktawia Wyler widziała więc, że życie w Agelii toczy się według pewnego schematu i rutyny, którą zdają się kochać wszyscy mieszkańcy. Jednak nawet w harmonijnej Agelii istniały anomalie. Lukrecja Wyler, jej bratowa, wyszła za brata Antoniny di Lectus Luisy. Nazywała się teraz Lukrecja di Lectus Luisa i urodziła dziecko, chociaż wcale nie chodziła w ciąży. Twierdziła, że ciąża nie pozwoliłaby jej nigdy wrócić do jej idealnej wagi i nie zmieściłaby się w swoje cudowne sukienki. Z tego powodu zdecydowała się po prostu urodzić dziecko bez zbędnych dziewięciu miesięcy w ciąży. Gabriela Espero została żoną dawnego ministranta, Edwarda Kornulo i wciąż była wierną towarzyszką Antoniny di Lectus Luisy, którą męża nie znalazła. Po wielu latach Oktawia Wyler zrozumiała, jaki sekret skrywała Antonina. Swoją tajemnicę dzieliła z Gabrielą. Różnica między przyjaźnią a relacją romantyczną jest trochę jak podejście do wędkowania. Niektórym przyjemność i spełnienie daje samo łowienie ryb. Nie muszą ich jeść, po-

zwalają im dalej pływać w stawie po tym, jak je złowią. Niektórzy jedzą złowione ryby. Tak jak niektórzy konsumują swoje związki.

Przekleństwo milczenia dało Oktawii dar dostrzegania. W jakiś sposób czuła się Najwyższą Boginią, która patrzyła, ale nie komentowała. Widziała i wiedziała, ale czasem smutno jej się robiło, że nikt jej o nic nie pyta, nie rozmawia z nią, ale zawsze ma świadomość, że gdzieś tam jest. Oktawia była milczącą Boginią. Uśmiechnęła się na tę myśl. To była radość jej życia. Ale większa byłaby wtedy, gdyby odzyskała swój głos. Och, wtedy to by im powiedziała! Powiedziała by Lukrecji, że jej sukienki są zwyczajne, Robertowi powiedziała by, że go nie kocha. I chociaż nawet jej się podobał, kiedy nie byli małżeństwem, to wcale nie była gotowa na to, żeby zostać żoną. Gabrieli kazała by zostawić męża, bo rani jego i siebie. I kazała by im wszystkim zmienić kolor drzwi!

Z marzeniem odzyskania głosu Oktawia Wyler wyszła w nocy ze swojego domu. Nie zabrała wody ani jedzenia dla Avy Konvuzo. Chciała ją stamtąd wyciągnąć. Z muru. Nie spocznie, póki jej tam nie znajdzie. Jeśli trzeba będzie, zburzy mur... Zburzyć mur. Co jest za murem? Czy może właśnie z tym pytaniem szła Ava Konvuzo? To było jedno z jej pytań. Czy pytanie Avy Konvuzo stało się jej pytaniem? Jej, Oktawii. Nie Oktawii Kirn ani Oktawii Wyler, po prostu jej pytaniem. Oktawia ruszyła w stronę muru dumna i pewna siebie. Wiedziała, czego chce. Chce wiedzieć i widzieć więcej. O Agelii wie już wszystko.

Kiedy Ava Konvuzo przekroczyła mur Agelii, nie wiedziała, czego może się za nim spodziewać. Chciała odpowiedzieć. Po pięciu latach zna odpowiedzi na niektóre swoje pytania, ale te mnożą się w nieskończoność, co daje jej w życiu dużo szczęścia. Była zawodowym poszukiwaczem odpowiedzi. Postanowiła jednak wrócić do Agelii, bo wiedziała, że to całkowicie nie w porządku pozostawiać ich tam z myślą, że to Bóg stworzył huśtawki i rowery. Nie wiedziała nawet, że czas tak szybko płynie poza murami Agelii. Pięć lat. Prawie tego nie zauważyła, ale to pięć lat bez twarzy, z którymi się wychowywała. Bez rodziny, bez zmarłych uwięzionych za murami Agelii. Teraz znów tu jest. Przed tymi niewidocznymi drzwiami. Ale one zawsze tu były. Po prostu, kiedy podejdziesz się bliżej, można w białym murze dostrzec białą klamkę. Potem wystarczy ją tylko nacisnąć.

Oktawia zbliżała się do muru pewnym krokiem, odwaga i determinacja jej nie opuszczały. Uśmiechała się do siebie z każdym kolejnym krokiem. Była coraz bliżej i bliżej, i nagle... z muru wyłoniła się jakaś postać. Nie. Nie jakaś. To była Ava Konvuzo. Dojrzała, starsza, w dziwnym stroju. W dziwnym, ale ciekawym. Zatrzymały się obie. Spojrzały na siebie. Oktawia uśmiechnęła się. Odzyskała swoją zgubę.

– Co jest za murem? – zapytała.

Tak, to Ava Konvuzo odebrała jej głos, a teraz wróciła, żeby go jej oddać. I wcale nie utknęła w murze. Ona go pokonała.

Anglia

Gdybym była teraz w Japonii
Byłabym z Tobą
Chadzałibyśmy pachnącymi kolorowymi uliczkami
Całowałbyś moje dłonie
I szeptał się do łez

Gdybym była teraz w Paryżu
Byłabym z Tobą
Siedzielibyśmy w jednej z tych malutkich knajpek
Za stołem pokrytym obrusem i stojącą na środku błyszczącą świeczką
Tuliłbyś mnie do siebie i mówił czule jakieś bzdury po francusku

Gdybym była teraz w Chorwacji
Byłabym z Tobą
Biegilibyśmy w morzu patrząc na skaliste zbocza
Kłubyby nas w nogi setki kamieni
W końcu byś mnie złapał i nie chciał z objąć wypuścić

Gdybym była w naszej Zielonej Górze
Byłabym z Tobą
Leżelibyśmy na balkonie
Odpowiadali sobie różne historie
A Ty głaskałbyś moje włosy i całował w czoło
Jestem w pochmurnym kraju
Jestem bez Ciebie
Samotna stęskniona rozdrażniona
A to Ty przecież chciałeś tu być

Niepotrzebny sen

Przeganiam sny które pamiętają o Tobie
 Nie pozwalam im trwać
 Odchodzą
 Powracam do mojego domu
 Usłanego okrzykami radości szczerymi uśmiechami pierwszymi słowami
 I tysiącami tupnięć
 Nie mam po co myśleć o Tobie
 Nie mam czasu wspominać
 Jest mi dobrze
 Kocham
 Więc przestań się już kręcić w zakamarkach mojej niekoniecznie świadomości

Prozy

Poniedziałek

Nieogarniona niebieskość na niebieskim niebie. Wy-soko uniesiona dziecięca farbka dająca zachwyt. Pa-trzę, jakbym pierwszy raz w życiu widział i poczuł, że chodzi o coś więcej. Błękit nad Zawadą, nad moim domem, ogrodem, moją głową. Nie mam dla niego jednej nazwy. Nie trzeba. Stała się wyjątkowa aura. Niebo łagodne, nienatarchywe, usłane małymi płach-tami obłoków. Ale za godzinę uderzy upał.

Odpowiedź

O co chodzi w tym naszym niskim, powikłanym, skomplikowanym, wiodącym do zmęczenia życia? O dobre słowo. A o co więcej i o co innego, to się zo-baczy. I wypada żywić nadzieję, że to, co się zobaczy, nie będzie gromem, klęską ani kamieniem.

Dobrze

Wstałem, łagodny poranek, nic nie ponagla, nic nie trzeba, dobre takie nic, ciche niebo, nie za gorąco. Lekko, ale powoli myśli i czucia same napływają w fali tęsknoty za sprawami jakiejś wielkiej duchowej wagi.

Głos

W czasie, który trwa i na ogół wiemy, jaki to czas, gdyż czujemy jego różne tchnienia na własnej skó-rze, widać, że głos humanisty nie przebija się. Głos. Mało dla niego miejsca. Jest za słaby, by być słyszany-m. Korporacje i politycy nie pozwolą. Jakby cze-muś mógł przeszkodzić. Coś nazywać po imieniu. Silny zresztą nie może być, bo zaprzeczyłby swo-jej istocie. Będzie upominał, będzie wołał, będzie ostrzegał i pozostanie głosem wołającego na pu-styni. Samotny. Marginalny. Technika i różne dzisiaj jej moce, a wraz z tym filozofie, ideologie i demago-gie łudzą ludzi wizją dobrego, wygodnego życia. Że

nikomu niczego więcej nie trzeba od rana do nocy. Przekonują do swojej słuszności. Nie da się zaprze-czyć, że dają jakąś szansę, ale tym, którzy owymi mocami dysponują, ułudnie wydaje się, że rosną tyl-ko w zwycięską siłę.

Na obrazie

Na obrazie młoda, naga dziewczyna, dziewczynka, jak zgrabna figurka z chińskiej porcelany, klęczy na parapecie okna, przy kolanach doniczka z kwiatami, za oknem świat, którzy patrzy na jej piękne cia-ło, będące kwiatem.

Moje życie

Upewniam się, że od urodzenia w zasadzie całe życie idę, a zwłaszcza chcę iść, w stronę piękna. Jest we mnie silna taka determinacja. Wewnętrzny paradyg-mat, który we mnie układa się w opowieść. Na spa-cerze wychylam się albo rozglądam za jakimś ujmu-jącym widokiem, żdźbłem, kamykiem, zjawiskiem, refleksem światła. Nie zawsze udaje się to. W kon-taktach z ludźmi też raz po raz nie udaje się.

Lebioda

Młoda, miękką lebiodą, ręcznie wyrwaną najczę-sciej z pola kartofli, które miało jeden główny cel – jesienią wydać obfity plon, na wsi zimą szczegól-nie ceniony, więc młodą lebiodą moja mama kar-miła kury, kurczęta, trzodę chlewną. Pamiętam te widoki i lata. Duże jej pęki niemal codziennie nio-sła do domu. I żyliśmy. Kto dziś wie, że to bardzo cen-ny, pożywny pokarm, zielsko? Urosła zieloniutka le-bioda nieopodal ściany garażu, z jednego ziarenka. Zieleń satynowa, niepospolitej tonacji, liście drobne, liczne, niebanalna linia ich kształtu, nic jej tu nie za-graża, żadne inne rośliny nie stłumiają tego miejsca,

gdzie ona osiąga swoją dorodność ani moje spojrzenie jej nie zagraża. Ani upał. I wiatr nie połamie. Ale pomiędzy listki dociera światło. Na wszystkie strony bez przeszkód wokoło poszły jej drobne, liczne łodygi, i usadowiło się na nich mnóstwo kuleczek z nasionami, tysiące ich, a może miliony, które będą zaraz się rozsypywać. Patrzę i widzę piękno tej odpowiednio wysoko uniesionej harmonii. Tak. Ta lebiada udowadnia bez jednego słowa rację swojego istnienia. Pospolita roślina, której się udało. Jednak w przyrodzie nie ma idylli. Trwa zmaganie. Każda roślina o swoje miejsce musi walczyć. Okazuje się, że możliwe jest współistnienie. Cały w tym urok świata. Ktoś słusznie może zapytać, o co mi chodzi i dlaczego zachwył.

Wtajemniczenia

Malarstwo jest znakiem. Przybyło z Afryki. Coś nam daje (to symboliczne) poza zdobniczym walorem. Ma sens, ważny sens, wtedy, gdy zauważymy obecny w nim znaczący sekret, punkt magiczny, który kolory i kształty, linie i punkty na płótnie przewartościowuje. I do tego sekretu można odnieść całą artystyczną przestrzeń. Takie (żywe) obrazy dobrze jest kontemplować. Za sprawą zagadkowego uśmiechu Giocondy wszystko na tym obrazie Leonarda da Vinci także uśmiecha się. Widać wysiłek odkrycia. Jednak wtajemniczenia, czyli odkrycia sensu sztuki, nie każdemu są pisane. A współcześnie? Mało szerszych odniesień daje fragment, barwna plama, impuls lub aspekt istnienia. Uniwersalizujący znak jest jakby poza możliwością sztuki, a może w tym ograniczeniu zawiera się ukryte jednak wskazanie na pełnię?

Gwiazdy

Sierpniowe, czyste niebo pełne gwiazd. Noc duszna, spać trudno. I trzeba wyobrazić sobie, że w takiej spiekocie, upale i żarze wybuchło Powstanie Warszawskie, dzisiaj oceniane już krytycznie, które wymagało w każdej sprawie najwyższego rodzaju wytrwałości. By przeżyć jeszcze jeden dzień, godzinę, w niedostatku, wśród ruin, w zaduchu piwnicznym zburzonego domu. A nam przewraca się w głowach, bo mamy pracę, nowe auta i nadmiar dóbr.

Inne gwiazdy

Gwiazdy biznesu, filmu, telewizji, mody, sportu, internetu, reklamy, muzyki, miss-gwiazdy i wszelkie inne rodzaje celebryckich ciał domagają się, by na nie zwrócić uwagę, słuchać ich rad, pouczeń, mądrości, opowieści i podziwiać je oczywiście. Wszystkie nakierowane na wchłanianie naszego wewnętrznego światła, naszych pieniędzy, emocji, dostosowywania do głoszonego stylu życia, ekstrawagancji, jedzenia, leczenia chorób, ubierania, zachowań seksualnych etc. Tylko nie do bycia światłem.

Czasy

Czasy nastały lepsze. Łżejsze. Prawdziwie tej wartości nie cenimy. Każda jasność ma jednak swoją ciemność. I to ona wystawi nam rachunek. Tylko nie wiemy, w którym to będzie momencie.

Zdanie

„Wróciłam z trzeciego (w ciągu ostatniego tygodnia) pogrzebu. Ludzie padają jak muchy”. Krótkie, smutne zdanie. I nawet nie ma miejsca, by do tego dodać coś jeszcze. Tylko napić się herbaty. Zamknąć okno, bo do pokoju wpadają cmy.

Brzoskwinia

Obciążone wielością owoców gałęzie brzoskwini złamały się. Rano wstałem i zobaczyłem z daleka. Zabolało. Drzewo nie dało sobie rady z ciężarem, a ja nie doceniłem odpowiednio wcześniej powagi sytuacji.

Gdy

Życie martwieje, gdy nie ma demokracji, co poznaliśmy nie tak dawno aż nadto z wielu stron. A gdy jej za dużo – zmienia się w anarchię, głupotę, jątzenie, rozprężenie, manipulację, nieodpowiedzialność. Najcenniejsza jest równowaga, którą ustanawia wolność i respektowanie zasad. Jednak i równowaga musi czasem być naruszana. Tego wymaga dynamizm życia. Podobnie rzecz wygląda w poezji. Gdy górę biorą emocje, szaleństwa wyobraźni, egotyzm, eksploracje skojarzeń, to poezja przestaje znaczyć. Równoważenie emocji przy pomocy rygoru stylistycznego sprawia, że czujemy poetycką powagę. Nie tak łatwe to wszystko do zrealizowania. I poeta nie może stać

w miejscu. Wielu poetów odkrywa, ba, chaotycznie obnaża swoje wnętrza, światy, bo to łatwiejsze, łatwiejsze niż refleksja. Zarazem zadania poetyckie jawią się dość enigmatycznie. To skutek rozproszenia się i zatracenia stylu epoki. Toteż w dążeniu do własnego głosu i prawdy można dopatrzeć się dozy artystycznego heroizmu. Wystarczy.

Za progiem

Za progiem jesień. Taka jak co roku. Wysypuje mnóstwo kolorów, liści i światła. Mimozami się zaczyna. Wszystko w krajobrazie intensywnie malarskie, jakby utrzymane na fali wyższego przeznaczenia, ale już widoczne jest osłabienie życia. Przyroda notuje umieranie, chłód, więc i kolory są wyraźnie poze-gnalne. Czerwień i złoto ogarnia rdzawość, a potem definitywnie czernieje. Już się czuje jesień, umieranie, późny czas i odpływanie fali. Jeszcze w jakimś obrazie lub w utworze poetyckim, lub w akcie życiowym ktoś próbuje siebie pokazać od najistotniejszej strony. Coś zrobić, coś powiedzieć na koniec. Zaznaczyć. Lubię czytać starych poetów. Żywiołu w ich wierszach już mało, ale istotność słów wzrusza. Samotność i poezja spotykają się ze sobą.

Powrót do Jaromierza

Podniosło mnie na duchu, bo ktoś dopatrzył się w moim narracyjnym przywoływaniu Jaromierza czegoś ważnego, przekonywającego, czego będę bronił, mówił o tym, nie wstydził się. Tam przecież wypełniło się moje dzieciństwo. Gniazdo. Wszystko zobaczyłem, dotknąłem i zasmakowałem pierwszy raz jako prawdziwe. Potem przez lata szedłem już zawsze trochę po omacku.

Wrzesień

Minął niesamowity wrzesień. Dzień za dniem szedł jak w zegarku. W pierwszym tygodniu znalazłem się w szpitalu, pisałem wiersze, siedząc na szpitalnym łóżku. Podłączano butelki z jakimiś płynami, wiedziałem codziennie, jakie mam ciśnienie krwi i temperaturę ciała, a następnego dnia zawieziono mnie na operacyjny blok. Miałem potem czas przeczytać absolutnie dobrą prozę Conrada *Smuga cienia*. Po dwóch tygodniach z wierszami jechałem do Bibliote-

ki w Gorzowie. Był słoneczny dzień, ocean obłoków na niebie, jechałem w te obłoki, mentalnie całkowicie ich urokowi oddany. Pomnik Chrystusa w Świebodzinie z dala jawił się jasno i przyjaźnie. W Bibliotece czułem dobry klimat, stoliki zajęte, widać, że publiczność słucha, Irek świetnie przeczytał mój wiersz *W prostej izbie malarstwo* (holenderskie). Całe życie do prostej izby mam azymut. Basia Dominiak zadała kilka literacko istotnych pytań, które były rejestrowane. Wracalem w nocy. Teraz w domu mogę słyszeć i siebie oglądać na ekranie. Mili ludzie – Danusia, Marzenka, poeta Jerzy Gąsior z nowym zbiorem, który powiada: „tak słuchałem, jak ty na tej harmonijce grasz”. A harmonijka to moje dzieciństwo w polach i łąkach. Wróciła po latach i znowu gram melodie, które potrafię i lubię.

Gęstwa

Gęstwa barwnego istnienia jesieni wokoło. Blisko i dalej. Zawsze można się do natury zwrócić ratunkowo o wsparcie dla swojego ja. Taras w październiku wilgotny, płytki śliskie. Niebo jasne, lecz powiewy chłodne. W ogrodzie, który nasącza światło, nieskończoność form.

Ale

Uważny obserwator spostrzeże, że świat staje się dziwaczny, ekscentryczny (Tokarczuk też to zauważa). Codziennie jakiś niewiadomy w gruncie rzeczy. Ludzie kierują się w stronę wirtualności, chyba ponad miarę. Wchodzą bez oporów, chętnie, w taki styl bycia jak w szansę bycia kimś szczególnym, wartym docenienia. Już nie wystarcza zwyczajność, już swoje miary i wartościowania dostosowują tylko do tego typu postaw. To widać wszędzie, w ubiorze, ozdobach, słownictwie, gestach i poglądach. Jakoś trochę śmiesznie robi się, teatralnie, ale dopóki czegoś się nie przekracza, to w porządku, można się czuć swojsko nawet, jednak – łatwe wbicie komuś noża w serce odśladania drugą stronę tego medalu. Jest tak, że każde lekkoduchostwo lub wariacki narcyzm zawiera dozę nieodpowiedzialności (też w polityce), beztroski, obojętności i prowadzi do głoszenia wydumanych rewelacji etc., a to skutkuje ciężko. Po prostu ciężko. Realność sprawdza każde słowo, myśl, deklarację. I wyznacza cenę.

Czesławowi Sobkowiakowi

Porozwieszane skrzydła
Poustawiane na posadzce
Stoimy a nasze myśli
Wchodzą i wychodzą
Ty chcesz kupić zewnętrzne
Ja wewnętrzne
Ty szukasz drzwi do Domu
Ja do Raju
Otwieramy i zamykamy nasze domy słowem
Stoimy między skrzydłami

Zielona Góra, lipiec 2017

Jesteś pokojem
w którym są ramy
albumy jak komody
skrywają wyblakłe zdjęcia
unoszą się zapach
naftaliny
a ja
w pokoju nie w spokoju
czekam na słońce
by włożyć stopę
w sandały i wyjść
nie zamykam drzwi i okien
by donieść można
Słowo Wodę i Czas

Zielona Góra, maj 2018

Taka sobie opowieść

Moje dzieciństwo było takie dziwne. Czasami wydaje mi się, że w ogóle go nie było. Może pojawiłem się od razu taki jak teraz, dorosły i skończony? Może pojawiłem się właśnie przed chwilą, zupełnie znikąd, w otchłani czasu, z dziury w przestrzeni, z jakiegoś zagubionego wymiaru, a wszystko, co nazywam swoją przeszłością, to tylko wyobraźnia lub sen?

Tak mi się czasami zdaje, bo wszystko, co pamiętam, jest takie dziwne. Na przykład moja matka. Nigdy nie powiedziała do mnie nawet słowa, a kiedy zbliżał się wieczór, zamiast do łóżka wchodziła do obrazu na ścianie. Jakby była tam namalowana! Nigdy nie wiedziałem, do którego świata należy, czy do tego, w którym żyłem ja, czy do tego z obrazu. Kilka razy szedłem za nią i też chciałem wejść w obraz, ale nie udało mi się to. Jakby przestrzeń nagle zamykała się przede mną i uderzałem głową w powierzchnię płótna zamalowaną farbami olejnymi.

No, powiedzcie sami, czy to nie dziwne? I nie przypominam sobie, żeby chociaż raz było inaczej! Nie. Każdego wieczoru matka wchodziła do obrazu, a każdego ranka z niego wychodziła. Pomyślcie no tylko, jak to musiało na mnie wpłynąć! Nic dziwnego, że dzieci w szkole nie chciały się ze mną przyjaźnić i zawsze musiałem bawić się sam. One coś przeczuwały, widziały coś w moich oczach, fascynowałem je, ale jednocześnie się mnie bały. A przecież to nie była moja wina, ja chciałem być jak wszyscy inni mali chłopcy!

Ale to było niemożliwe. Mój ojciec też nie był zwyczajnym człowiekiem. Całymi wieczorami siedział pod obrazem, w który wchodziła matka, i płakał. Wiedziałem, że ją kocha i że nie rozumie, dlaczego ona się tak zachowuje. Tęsknił za nią, bo nie mógł mieć jej w nocy obok siebie. Próbowiałem go pocieszyć, ale nic nie pomagało. Proponowałem, żebyśmy zagrali w warcaby, ale on nie mógł się skupić i bez przerwy przegrywał. Byłem na niego zły, bo nie poświęcał mi wystarczająco dużo uwagi, ale też rozumiałem jego melancholię i najczęściej po prostu zakładałem mu na ramiona marynarkę i szedłem spać.

Dnie zresztą nie były mniej dziwne niż wieczory. Ojciec przeważnie wychodził z samego rana obrządzając zwierzęta, a ja jadłem śniadanie z matką. Nie umiała gotować, więc jedzenie było pozbawione smaku, za słone lub przypalone. Udawałem, że mi smakuje, bo marzyłem tylko o tym, że pewnego dnia ona powie do mnie chociaż jedno słowo. Ale matka nawet nie patrzyła mi w oczy, kręciła się koło kuchni, dorzucała drew do pieca, szczekała garnkami, ale mnie traktowała z wyniosłą obojętnością. Czasami wydawało mi się, że może w ogóle nie jestem jej synem, może po prostu ktoś dał mnie jej na wychowanie lub podrzucił i nie miała wyboru?

Kiedy pojawiały się takie myśli, ogarniał mnie niewysłowny smutek. Szedłem wtedy do lasu i przytulałem się do drzew. Wyobrażałem sobie, że to one są moimi najbliższymi krewnymi, że to z nich się narodziłem. Zamykałem oczy i godzinami wsłuchiwałem się w ich szum. Tak, one do mnie przemawiały. Starałem się zrozumieć słowa, które niósł do mnie wiatr. Ale to nie były ludzkie słowa, to były słowa dębów, brzoź i grabów. Było w nich coś uspokajającego, jakby chciały mi zaśpiewać kołysankę, zapewnić, że pewnego dnia wszystko się jakoś ułoży.

Niestety, nie mogłem przecież zamieszkać w lesie, mimo że moja matka zamieszkiwała w obrazie. Dlatego później lub prędzej wracałem do domu i zgłodziłaby zabierałem się za jedzenie kolacji. Tę przy-

rzędał zwykle ojciec, dlatego była smaczniejsza niż śniadanie. Stawiał przede mną zazwyczaj wielki talerz z jajecznicą i dwie kromki chleba, a do tego kubek kakao. Mowa drzew i te kolacje to były moje najprzyjemniejsze codzienne doświadczenia z dzieciństwa. W oczach ojca widziałem już lęk, bo wiedział, że matka za chwilę wejdzie do obrazu, a my zostaniemy sami, jak zwykle porzuceni przed ciemnością nadchodzącej nocy.

Od tej rutyny różniły się wszystkie niedziele. Śniadanie jedliśmy zazwyczaj nieco później, a po nim szliśmy nad rzekę. Jej koryto wiło się malowniczo wśród łąk i cieszyłem się, że będę mógł patrzeć na ryby pływające w spokojnym nurcie, a także przypatrywać się swojemu obliczu w niemal gładkiej tafli wody. Wiedziałem też, że ojciec będzie puszczał kaczki i będzie z siebie zadowolony, jeśli uda mu się pobić rekord w ilości odbić kamienia od powierzchni rzeki. Tak, te wyprawy mogły być takie piękne. Rosnący przy brzegu tatarak, pasące się w pobliżu krowy, rozległe zielone przestrzenie... Nad rzeką było naprawdę pięknie.

Niestety, matka zdawała się tego nie dostrzegać. Miała srogi wyraz twarzy, siadała odwrócona do nas bokiem i wpatrywała się w dno rzeki, jakby tylko jego pragnęła. Teraz myślę, że była w niej tęsknota śmierci, że życie ledwie się w niej tliło, a śmierć ogarniała jej ciało płomieniem.

Dlatego po kilku minutach matka najczęściej zaczynała płakać i nie dało się jej pocieszyć. Ojciec podsuwał jej niemal pod nos kawałki pysznego ciasta i ciepłą herbatę, ale ona nie miała ochoty. Gestem ręki pokazywała, żebyśmy zostawili ją w spokoju. Ale przecież nie mogliśmy tego zrobić. Tylko z nią tworzyliśmy całość, bez niej byliśmy niekompletni, bezradni, opuszczeni. Wydaje mi się, że matka o tym wiedziała, dlatego w końcu przestawała płakać i wracaliśmy do domu. Tu popadała w swoją posępną obojętność i chociaż siedziała z nami przy stole, to była nieruchoma jak postać z obrazu.

Tak właśnie wyglądało moje dzieciństwo. Ale czy to w ogóle możliwe, czy nie wyobraziłem sobie tego z jakiegoś powodu? Wydaje mi się, że nie, ale kto może być pewien takich rzeczy...

Kiedy dorosłem, moje życie wcale nie stało się normalniejsze. Wyprowadziłem się od rodziców, ale zamieszkałem w pobliżu, a pierwsze, co zrobiłem po przenosinach do nowego domu, było zamówienie kopii obrazu, który wisiał na ścianie u rodziców. Dopiero teraz, gdy malarz pracował, siedząc naprzeciwko oryginału, dokładnie przyjrzałem się dziełu. Przedstawiało ono wielką komnatę, jakby w jakimś zamku, zupełnie pustą, straszną od tej rozległości i pustoty. Jej podłoga była pomalowana w ciemnożółte, niemal pomarańczowe i czarne kwadraty, które tworzyły idealną szachownicę. Po lewej stronie znajdowało się duże łóżko z baldachimem i stał bogato zdobiony złoty tron. To na nim zazwyczaj siadała matka, gdy wchodziła do obrazu. Czasami kładła się też do łóżka i przykrywała aksamitną kołdrą, tak że ledwie było widać czubek jej głowy. Po prawej stronie komnaty znajdowało się wielkie okno, jakie widzi się czasami w zabytkowych zamkach. Nie było w nim firan ani zasłon, za to do środka wpadało intensywne światło słoneczne, które zalewało całą komnatę jakąś boską, złotą jasnością. Obraz był olbrzymi, zajmował niemal całą ścianę, a już więcej nic na nim nie było, nic więc dziwnego, że szachownica podłogi i czerwień ceglanej ściany sprawiały niemal obezwładniające wrażenie.

Nie wiem właściwie, po co zamówiłem kopię obrazu, ale czułem, że bez niej moje nowe miejsce zamieszkania będzie jakieś niekompletne. Ojciec chciał oczywiście, żebym zabrał oryginał, myśląc, że dzięki temu odzyska matkę na czas nocy, ale ona się nie zgodziła. Widziałem jego rozczarowanie i narastający w nim brak nadziei. Był więźniem, któremu odebrano szansę na skrócenie wyroku.

W końcu malarz ukończył kopię i zawiesiłem ją w salonie swojego domu. Muszę przyznać, że wykonał dobrą robotę: obu płócien niemal nie można było odróżnić.

Zastanawiałem się, co to znaczy. Nic nie przychodziło mi do głowy, to znaczy żadne myśli, bo w cieple coś jednak czułem, jakieś ciepło, jakieś mrowienie, uczucie, którego nie potrafiłem nazwać. Wieczorem próbowałem wejść do obrazu, ale i tym razem mi się nie udało. Również pod tym względem kopia nie różniła się od oryginału...

Kilka dni później obudziłem się w środku nocy i poczułem niedające się przezwyciężyć pragnienie. Chciało mi się pić, ale chodziło też o coś innego, o tęsknotę za czymś, o wypełnienie pustki, która nagle pojawiła się w moim ciele. Zszedłem do kuchni, nalałem sobie mleka i poszedłem do salonu, żeby je wypić. Zapaliłem światło i odruchowo spojrzałem na obraz. Jakież było moje zdziwienie, gdy... zobaczyłem na nim moją matkę! Siedziała nieruchomo na krześle, jakby była namalowaną postacią, chociaż wiedziałem dokładnie, że malarz jej tam nie umieścił!

Usiadłem w fotelu lekko przerażony, chociaż przecież wydarzenia mojego dzieciństwa przyzwyczyły mnie do niezwykłości. Jeśli jest na moim obrazie, to czy nie ma jej na obrazie w domu mojego ojca? Jeśli pojawiła się na moim obrazie, to czy jutro rano z niego zejdzie? Takie pytania zadawałem sobie, pijąc mleko. Czułem, jak zimna cieś przepływa przez mój przełyk i ląduje w żołądku, a jednocześnie czułem jakiś chłód duchowy, jakby coś zabierało ciepło z całego mojego życia.

Nagle zerwałem się na równe nogi. Niemal instynktownie pobiegłem przez mrok do domu moich rodziców. Zacząłem walić w drzwi. Ojciec widocznie nie spał, otworzył mi niemal natychmiast. Powiedziałem mu, co mnie do niego sprowadza. Razem popatrzyliśmy na obraz w jego salonie: tu również siedziała moja matka, a jego żona, w pozie identycznej jak na moim malowidle. Ojciec tylko machnął ręką, ja wróciłem do siebie i położyłem się do łóżka. Początkowe zdziwienie mnie opuściło, teraz cała sytuacja zdawała się idealnie pasować do całego mojego życia.

I tak sobie mieszkaliśmy. O obrazy, na których wieczorami pojawiała się moja matka, były centrum naszego świata. Wydaje mi się, że mieliśmy dla nich niemal religijną cześć.

Próbowałem ciągle poznać dziewczynę, z którą mógłbym się związać, ale jakoś mi to nie wychodziło. Chyba byłem zbyt wstydliwy. Bałem się do nich zbliżyć, a o to im prędkiej lub później chodziło. Wydaje mi się, że czuły instynkt macierzysty i chciały, żebym miał z nimi dziecko.

Kiedyś przez jakiś czas spotykałem się z Emilią. Początkowo chodziliśmy na spacer do lasu lub na lody, ale potem ona chciała przyjść do mnie do domu. Przestraszyłem się tego i przestałem odbierać od niej telefony. Tak samo było właściwie z każdą dziewczyną. Nie wiedziałem, czego konkretnie się boję, ale mimo to strach był przerażający.

Te doświadczenia spowodowały, że zaczął narastać we mnie olbrzymi smutek. Był jak ciężar, który sprawia, że trudno było mi nawet wstać z łóżka.

Pewnego dnia poszedłem do rodziców. Chciałem, żeby było jak dawniej, gdy byłem dzieckiem. Powiedziałem im o tym, zaproponowałem nawet, że z powrotem przeprowadzę się do nich. Ale ojciec popatrzył na mnie w taki dziwny sposób. Czułem, że nie podoba mu się to, że jest mną rozczarowany. W oczach matki widziałem więcej przyzwolenia, ale nie sprzeciwiła się swojemu mężowi.

Dlatego w niedzielę zacząłem chodzić sam nad rzekę. Wybierałem dokładnie to samo miejsce, gdzie wcześniej bywałem z rodzicami. Siadałem na kocu, nalewałem sobie herbaty z termosu, odwijając ciasto z folii kuchennej. I czułem nieskończony smutek i samotność. Mój wzrok mimowolnie kierował się w kierunku dna i teraz wiedziałem już dokładnie, co czuła moja matka. To było przekleństwo, które przeszło z niej na mnie. Oboje za bardzo baliśmy się życia i dlatego gdzieś w głębi pragnęliśmy śmierci. Ale to pragnienie zawsze zatrzymywało się gdzieś na skraju spełnienia, dlatego wciąż żyliśmy, ale w taki pośpny, niekompletny sposób.

Dlatego z wiekiem coraz częściej zdarzało mi się budzić w nocy, schodzić do salonu i patrzeć na matkę na obrazie. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, a jednocześnie nienawidziłem jej. Zastanawiałem się, co stanie się, gdy pewnego dnia ona umrze, czy będzie to oznaczało dla mnie wyzwolenie? Ta myśl nie przestawała mnie prześladować, a jednocześnie czułem się winny z jej powodu, bo w pewien sposób pragnąłem śmierci własnej matki...

Matka rzeczywiście pewnego dnia umarła, choć jestem pewien, że nie miało to nic wspólnego z moimi myślami. Po prostu zestarzała się i umarła. To było w jesieni, podczas jej ulubionej pory roku. Byłem przy jej łóżku, gdy odchodziła i pragnąłem, żeby przynajmniej w tej chwili coś do mnie powiedziała. Zadowolony byłbym nawet jedno słowo. Ale nic takiego się nie stało.

Dwa dni po śmierci pochowaliśmy ją i wróciliśmy z ojcem do jego domu. Siedzieliśmy w kuchni i czuliśmy się jak dwaj obcy mężczyźni. Bez niej wszystko było jakieś dziwne. Nie płakaliśmy, bo wstydziliśmy się siebie nawzajem. Dlatego po jakiejś godzinie wróciłem do siebie.

Dopiero w samotności pozwoliłem sobie na płacz. Wiedziałem, że od tego dnia już nic nie będzie takie samo. W łazience zobaczyłem swoją twarz w lustrze. Chyba nie patrzyłem w nie od wielu lat. Niemal siebie nie poznałem. Nie wiadomo kiedy stałem się starym człowiekiem. Moja matka żyła bardzo długo, umarła w wieku niemal dziewięćdziesięciu lat. Nagle zrozumiałem, że jej śmierć niczego nie zmieni. Dla mnie było już za późno na cokolwiek, również moje życie dobiegało końca.

Przez całą noc siedziałem naprzeciw obrazu, zastanawiając się, czy matka pojawi się na nim. Ale malowidło było puste. Budziłem się przez kilka nocy z rzędu, a matki nigdy nie było na obrazie. Zrozumiałem, że opuściła mnie na dobre. Poszedłem do ojca i zapytałem, jak wyglądała sytuacja u niego. Było tak samo: wizerunku matki nie było na obrazie.

Tak właśnie wyglądało moje życie. Nawet nie zauważyłem, kiedy się zaczęło i niemal przegapiłem jego koniec. Dni płynęły jeden za drugim, a ja ciągle myślałem, że mam jeszcze przed sobą dużo czasu, że jeszcze wszystko mi się uda, a to było tylko złudzenie, dziecinne marzycielstwo.

Ale może tak jest z każdym człowiekiem? Może inaczej się nie da? Trzeba wymyślać sobie tę niemal niemożliwą historię swojego życia, bo rzeczywistość jest zbyt bolesna?

Tydzień po pogrzebie matki zrobiłem to, co powinienem był zrobić już dawno: zniszczyłem obraz. Pociąłem go nożem na małe kawałki, a ramę porąbałem siekierą, a później wszystko spaliłem w piecu. Po wszystkim poszedłem nad rzekę i siadłem w tym samym miejscu, co zawsze. Zaczął padać deszcz i wydawało mi się, że wszystko się w nim rozpuszcza, cały świat, a potem spływa do spokojnego nurtu i jest dokądś unoszony, do jakiegoś odległego, nieistniejącego morza.

Ale to było tylko złudzenie. To tylko my powoli znikaliśmy z powierzchni planety, cała moja rodzina, która kończyła się na mnie. To był tylko nasz osobisty koniec świata, wszyscy inni mieli się doskonale.

Kiedy to zrozumiałem, poczułem nagłą lekkość. Niczego już nie musiałem, poddałem się biegowi czasu. I wydawało mi się, że z dna rzeki uśmiecha się do mnie matka. I że coś mówi, ale nie rozumiałem słów, bo tłumiała je woda. Matka otwierała usta, jak ryby otwierają swoje pyszczki, nadaremno. Ale co nie jest właściwie nadaremno?

Opowiadanie zdobyło 1. nagrodę w 19. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”

Ku jesieni

Ścieżkę po której
z głębokiego jaru
nad rzeką
wspinam się
ku światłu pól
zasypały liście
Pod butami szeleści
jesień

Bez odpowiedzi

Jak przychodzą
skąd się biorą
kiedy
Pyta mnie ktoś
o wiersze
czym wprawia
w zakłopotanie
Bo jak tak naprawdę
nie wiem

Mój bluesie

Kołysz mnie
kiedy sen u powiek
i gdy nie chce przyjść
bo różnie bywa
kiedy brzask rozprasza
ciemność nocy
i słychać pierwszych ptaków
śpiew
w każdej chwili kołysz
by łatwiej było iść i być
kołysz nocą i dniem
prowadź tam
gdzie jest ciepła i dobra
w sam raz
Prowadź tam
drogę dobrze znasz
Mój bluesie

Zima

Dwa ruchome punkty
człowiek i pies
brną bo od dwóch dni pada
gałęzie ledwie wytrzymują
ciężar śniegu
zwierzęta i ptaki ukryły się
przeczekują
Dwa ruchome punkty
w ciszy
zostawiają ślady
które powoli zasypuje
i pochłania zimny las

Ślady dzieciństwa

Szare, sepiowe,
Zastygłe w sieci splekanych luster,
Jeszcze śnią się w cichych ścianach,
W niemych ramach krajobrazów,
Gdzie latem chłodzą zaciszem sadów,
A zimą na ciepłym przypiecku
Ogrzewają wychłodzoną pamięć...

(...) Pomorze Zachodnie. Rok 1953. Mam dziesięć lat. Jestem nieśmiała, strachliwa, bracia mnie dręczą... Mama i dziadek nie widzą, że trzeba z tym do lekarza. Do psychologa? A kto to jest i gdzie takiego szukać? Mama powtarza: – Dziecko, ty się boisz i wstydzisz? Czego? Jesteś głupia. I tyle rodzicielskiej terapii.

Ale lubię pisać. Postanowiłam notować wszystko, co się wokół mnie dzieje. Co mnie boli, przeraża, a czasami cieszy. Ukryta za wielką szafą, w kąciek poddasza, staram się uciec od dręczącej fobii...

O naszej kozie, mojej sukience i smacznej zupie (...) Dziadek mówi, że Becia to nasza żywicielka. Ma ostre rogi i dwie „bazie” pod brodą. Lubi oberki, śpi w ziemiance i jest bardzo odważna. Nie boi się nawet ropuchy i zabitego żołnierza, co go dziadek tam znalazł. Jak się wprowadziliśmy, po Niemcach.

Na rowach rosną gęste trawy. Pasę tu naszą kozę i wstydzę się biedy, chociaż sukienkę mam z Unry, w niebieskie kropki, śliczną, że nawet do kościoła.

Chabry, mleczce, rumianki i te drobne różowe kleją się jak miód. Wystarczy pogryźć, wysssać, połknąć – i nie jest się już głodnym, i wcale nie boli brzuch. Czekamy na tatę z wojny. Dziadek pociesza, że niedługo do nas wróci.

Dzisiaj chmury są białe jak konie od sąsiada. Biegną i biegną... Leżę sobie na trawie, patrzę w niebo, a koza skubie zielsko i białe kwiatki koniczyny... Długo tak leżę, bo do samego wieczora. Aż przybiegła po mnie Janka, że jest list z Anglii w czarnej ramce. I że przyniósł go pan listonosz, a mama płacze. Ale że jest też smaczna zupa z koziego mleka, gęsta, z zacierkami.

O starej Talarzycy (...) Ona wysiadywała tam od zawsze. Tkwiła na rozlewisku jak duża, błotna pajęczyna, a smugi słońca na jej splewiałej chustce przybierały groźne kolory. Krzesło miała z wyciętą dziurą i waderko pod spodem. I nigdy się nie ruszała. Była jak dziadkowy gnom z bagiennej gliny, który chronił od złego naszą kozę. Wszyscy mówili, że Talarzyca ma chyba ze sto lat albo i więcej, bo nikt nie pamiętał jej życia.

Wtedy, jak położyli ją na brudnych deskach, to od razu zaczęła straszyć dużych i małe dzieci z bagien. Ktoś powiedział, że ta stara wcale nie umarła, tylko zaschła ze starości, dlatego straszy. A ksiądz w kościele kazał się modlić, bo czy jej ciało żyje, czy nie, to tylko wie jeden Pan Bóg, który jest w niebie.

Ale jak był różaniec, to ja widziałam, że ona otwiera oczy i grozi palcem.

O głupim Stachu (...) Nasze rozlewisko sięga aż po bagna. W tamtym miejscu przepływa rzeka Studnica i wiercą się w wodzie drobne uklejki. Jak się zaprzeć na kępie i złapać za zwisające łoża, to można poplukać sobie nogami po sam muł i patrzeć, jak rybki wirują śmiesznie. Najlepiej być na bosaka, ale czarne pijawki tylko czekają, żeby przyczepić się do nóg. Mój brat Sławek jest gruby i nie wpada za głęboko. Helenka się z niego śmieje, że tłuszcz lubi pływać. A krowy od Bojków tylko jedzą trawę i mają miny, jakby poza łąką nic ich na świecie nie obchodziło.

Zimą na rozlewisku mocno zamarza. Można się ślizgać, jak kto tylko lubi. Sławek to nawet jeździ na plecach, bo ma kozuch poniemiecki, co go nasz dziadek znalazł na strychu.

W każdą Wigilię Stachu od sąsiada wyrąbuje przeręble i łapie ryby „na kiwajkę”. Wtedy akurat padał śnieg, równiutko zasypał lód i przykrył calusieńkie rozlewisko. Jak wyciągali Stacha, to był cały szklany. Już nie oddychał, tylko błyszczał jak Kaj z naszej książki o Królowej Śniegu.

O naszym podwórku (...) Latem po całym podwórku biegają różne dzieci zza bagien. My też – bez butów, na bosaka, bo mama mówi, że szkoda niszczyć. Niech zostaną do szkoły i do kościoła. Są też kury, myszy, pszczoły i pełno wszystkiego. I chrabąszcze, co nasza kwoka strasznie lubi. Ona wysiadyje na jajach, żeby były kurczaki na rosół dla Sławka, który nam często choruje.

Po kurach walają się gówienka. Jak wyschną na całkiem twardo, to Antek ładnie nimi rysuje na ścianach baraków. Ten Antek jest bardzo brzydki, bo kuleje i nie ma jednego oka, ale rysować potrafi pięknie.

Pod poniemieckimi barakami mieszkają dzikie króliki. Rzucamy w nie kamieniami, a one strasznie piszczą i uciekają w szuwary. Dziadek zakłada na nie wnyki. Jak się któryś da złapać, to jest obiad na niedzielę. Mama mówi, że darmowy i na dodatek bardzo smaczny.

O Alusiu i duchu głupiego Józka (...) Za krzakami na nowym kocu leży taki Aluś, co zawsze czyta grube książki. Jest ładny, czysty i bardzo mądry. Ja i Janka strasznie się go wstydzimy. A jego babcia ma krzywy nos i krzyczy do dzieci *raus*. Bo to jest poniemiecka Baba Jaga i czas najwyższy, żeby wyjechała do swoich, za Odrę. Tak powiedział kiedyś do mamy nasz dziadek Franek.

A w ziemiance za barakami, tam gdzie mama hoduje świnię, straszy duch głupiego Józka. Bo on naszej Jance zrobił w lasku coś takiego, że długo leżała w łóżku i nie odzywała się do nikogo. Potem, jak ten Józek wykopywał skarby po Niemcach, to rozerwała go bomba i Janka powiedziała, że dobrze mu tak.

O Stelli, że jest śliczna i siedzi w pierwszej ławce (...) Ona jest jak lalka w różowej sukience, a pani od polskiego powiedziała kiedyś, że jej imię to gwiazda. Chociaż ja, w domu, w moim małym lusterku, jak zamknę oczy i zaraz je otworzę, to też jestem przez chwilę jak Stella, z lokami, naprawdę. Ale bym się wstydziała komukolwiek o tym powiedzieć. Mama mi mówi, że chociaż bracia mnie przezywają krótkowłosek-długonosek, to mam się tym wcale nie przejmować, bo za mokradłami mieszkają bardzo biedne dzieci, które zamiast włosów mają strupy, a i tak zawsze są wesołe.

Raz w naszej klasie też było wesoło, bo pani nauczyła dzieci przedstawienia o królownie. Ja i Janka nadawaliśmy się na zaby, a Stella została królowną w złotej koronie. Mnie i Jance mama kupiła nowe rajtuzy i sandały, żeby było ładnie. Ale chłopaki i tak się z nas śmiały – ropuchy, ropuchy...

A Stella tak pięknie tańczyła. I pani dla niej grała na wielkim fortepianie. Myśmy skakały z tyłu. I też się cieszyły, bo pani powiedziała, że stanowimy tło dla prawdziwej artystki.

O moim bracie Sławku (...) Puścił baka i bał się poruszyć. Klasa pokładała się ze śmiechu, a pani za karę posadziła go w osłej ławce. Z tego wstydu chciał umrzeć. Potem już nie, bo dziadek zabierał go nad staw, na krasnopióre płotki. Łapali je na białe robaki, które wierciły się w puszcze. Zupełnie jak te w naszym wy-

chodku. A brat brał je w dwa palce, nakłuwiał na haczyk i zaraz potem, bez umycia rąk, jadł chleb ze smalcem i grubo cukrem, który zawsze podkradał mamie.

W ogóle miał pomysły. Raz wykombinował, że w klatce na króliki z małej jaszczurki wyhoduje dużego krokodyla. Ale jaszczurka szybko zdechła i trzeba ją było zakopać. Postanowiliśmy, że w tym pudełku od Janki, po jej lekarstwie. Ona na coś chorowała i miała ich aż trzy. To jedno, które nam odżałowała, było bardzo piękne, z przegródkami. Pisało na nim: Penicylina. Dołożyliśmy tam mysz złapaną na łapkę, suchą muchę z okna i łysęgo ptaszka, który akurat wypadł z gniazdko. Kiedyś później zrobiło nam się tego pudełka szkoda, odkopaliśmy grób, ale tam już tylko strasznie śmierdziało.

O tym, że bratu urosły nogi (...) Wtedy, na wiosnę, bratu tak urosły nogi, że nie mógł wcisnąć zeszłorocznych pepegów. Mama poobcinała mu paznokcie, że aż z dużego palca zaczęła kapać krew, ale buty i tak nie chciały wejść. Pani Lefferowa poradziła, że lepiej obciąć czubki w butach, niech nogi mają swobodę. Mama tak właśnie zrobiła i stopy weszły. Tylko wieczorem, po bieganiu, jego palce były całe czerwone i zapuchnięte. I nie pomogło nawet jakieś specjalne smarowidło od takiej dziwnej babki, która mieszkała za lasem. Wtedy dziadek przyniósł mu poniemieckie łapcie ze strychu. Były za duże i tak szurały, że brat już przez całą wiosnę nie mógł się z nami bawić w berka. I strasznie płakał.

O mnie, o makach i o odważnym Kaziu (...) Płatki już opadły, ale makówki są jeszcze zielone. Gdy dojrzeją, powyjadamy z nich środki. Będziemy znowu turlać się po trawie, aż zaśniemy na mokrej łące. Musimy uważać na szczypawki i włochate robale, bo włożą pomiędzy palce u nóg. Ale co tam!

Na poziomki trzeba przez grzęzawisko czołgać się na czworakach po grubych gałęziach i trzymać się mocno za ręce. Kazio ma tylko jedną. Drugą kiedyś mu urwało. Dziadek mówi, że to jeszcze wtedy, jak była wojna. Ale Kazio i tak nie boi się niczego, nawet ostrego noża. Wycina nim jakieś białe korzenie i zaraz je zjada.

Dzisiaj jest czarny wieczór. Na bagnach wyrosła mgła jak dym na łące u tego pana, który pali suchą trawę. Mama bardzo się o Kazia boi, bo kładka ma dużą dziurę, a jego wciąż nie ma.

O biednej Chrumce (...) Raz, jak zakwitły śnieżynki, to mama się strasznie zmartwiła, bo nasza świnka zachorowała na reumatyzm. Pełno deszczu się na nią wylało i nawet nie pomogło, że posmarowali jej nogi grubo smalcem i zawinęli ciasno w szmaty. Ona i tak, biedna nasza Chrumka, nie dała rady chodzić. Więc postanowili ją zabić.

Dziadek uwiązał świnię do drzewa, gdzie stało pełno dzieci. Chciał dużym nożem w serce, ale poszło za bardzo w bok. Świnka kwiczała na całe podwórko, a krew sikała jak z sikawki tego pana strażaka, co kiedyś gasił pożar u Dopierałów. Dopiero nasz pan sąsiad trafił w samo serce. Chrumka upadła na trawę i miała strasznie czerwone oczy. Ja i brat płakaliśmy i nie chcieliśmy później tego mięsa jeść, ale dziadek na nas krzyczał i musieliśmy.

O słodkim miodzie i o dziadku, który gdzieś nam zaginął (...) Wszystkie dzieci najbardziej się cieszą, jak dziadkowe pszczoły fruwać, bo jest wtedy w sadzie pełno motyli i dziadek daje każdemu do ręki plasterki miodu. I zawsze kwitną późne stokrotki. Mama mówi, że to anioły, bo są piękne jak nasz poniemiecki ze strychu, co w święta Bożego Narodzenia wisiał na czubku choinki i śpiewał *Stille nacht*.

Tylko że nam się teraz strasznie chce płakać, bo nasz dziadek gdzieś zginął. Właśnie wtedy, gdy wszystkie dzieci były w lasu na orzechach. Orzechy są bardzo smaczne – trzeba je najpierw w dwa kamienie, potem wyskubać i sobie chrupać. W tym lasu często włożą w nas kleszcze. Wieczorem mama je chłapie okowitą i wydłubuje...

Ale my się bardzo martwimy, że naszego dziadka nie ma.

O naszym dziadku jeszcze raz (...) Pod lasem i nad mokradłami zawsze wiszą mgły. Tam trawy się kołyszają w gniazdowaniu, bo lipiec, i pisklaki się pierzą – mówił. A tu jest lustro, w którym widać niebo, moja kochana wnuczko. Dziadek zawsze wszystko tłumaczył – że nie wolno skakać po kępach i nie rzucać kamieniami w torfowisko, bo topielica wciągnie.

Bagna świeciły cudnie od drobniusiękich jaskrów. Czasy zdawały się dłuższe od zwyczajnych. Wcisnęłam piąstki w jego duże ręce – bezpiecznie i ciepło.

Wtedy było już ciemno. Dziadek ubrał w niedzielny garnitur po tacie. Nie oddychał. Pełno było na nim lepkich kwiatków z bagien. Jak się modliłam, to na mnie patrzył. Naprawdę. Później już zawsze bałam się nocy.

O Sławku i że ja też byłam chora (...) Jak znowu przyszła wiosna, to Sławek musiał pić smalec wytopiony z psa. Z tego Burka, co był obdarty ze skóry i wisiał na haku w naszej zimnej komórcie. I nie wolno było nikomu o tym mówić, bo wujek go złapał na pętlę, którą ukręcił z ukradzionego drutu. A mama zrywała w lasu klejące czubki z sosenek i później je długo gotowała. Też dla Sławka. Dosypywała do nich dużo cukru. To było lekarstwo, które Sławek bardzo lubił. Nawet czasem dawał mi trochę na łyżeczkę. Tylko że ja nie mogłam się z nim bawić, żeby się od niego nie zarazić. Chociaż my i tak uciekaliśmy za lasem, aż pod bagna, gdzie nikt nas nie widział.

Jak byłam bardzo chuda i blada, to jakaś pani zawiozła mnie na rowerze gdzieś daleko. Musiałam tam w samych majtkach wejść do ciemnej komórki, a pan z brodą w białym fartuchu zbadał, że mam chore płuca.

Później długo piłam gorzkie lekarstwo i było mi smutno, bo nasza mama zawiozła Sławka pociągami gdzieś jeszcze dalej. Tam, gdzie chore dzieci zdrowieją. Ale on i tak umarł.

O tym, że wciąż się boję (...) Już nie ma Janki i Sławka, a za bunkrem poniemieckie groby. Tam znów zakwitły nasze zawilce. Kiedyś wszyscy zbieraliśmy je w bukiety do ładnego pokoju i mama się cieszyła. Teraz jestem sama i wciąż mam lęki. Z tamtych grobów wyskakują szczury i świecą jakieś dziwne oczy. Na pewno poniemieckie duchy i serce mi wtedy strasznie bije. One mają rozczochrane włosy i krzyczą po ich języku.

W szkole w ławce teraz siedzę sama, w wyblakłej sukni. Jeszcze tej z Unry.

Obgryzam paznokcie, bo się boję, że nie zdążę do ubikacji, jak wtedy, gdy te z pierwszej ławki włożyły mi do bułki zdechłą muchę, a pani powiedziała, żeby nie zwracać jej głowy bzduurami...

Po latach (...). 2018

Tyle we mnie tamtego. Tyle pamięci po obrazach, które wracają, przechadzają się, przeciągają, przekomarzają...

Jestem w nich wciąż infantylna, noc otulam po samą szyję...

Strach to czy tylko dawne, irracjonalne lustro?

Opowiadanie zdobyło 3. nagrodę w 19. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”

Zakłopotanie

Kwiaty w kryształowym wazonie
patrzą na mnie twoimi oczami.
Skrywam piersi przed ich spojrzeniem,
uciekam wzrokiem w zakłopotanie,

co na nie spojrzę, widzę ciebie,
jak wodzisz za mną tęsknym wzrokiem,
jak one, o mnie chcesz wszystko wiedzieć,
usłyszeć, czego głośno nie powiem
milcząca w swoim wstydzie.

Nie mam nic do dodania
ani do ukrycia.
Głośno wypowiedziane,
co miało zabrzmieć,
by poruszyć struny,
które nie dźwięczały pod dotykiem
zesztywniałych palców.
Zabolała muzyka bezdźwiękiem.

Czerwony mak

Jak latawiec na nitce uwięziony,
którego smaga wiatr,
tak słania się na cienkiej łożycie
czerwony mak spragniony deszczu.

Swoje płatki rozchyła
i ciężko dyszy gorącym powietrzem,
coraz niżej się schyla na wietrze,
szukając dla siebie odrobiny cienia.

Noc się skrada, podchodząc coraz bliżej,
ponagla do łóżka.
Na miękki materac, puchową poduszkę,
gdzie ty we mnie, a ja się w tobie odnajdę
i nie trzeba więcej, bo więcej nie ma.

Pełnia księżycy świeci srebrem nocy,
a ty szepczesz, że on w sobie tyle złota niesie,
ile chciałbyś mi dać.
Lecz czy się srebrny księżyc w złoto przeistoczy,
byś mógł noc całą patrzeć w moje oczy,
nie mogąc spać?

Pokój temu domowi

W styczniowe, czwartkowe popołudnie, jak co roku w tym okresie od sześciu lat, składałem swoim parafianom wizyty duszpasterskie, nazywane potocznie chodzeniem po kołędzie. Złośliwi twierdzą, że celem tych wizyt jest szybkie i skuteczne nabijanie kieszeni, jednak tak naprawdę chodzi o to, by przybliżyć się do wiernych, poznać ich troski i problemy, rozwiązać dylematy i wątpliwości, służyć nie tylko duchową poradą. W ten czwartek planowałem odwiedzić popegeerowskie osiedle na Zatorzu, a właściwie dwa bloki znajdujące się przy ulicy Rolniczej. Była to dla mnie wyprawa w nieznaną, gdyż posługę w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Zaliszewie rozpocząłem we wrześniu i oprócz kilkunastu dzieci, które uczyłem w szkole katechezy, na tym osiedlu nie znałem nikogo. Lecz taki już los wikarego, że zazwyczaj nigdzie długo nie zagrzeje miejsca, ledwo zdąży poznać swoich parafian, żyć się z nimi, zyskać ich sympatię i przychyłność, już przenoszą go w inne miejsce.

– Będzie dobrze, jak w połowie mieszkań otworzą ci drzwi – powiedział do mnie proboszcz, gdy szykowałem się do wyjścia. – Tam żyją biedni ludzie. Niezaradni życiowo. Po likwidacji PGR-u nieco się pogubili. Nie brakuje patologii, której w dużej mierze winny jest alkohol. Oni nie są wrogo nastawieni do Kościoła, tylko wstydzą się swojej biedy.

Proboszcz miał rację, niemal w połowie mieszkań drzwi były zamknięte. Dziwne było to, że ich mieszkańcy nie stwierdzali oficjalnie, że nie życzą sobie wizyty kapłana, co się niejednokrotnie zdarzało w innych dzielnicach miasta, tylko na dzwonek lub pukanie do drzwi ministranta, którego zadaniem było zapowiedzieć moje przybycie, po prostu ich nie otwierali. Dochodziła dwudziesta, do odwiedzenia zostały mi jeszcze dwa mieszkania. Stałem przed starymi drzwiami, pokrytymi łuszczącą się jasnozieloną farbą, na których widniał wykaligrafowany białą kredą napis K+M+B 2013.

– Pani Jeżewska jak co roku przyjmuje księdza – powiedział ministrant pochodzący z popegeerowskiego osiedla, który znał tu niemal wszystkich.

Nacisnąłem na dzwonek, jednak nie usłyszałem jego dźwięku, widocznie był zepsuty, więc delikatnie zapukałem w odrapane drzwi.

– Proszę, proszę – usłyszałem kobiecy zmęczony życiem głos. – Czekam na księdza od czwartej. Co roku księża zaczynali kołędę od mojej klatki. A ksiądz w tym roku zaczął z drugiej strony.

Wszedłem do przedpokoju oświetlonego podwieszoną na białym suficie wkręconą do osadki żarówką. Ściany były odrapane i przygotowane do szpachlowania, odrzwia do jednego z dwóch niewielkich pokoi były wykute, na betonowej podłodze było widać białe plamy świadczące o trwającym w mieszkaniu remoncie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziałem na widok kuśtykającej w moją stronę starszej kobiety. – O, widzę, że remont w domu macie. Trafiliście chyba nie w porę.

– Na wieki wieków. Jaki tam remont! Szkoda gadać – odpowiedziała kobieta jakby z żalem w głosie. – Tam nie. To pokój synów. Tu, do mnie zapraszam. – Wskazała ręką na drzwi po lewej stronie przedpokoju.

Weszliśmy do niewielkiego, skromnie umeblowanego pokoiku, którego jasnożółte od lat niemalowane ściany zdobiły obrazy przedstawiające Świętą Rodzinę, Matkę Boską z sercem przesytytym mieczem, a nad przykrytą spłowiłą narzutą wersalką, obok Jezusa na krzyżu, widniał oprawiony w pozłacaną ramę

obraz Jana Pawła II. Na półkach pamiętającego późnego Gierka segmentu stało kilkanaście książek o tematyce religijnej, nieco niżej w plastikowych ramach kolorowe zdjęcia dwójki kilkuletnich dzieci, chłopca o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach i dziewczynki z warkoczami w kolorze lnu, obok których leżały wykonane ze szklanych niebieskich paciorków różaniec. Na przykrytej białym, wykończonym koronkami obrusem drewnianej ławie stał metalowy krucyfiks, po którego obu stronach paliły się obsadzone w lichtarzach stołowe białe świece, zaś na jej rogu leżało Pismo Święte Nowego Testamentu obok kryształowego półmiska z wodą święconą, na którym leżało kropidło.

– Pokój temu domowi – powiedziałem.

– I wszystkim jego mieszkańcom – odpowiedziała gospodyni wraz ministrantami.

Po odmówieniu modlitwy dałem dyskretnie znak ministrantom, aby opuścili mieszkanie. Moi pomocnicy z wolna skierowali się w stronę wyjścia.

– Poczekajcie chłopcy – powiedziała kobieta. – Macie tu, kupicie sobie chociaż po słodkiej bułce – dodała, wrzucając do puszek trzymanej przez jednego z ministrantów dwie dwuzłotowe monety. – Tylko papierosów nie kupujcie, bo nie będziemy się lubić.

Po wyjściu ministrantów usiadłem przy ławie na wysłużonym, drewnianym krześle, po czym sięgnąłem do swojej czarnej, skórzanej torby, gdzie oprócz pamiątkowych obrazków miałem ściągawkę z informacjami o parafianach, których miałem dzisiaj odwiedzić z duszpasterską wizytą.

– Jaki jest tu u pani numer domu? – spytałem swoją rozmówczynię, kładąc na ławie obrazek z wizytówką Świętej Rodziny.

– Siedemnaście przez sześć – odpowiedziała kobieta.

– A, pani Genowefa – powiedziałem, wyciągając odpowiednią fiszkę ze swojej kartoteki.

– A gdzież to są pozostali domownicy? Czyżby się mnie wystraszyli? Pani Genowefo, czy ja wyglądam na jakiegoś rottweilera czy innego pitbulla i wystraszyli się, że ich pogryzę, czy co? – próbowałem żartować.

– Szkoda gadać – powiedziała pani Genowefa, spuszczać wzrok na swoje kolana. – Szkoda gadać, proszę księdza, szkoda gadać – westchnęła ciężko, podnosząc wzrok do góry. – Czasami to już człowiekowi żyć się nie chce. Gdybym miała córkę... Córka zawsze szybciej zrozumie starą, schorowaną matkę, ale Bóg nie dał. Czterech synów urodziłam, a teraz na starość nie mam od nich żadnego wsparcia. Jeden zmarł, jak miał niecałe trzy lata. Dwa miesiące mu brakowało. W maju miał skończyć, a zmarł w marcu przed Wielkanocą. W tym roku trzydzieści trzy lata by skończył, może on byłby lepszy. Moja wina, nie dopilnowałam. Sto dwadzieścia krów po wycieleniu miałam na stanie. Trzy razy na dzień doić trzeba było. Nie było czasu nawet po plecach się podrapać. Kierownik był kutwa, do roboty gonił, nie chciał dać wolnego, żeby z dzieckiem do lekarza pójść. Straszyl, że premię odbierze. A ja wtedy sama z trójką dzieci, bo mój akurat wtedy za pobicie drugi rok siedział. I umarło dzieciątko, bo co ono winne, że ojciec pijak i awanturnik i o dom nic nie dbał. Mój, jak wrócił z więzienia, to tak mnie sprął, że całe plecy miałem sine za to, że mu syna zmarnowałam. A po trzech latach jeszcze Maciek się urodził. Mój wtedy pił niewiele i dobrze zarabiał, kazał mi się domem zajmować, zanim najmłodszy do przedszkola nie pójdzie, bo Rafał i Artur do szkoły już chodzili. Rafał uczył się dobrze, do ścisłych przedmiotów miał głowę. A z geografii to był orzeł. Olimpiadę w Warszawie wygrał, na studia bez egzaminów mógł iść i stypendium by dostał, bo agencja fundusz na to miała dla studentów z rodzin popegeerowskich. Nie chciał. Mój go od małego do budowlanki przyuczał. Po maturze od razu do roboty poszedł. Tam już zaczął popijać. Wojsko też zrobiło swoje. Nie powiem, na każdej robocie się zna, płytki położy, okna wymieni, dach przełoży, wyszpachluje, wymaluje, no wszystko, wszystko, ale co z tego. Widzi ksiądz, jak mieszkanie wygląda. Do świąt miał zrobić przedpokój. Tylko narobił bałaganu i pił przez dwa tygodnie do samej Wigilii, a w samą Wigilię tak się napił, że leżał na trawniku przed blokiem. Jak pracuje, to nawet po szesnaście godzin na dzień i półtora tysiąca potrafi w tydzień zarobić. Ale jak zacznie pić, to pije od rana do wieczora, a z nim pół osiedla, bo jak ma się pieniądze, to i kolegów do picia

się zawsze znajdzie. Tylko jak w więzieniu pół roku siedział, bo jakichś tam kolegów nie popłacił, to koledzy o nim zapomnieli. Tylko ja mu paczki woziałam. A jakie powodzenie u dziewczuch miał, same do niego przychodziły. Teraz już czterdziestki dobiega, to już stać go tylko na takie, co to nogi rozkładają za butelkę wódki. Nie powiem, nieraz rzuci parę złotych na opłaty i jedzenie, choć jak jest w robocie, to w domu nie jada, co z tego, jak potem nie ma na piwo, to ostatnie pieniądze ode mnie wydiera, a jak dać nie chcę, to wyzywa od najgorszych, że wstyd przy księdzu mówić. Jednak żeby rękę na mnie podniósł, to nie. Wyzywać to wyzywa, ale żeby uderzyć, to się jeszcze u niego nie zdarzyło. A do mnie to nie mówi mama czy chociaż matka, tylko Gienka, bo ja, wie ksiądz, Genowefa jestem.

– A co to za aniołki na zdjęciach? – Skinąłem głową w stronę segmentu, na którym stały fotografie dzieci, by zejść z niewdzięcznego tematu wyrodnego syna.

– A to moje wnuki od średniego Artura. Ożenił się w Grodzisku pod Poznaniem. Zawodówkę tylko skończył i zaraz po szkole do roboty poszedł. Za tapicera. Potem jak zakład pod Poznań przenieśli, to i on tam za robotą pojechał. Tam dziewczynę poznał i się ożenił. Mieszkanie kupili na raty. Samochód mają. A jak w szpitalu leżałam na kamienie żółciowe, to tylko on mnie odwiedził, choć najdalej miał. Ale co mi wcześniej nerwów napsuł i siwych włosów przyprawił, to szkoda gadać. Wszystko przez te automaty, bo on na automatach na pieniądze lubił pograć. Wesele miał robić na sto dwadzieścia osób. Pożyczkę wziął. Dziesięć tysięcy w banku. Bez problemu dostał, bo on wtedy po cztery tysiące za miesiąc zarabiał. Potem powiedział, że go napadli, gdy do domu wieczorem wracał. A później okazało się, że wszystkie pieniądze przez noc na tych automatach przepuścił. Z czego ja mu miałam dać na to wesele, jak ja wtedy na zasiłku byłam, a i Maciek do szkoły jeszcze chodził. A zenić się trzeba było, bo dziewczyna przy nadziei była. To tylko przyjęcie dla najbliższej rodziny zrobili. Te automaty to gorsze niż picie, bo nie wiem, co by pił, to dziesięć tysięcy przez noc nie przepije. Od kiedy urodziła mu się córka, to powiedział, że z automatami koniec, ale gdzie tam, w tamtym roku przed świętami dzwoniła Sylwia, jego żona, że całą wypłatę przegrał i od tej pory pieniądze z wypłaty daje na konto synowej. Dobrze, że ona pracuje, boby świąt nie mieli za co zrobić, a i tak przekazem dwieście złotych im posłałam na prezenty dla wnuków.

Dyskretnie spojrzałam na zegarek. Siedziałem tu już prawie pół godziny. Zazwyczaj na jedną wizytę poświęcałam nie więcej niż kwadrans.

– Tak się z księdzem zagadałam, że nawet nie spytałam, czy księdza jakąś herbatą nie poczęstować – powiedziała pani Genowefa, po czym pokuśtykała w stronę kuchni. – Mam dobrą herbatę owocową, zaraz księdzu zaparzę.

Wróciła po chwili, niosąc na plastikowej tacy szklankę herbaty, cukierniczkę i ciastka na białym talerzyku.

– O, nawet ciastka się znalazły – powiedziała moja gospodyni, stawiając tacę ma ławie. – Dobrze, że Maciek do tej swojej pojechał, boby zapewne zjadł wszystko. Rafał za słodkim raczej nie przepada. Z Mackiem, znaczy się najmłodszym, też mam krzyż pański. Nie powiem, nie pali, nie pije, ale co z tego, jak do roboty lewy, a do jedzenia pierwszy. Chłop dwadzieścia siedem lat, a nie wiem, czy w życiu pół roku pracował. Średnie ma z maturą. Technikum elektryczne po zawodówce skończył. Mówiłam mu, żeby na zawodowego w wojsku został, bo mu proponowali. Co miesiąca świeży grosz i na emeryturę po piętnastu latach mógłby pójść, ale mnie nie posłuchał. Na żadnej robocie się nie zna. Rafał mówi, że on nawet gniazdko nie umie założyć, taki z niego elektryk. W tartaku robił dwa miesiące, wytrzymał, ciężka robota – mówi – i za szybko trza wstawać, u ogrodnika za gorąco pod folią, tydzień przepracował. A co jaki grosz zarobi, to zaraz pakuje torbę i do tej swojej do Złotoryi jedzie. A teraz ta jego w ciąży. To nie wiem, za co dziecko utrzymają, jak się urodzi, bo ona też nie pracuje, tylko na rencie socjalnej siedzi, bo choruje na padaczkę. Jeszcze do tego dojdzie, że ja będę musiała za niego alimenty ze swojej emerytury płacić. Nieraz się załapie do szkoły, gdzie miał staż jako pomocnik woźnego. Jakieś liście zagrabi, plac pozamiata, zimą poodśnieża i taka jego robota. Obiad mu dadzą, bo tam w szkole kuchnia chodzi. A zjeść to on lubi!

Ostatnio jak mu obiadu dać nie chciałam, bo od trzech miesięcy ani grosza do domu nie dał i nic do jedzenia nie kupił, to się do mnie z pięściami rzucił, że Rafał musiał go odciągać. Na drugi dzień dał mi dwadzieścia złotych na jedzenie. To mu powiedziałam, żeby sobie na pieluchy dla dziecka zostawił, jak się urodzi. A jeszcze do tego w jakichś biegach startuje, w piłkę gra w jakiejs amatorskiej lidze, jak dziecko z podstawówki, i żeby z tego chociaż jakieś pieniądze były. Gdzie tam, za wszystko trzeba jeszcze płacić. Sam siebie utrzymać nie może, a rodzinę chce zakładać. Zobaczy ksiądz, że im to dziecko zabiorą. Dobrze, że chociaż od paru lat z mężem mam spokój, on też dawniej krwi mi napsuł. Pił, bił i robił awantury. Bywało, że zimą po śniegu tylko w kapciach i nocnej koszuli nocą do matki uciekałam, bo straszył, że zabije mnie i dzieci. Później, gdy Rafał podrośł, przestał się go bać. Siedemnastu lat jeszcze nie miał, jak po raz pierwszy mu się postawił, zaczął stawiać w mojej obronie i przepędzać z mieszkania towarzystwo pijaków z całej dzielnicy, które się do mojego schodziło. A później, jak mój wykreślił junkers i na złom sprzedał, bo nie miał za co pić, to Rafał tak się zdenerwował, że mu szczękę złamał. Raz go tylko uderzył i to otwartą ręką, sama widziałam. Siłę to on ma. Mój też, jak był młody, to taki silny był. A potem to, co alkohol z niego zrobił. Policja była. Rafałowi nawet sprawę chcieli zrobić, ale mój się wycofał. Bo jak by to wyglądało w sądzie, że ojciec przeciw synowi zeznaje. Zawsze to syn. Po tym mój do garażu się przeniósł. Teraz schodzą się do niego pijaki z całej okolicy. Tam nikomu nie przeszkadza, a i jemu nikt nie przeszkadza. Więc teraz mam z nim spokój. I tylko jak zimą są tęgie mrozy, to go nieraz Maciek do mieszkania przeprowadzi na noc, żeby nie zmarzł, bo w tym garażu nijakiego ogrzewania nie ma.

Spojrzałam na moją rozmówczynię. Zapewne mogłaby tak opowiadać kolejne pół godziny. Dopitem herbatę i podniosłam się z krzesła.

– Miło się z panią rozmawia, pani Jeżewska, ale dziś jeszcze muszę odwiedzić pani sąsiadów, a i pewnie już tam na mnie proboszcz czeka z kolacją.

Wstałam i skierowałam się w stronę drzwi.

– Ksiądz poczeka – powiedziała, otwierając leżące na stole Pismo Święte i wyciągając z niego pięćdziesięciotłotowy banknot. – Za kolędę coś się chyba należy. Przepraszam, że tak bez koperty, bo ja teraz z tą nogą to nawet problemy mam, żeby do najbliższego sklepu dojść. Mijasowa miała mi przynieść, ale chyba zapomniała.

– Da pani spokój, pani Genowefo. Niech za te pieniążki kupi pani coś dla wnuków, jak panią odwiedzą – powiedziałam, delikatnie odsuwając jej dłoń.

– No może z wnuków będę miała większą pociechę – westchnęła, wsadzając mi banknot do kieszeni płaszcza. – Tylko niech ksiądz nie oddaje – powiedziała rozkazującym tonem. – Bo co by to ludzie powiedzieli, gdyby się dowiedzieli. Że ja księdza po kolędzie prawie godzinę za Bóg zapłać trzymałam.

Alice

Alice pozwala patrzeć sobie w oczy
bo potrafi zasnuć je różową mgłą

jakby jej oczy nie widziały drwin z naiwności
nie widziały nic prócz kwiatów
wierszyków w zeszytach
słodkich szczeniąt na plakatach
i wydumanej moralności

jakby nigdy nie musiały patrzeć
kątem ani spod byka
a ich spojrzenie
było skrzywione jedynie przez róż

czasami jednak cienie pod nimi
budzą wątpliwości
wspominają bagaż
który przychodzi nocami

czasami jednak uśmiech drętwieje
prośbą by nigdy już nie zniknął

czasami Alice patrzy w dal
oczyma starych ludzi
którzy pieką słodkie szarlotki
i też nic nie rozumieją

Ewa

leży z głową na podołku pięknej Ewy
która rzadko się maluje i wcale nie odchudza
pozwala wchodzić jej do łazienki kiedy jest naga
bo nie musi się wstydzić niczego

krzyczy tylko kiedy jest zła
nie robi zbędnego zamieszania
zawsze ładnie pachnie i ma delikatne dłonie
najlepszy uśmiech
zarezerwowany dla Adama
który odstąpiłby jej każde jabłko

leży z głową na podołku Ewy
jak dawniej widzi ją piękną

jest szczęśliwą dziewczynką
która znowu chce być piękna
więc wyrzuca wszystkie
malowidła i oczekiwania świata

Astronauta

Cała załoga zapadła na chorobę pustelnika kosmicznego. Ogromna prędkość statku była odczuwalna przez ciało, jednak umysł widział tylko z rzadka mijane odległe punkty. Czasem dwa, czasem jeden w miesiącu. Tutaj już dawno powinien być koniec przestrzeni, koniec naszego świata, przekroczyliśmy go. Natłok tłukących się pięściami myśli otacza JA tak szczelnie, że towarzysz podróży przestaje istnieć. Nie znaczy nic więcej niż płytki w kajucie czy tubka na żywność.

Stąd porażki konkurencyjnych wypraw. Mieliliśmy milion planów i „opcji zapasowych”, aby nie zapaść na chorobę. Nie przewidzieliśmy jedynie, że niechęć do działania przesiąknie przez każdy kadłub i każdy skafander.

Chojrak obudził mnie, gdy głowa przy oknie zjechała mi niemal do poziomu podłogi. Zaciągnął mnie półżywego do garderoby i pomógł mi się ubrać. Rzeczywistość zbledła. Był jakiś nadgorliwy, a może mu się nudziło?

Obudziło mnie szarpnięcie. Siedziałem w jedynaku – sondzie dla bohatera, który był wybierany przez resztę jako osoba najbardziej nadająca się do postawienia pierwszego kroku na nowym gruncie. Zamiast dryfować w próżni, sonda konsekwentnie gnała, obracając się. Strach wlaź mi między kręgi, głowę wciśniętą w fotel. Od miesięcy niewidziane światło tak bliskiej planety było zdrajcą. Wcale nie chciałem jej odkrywać.

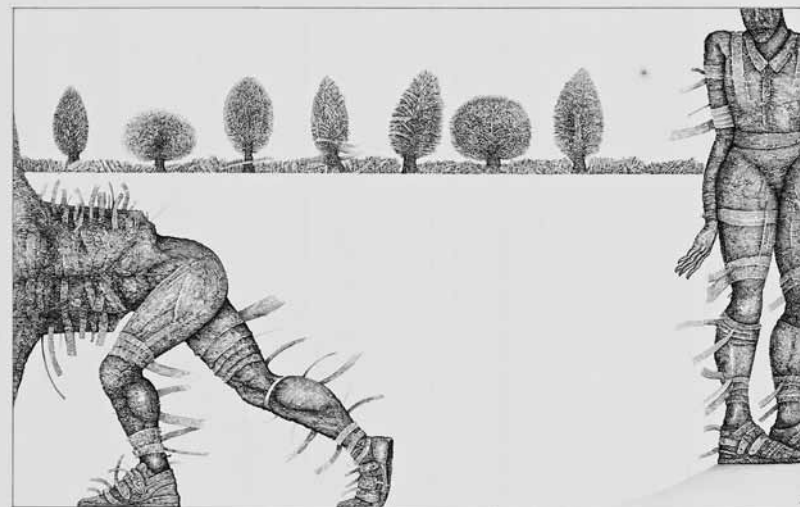
Szum morza, fal rozbijających się jakby w muszli. Cała moja głowa w muszli? Oko przedzierało się przez złe i agresywne światło, istotnie wokół chlupała woda. Nade mną stał niewysoki tubylec. Grawitacja przybiła każdy centymetr mojego ciała do podłoża. Zarośnięty dziad pukał kijem w mój hełm. Kątem oka dostrzegłem w oddali zielony kolor. Tlen – pomyślałem. Niech puka, niech przebij, przedziurawi mi czaszkę albo odetchnę czymś zupełnie nowym. No i szklana sfera pękła.

Znikło rażące, egzotyczne światło, znikł krajobraz rajskiej wyspy i zarośnięty dziad. Wokół mnie była przygaszona i intensywna zieleń. Siedziałem pod krzakiem w ogrodzie mojego dziadka. Jego wesołe nawoływanie sprawiło, że zacząłem rechotać. Nigdy mnie nie znajdzie – pomyślałem.

Opowiadanie wilka

Przed moją wędrówką czułem szczypanie w łapach. Dawno nie było tak siarczystej zimy. Skosy pagórków poprowadziły mnie w dół, do jeziora. Brak zwierzyny i śmierć ostatniego ze stada po prostu mnie zmęczyły. Pierwsza łapa trochę ślizgała się po powierzchni lodu. Z pozostałymi poszło już lepiej. Dreptałem, podskakując, ożywiony widokiem tej nowej, rozległej przestrzeni. Przeszedłem już spory dystans, kiedy usłyszałem głuchy stukot, a właściwie uderzenia w lód. Były oddalone, ale kiedy przystanąłem, raptownie się przybliżyły. Puściłem się pędem przez lód. Skądś znałem ten stukot. Nie wiedziałem skąd, ale wywoływało to we mnie błądy strach. Odgłosy nasilały się, a ja nie mogłem już przyspieszyć. Nagle trafiłem na słabsze miejsce, lód załamał się pod mną, a ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem przed zanurzeniem, był niesiony przez wiatr skowyt, dziwnie podobny do wycia mojego ostatniego towarzysza.

Obudziłem się w suchym miejscu, w półmroku ujrzałem zarys znajomej wieży. Obrócony brzuchem ku niebu na grzbiecie czułem gorące iskry. Łapy rozciągnięte na czymś sztywnym. Nade mną dwóch ludzi. Coś błysnęło w powietrzu. Ciepło pociekło mi po dziwnie nabrzmiałym brzuchu. To coś z niego wypetziło i pożarło moich oprawców.



Nie boję się

Biegają po domu
 Nieznanym nikomu
 Dziewczynka i chłopiec
 Wyrwani z zabawy szukają
 Skąd dobiega stukanie i łomoty
 Dzieci nie boją się
 Dzieci szukają źródła łomotów
 Biegają po żyłach po aortach po aksonach
 Z misiem pod ręką
 Z koszulką w błocie
 Stuk-stuk-łum-łum
 Chłopiec ze szczelbelka uchylił drzwiczki na strych
 Dziewczynka potuptała trzęsąc misiem do piwnicy
 Na strychu nic nawet kurzu
 Tylko echo i próżnia po dźwięku
 W piwnicy chybotający się worek bokserski
 Zwahadłowany nie mającą prawa walizką
 Zadziwione dzieci
 Uspokojone wobec pustki
 I dorosłym zdarza się przecież
 Odważnie nie znaleźć
 Tego w umyśle
 Tamtego w podświadomości

Księżyc

Wyszła z domu
 Wczoraj na spacerze minęła auto rozbite na poboczu
 Biała maska wgnieciona
 Pani z telefonem kręciła się obok
 A to auto takie niepokojące
 Poszła jak po nitce
 Oczy za szkłem przeciw promieniowaniu atomowemu
 Ślisko nie może uchwycić klamki
 Zdejmuje rękawiczkę pod nią kolejna
 Zdejmuje tasuje wyrzuca
 Porównuje dłonie – jedna większa od drugiej
 Zawija połą płaszcza ten nieprzydatny przyrząd
 Zaklinowane
 Patrzy przez szybę
 Nie ma śladu
 „tak myślałam”
 „Zdażyłam wyjść gdy auto tonęło”
 Westchnienie
 I ślady niesymetrycznych dłoni
 Na szybie z przodu
 Od środka
 I pył zasłonił satelitę

Nie potrafię

Delikatnie falujące wiechcie gałęzi drzew
 Z linii lasu naprzeciwna
 Spoza nich a raczej w nich faluje gęste światło
 Zapach brzydoty lata
 Ale powiew wiatru zupełnie nowy choć znany
 Coś mnie ukorzeniło w tym miejscu
 I nawet słowa dochodzące z tarasu
 Nie wybijają mnie
 Z tego powrotu do dzieciństwa
 Słońce
 Beton
 Lipa
 Chustka na głowie
 Ciężkie buty przetarte
 Co mówiłeś?

Chropowatość

Taki dobry brak porządku
 Gdy głowa ciąży bardziej w jedną stronę
 Nerw w dłoni robi figle
 Autobus spóźnia się
 Jedna noga zimna druga noga krótsza
 Mucha wleciała do zegarka i zatrzymała wszechświat
 Miało być pięknie tego rana a w rowie kot potrącony
 Już nieżywy
 Chyba
 Czemu niewygodnie
 Wszystko chrobocze
 Patrzę na to słońce
 Chyba ono jest piękne
 Kąciki ust powinny się rozbroić
 Pytam o to swoje zwoje
 Ale one sprawdzają teraz stan włosów na głowie
 Wielce ważna inwentaryzacja
 Głupie niemądre neurony

Odeszła Barbara Konarska

Rozmowę z Barbarą Konarską przeprowadziła Alina Kruk 6 września, na cztery dni przed śmiercią poetki w jej mieszkaniu.



We wrześniu odeszła Barbara Konarska, poetka, redaktorka, działaczka kultury, wspa-
niały i silny człowiek. Ta smutna okoliczność
skłoniła nas do publikacji dwóch tekstów, któ-
re pozyskaliśmy dzięki przychylności pani Ali-
ny Kruk zaprzyjaźnionej ze zmarłą, a także
jej następczynią w szefowaniu klubem Oksy-
moron. Pierwszy tekst to ostatni wywiad, ja-
kiego udzieliła poetka, natomiast drugi jest
mową wygłoszoną na uroczystości pogrze-
bowej, którą publikujemy jako hołd złożony
Barbarze Konarskiej.

Basiu, niedawno, bo 14 lipca odbyła się
w Ogrodzie Sztuk u Eugeniusza Kurzawy pra-
promocja twojego szóstego już tomiku wierszy
Słodycz imbiru. Do dziś widzę twoje rozpro-
mienione oczy. Podpisywałaś tomiki podarowa-
ne gościom. Pani Kurzawowa czytała wybrane
wiersze. Mam piękne fotografie z tego uroczego
wieczoru. 20 września zbliża się promocja tego
tomiku w Bibliotece Norwida dla wielbicieli two-
jej poezji, a tu dwie ręce autorki w gipsie i zapo-
wiedź, że nie możesz być na spotkaniu. Jeśli nie
uda ci się pokonać słabości cielesnej, pozwól, że
zabiorę tam twój głos i nagram naszą rozmowę.

Dzień dobry, witam serdecznie wszystkich mo-
ich czytelników czy moich przyszłych czytelników.
Nie wiem, kim państwo jesteście. Dziś nie mogę się
z państwem bezpośrednio spotkać, ale poprzez moje
wiersze chciałabym was przywitać jak najserdeczniej.
Myślę, że część z państwa zapoznała się już z mo-
imi wierszami, część – mam nadzieję, że się jeszcze
zapozna. Życzę przyjemnego wieczoru.

Napisałaś baśnie, opowiadania i eseje. Two-
je utwory były publikowane w „Pro Libris”, an-
tologiach, publikacjach zbiorowych, „Inspira-
cjach”, których jesteś redaktorką naczelną. Kie-
rujesz naszą poetycką grupą Oksymoron, jesteś
członkiem Związku Literatów Polskich i Stowa-
rzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Pisziesz, re-
cytujesz, a nawet z sukcesami fotografujesz.
Czy twoim życiowym mottem jest *per aspera
ad astra*? Czyli: aby osiągnąć upragniony, wy-
marzony cel, trzeba się natrudzić i wycierpieć?
Czy ten cel jest już w twoim zasięgu?

Myślę o tym osiągnięciu celu z innego punktu
widzenia. Zawsze mówię o sobie, że jestem szczę-
ściarą i mimo wszystkich trudności, które mnie
dotknęły, zdania nie zmienię. Szczęściarą to ktoś,

kto spotyka na swojej drodze wspaniałych, in-
spirujących ludzi. Ja to szczęście miałam. Spotka-
łam w Uniwersytecie Trzeciego Wieku – dokład-
nie w Oksymoronie – Joasię Szczepaniak i ona tak
delikatnymi impulsami skierowała mnie najpierw
do współredagowania pisma, potem zagadnęła:
„a może byś tak coś, Basiu, napisała o sobie, jakiś
wiersz, opowieść, wspomnienie” i ja tak powolut-
ku, powolutku zaczęłam w to wchodzić. Wciągnę-
ło mnie, zachwyciło, dało nowe życie.

Czytając tomik *Słodycz imbiru*, można po-
znać Basię oddaną rodzinie, tak pięknie pi-
szącą dla dzieci, cytaty wierszy męża umiesz-
czającą na okładkach swoich tomików, Basię
piszącą dla przyjaciół, mamy. Pokazałaś, jak
kochasz brata. W Oksymoronie poznałam cię
też jako osobę życzliwą, ale niedostępną, na
której zaufanie trzeba sobie zasłużyć. Jaka
jest Basia według niej samej?

A to wy musicie przede wszystkim myśleć, jaka
ja jestem. Ja w tej chwili, w trudnej sytuacji, kiedy
choruję, poznaję was absolutnie z najlepszej stro-
ny, bo wciąż pamiętam wasze wiersze, które czy-
tałam i czytam. Jesteście od tej strony niezwykle mi
bliscy. Wydawało mi się, że wiem o was dużo, a te-
raz wiem więcej. Jak wiele poświęcenia, troski, ser-
deczności może jeden człowiek od drugiego doznać,
kiedy tworzymy piękną wspólnotę. Grupę twórczą,
niosącą dużo radości w życiu człowieka.

W 2006 roku napisałaś, że „nasycona mu-
zyką idziesz do ludzi z otwartymi dłońmi”.
W tomiku pokazałaś fascynację twórczością
Francka, Beethovena, zainspirował cię Ravel,
Schubert. Czy praca w filharmonii przybliży-
ła cię do tych fascynacji, czy miłość do muzyki
wyssałaś z mlekiem matki?

Akurat taty bardziej. Tata był muzykalniejszy od mamy. Pięknie śpiewał. Dom rozbrzmiewał jego muzyką. Można powiedzieć o pewnego rodzaju nasiąkaniu muzyką od dzieciństwa. To na pewno. Moim pierwszym muzycznym przedszkolem było Polskie Radio z Konkursem Chopinowskim, muzyką ludową, najróżniejszymi utworami socrealistycznymi, których też moje pokolenie słuchało. Natomiast praca w filharmonii poszerzyła moje horyzonty, jeśli chodzi o historię muzyki. Poznałam wielu kompozytorów i nieznane mi do tej pory utwory. To było bardzo inspirujące. Ja bardzo kocham muzykę.

Lubisz jazz?

Jazz mniej. Jeden z wierszy w moim tomiku dotyczy jazzu. Poszłam na piękny koncert, który odbył się na Uniwersytecie (właściwie wówczas jeszcze na Politechnice) i bardzo mi się podobał.

Słodycz imbiru odłonił cię, Basiu, jako wrażliwą nie tylko na przyrodę, muzykę. Za-inspirowała cię również rzeźba Nierozpoznani Magdaleny Abakanowicz, a Ułomek Skały Afrodyty pobudził twoją wyobraźnię do odtworzenia dziejów Pigmaliona i Galatei. Uwielbiam ten wiersz Pieśni kamiennych serc. Skąd czerpiesz swoją mądrość życiową? Jacy autorzy mają wpływ na twoją twórczość?

Nie autorzy. Całokształt życia. Bo to będą i książki, i dzieła sztuki, muzyka i świat otaczający, przyroda, krajobraz. Zawsze wszystko może być impulsem, jeżeli człowiek ma otwarte oczy i żyje tu i teraz, nie myśli, że potem coś będzie, przedtem coś było. Teraz jest i chłoń ten świat. Jak go wchłoniesz, to z tego coś się urodzi. Z czytania oczywiście też. Jestem przecież polonistką. Tony książek „przewalonych”.

Jest też w twoich wierszach protest przeciwko przemocy, wojnie, terroryzmowi, niesprawiedliwości. Czy w teraźniejszej poezji nie ma zbyt wiele liryczności, westchnień, a za mało wersów sprzeciwu przeciwko złu?

Kiedyś się poetom wydawało, że potrafią zmienić świat świetnym wierszem. Musi być z drugiej strony

odbiorca, który jest na wiersz, na poezję wrażliwy. Poza tym musi być świat wartości. Jeżeli tych wartości czytelnik nie podziela, to żaden wiersz do niego nie przemówi.

Na koniec podejmę temat twoich utworów na temat bólu, cierpienia, lęku. Dyktatura choroby to wzruszający wiersz ukazujący cię na tle cudownych fascynacji przyrodą i okrucieństwa chorobowych ograniczeń. Czy poznanie duszy w sobie może mimo fizycznego cierpienia zachęcać do dalszej twórczości, chociażby o świątyni natury „z świetlistym zajęczkiem przebaczenia na kamiennych płytach” (tym z wiersza Dwie świątynie), czy nawet o niemiłosierdziu Tego spoza czasu?

A! Spodobało mi się, że znalazłaś tego zajęczka, bo to było przeniesienie faktu – ta świątynia bez dachu, bez wprawionych okien, spotkana na wyprawie z UTW w Niemczech i ten zajęczek świetlny, który pojawił się na wygładzonej tafli dawnego ołtarza. Tak mi się jakoś skojarzyło, że rozrabiamy; rozrabiamy, ale może ktoś tu spojrzal łaskawym okiem na te nasze poczynania i uśmiechnął się do nas. To jest coś takiego. Takie impulsy, które w wiersz się zamieniają czy we fragment wiersza, czy nawet w jeden wers. Ja to lubię. Na wspomnianej wyprawie było pięknie. Z resztą – Boże – tak pięknych miejsc na świecie wiele widziałam – wcale niekoniecznie okrzyczanych i jak zamknę oczy, teatr wspomnień nadal przed oczami mam, i to bardzo do dzisiaj pomaga mi żyć.

Nazywasz śmierć po imieniu. Odkrywasz różne jej oblicza. Przygotowujesz czytelnika w subtelny sposób do myśli o nieuchronności, która wyznaczona jest tu, w naszym wymiarze człowiekowi od dnia poczęcia i mimo buntu w wierszu Słodycz imbiru piszesz o zaletach odrobiny perwersji, dzięki której „życie ma w zanadru obok codziennych potyczek z bólem i strachem zachwycającą niespodziankę słodyczy”. Co sprawia, że mimo „złowieszczej wiadomości jaką przyniósł ci los” zachowujesz dla świata pogodną twarz, uśmiech i optymizm zawierający się w maksymie non omnis moriar?

(ze śmiechem) Aż tak wysoko nie sięgam, ale chyba każdy poeta po cichutku marzy – „może kto wie... choćby jednym wierszem?” (śmiej) Ale jeśli chodzi o temat śmierci, ona dotyka nas wszystkich, w związku z tym jest naturalna. Coraz mniej ludzi potrafi się z tym zmierzyć. Niektórzy uważają, że mówienie o śmierci to rodzaj ekshibicjonizmu. Ja uważam, że to jest nietrafne, niesłuszne. Naprawdę wszyscy umrzemy. Kiedy? Nie wiemy. Trzeba żyć tak, jakby tej śmierci nie było, ale wiedzieć, że ona jest. To też trudne, ale jak się człowiek tego nauczy, to trzeba przyjąć to do świata

domości i starać się to, co dostaliśmy od losu – nie wiemy, ile lat, miesięcy – wykorzystać. Tyle. To bardzo proste. Dla mnie to nie jest ekshibicjonizm, tylko prawda o życiu i śmierci.

I prawda, którą pokazałaś w swoim tomiku Słodycz imbiru. Dziękuję ci, Basiu, za wytyczanie w Oksymoronie zadań, które uaktywniły mój mózg, za twoją szczerą twórczość i za tę interesującą rozmowę. Czekamy na dalsze tomiki.

Sama bym chciała dożyć jeszcze, bo coś się w głowie kołaczę. Czy się uda? Nie wiem...



Barbara Konarska urodziła się 1 stycznia 1943 roku w Krakowie. Dzieciństwo spędziła na Ziemi Lubuskiej, a od 1965 roku była mieszkanką Zielonej Góry. Z wykształcenia polonistka, pracowała w instytucjach kultury, a po przejściu w 1999 roku na emeryturę została słuchaczką Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, gdzie prowadziła klub literacki Oksymoron. Regularną twórczość literacką uprawiała od 2005 roku. Pisała wiersze, opowiadania, baśnie oraz eseje. Wydała sześć tomików poetyckich: *Ocalone śmy, czyli moje wędrowanie* (2009), *Malowanka jesienna* (2011), *Osty w fioletach* (2012), *Jestem* (2015), *Niesyta czasu* (2016), *Słodycz imbiru* (2018) oraz tom opowiadań *Czy życie musi boleć?* (2016). Publikowała w „Inspiracjach”, piśmie ZUTW, które współredagowała od początku istnienia, a w latach 2008-2017 była jego redaktorką naczelną. Swój dorobek artystyczny zamieszczała m.in. na łamach czasopisma „Pro Libris”, także w antologiach i wydawnictwach zbiorowych. Wielokrotnie była nagradzana w konkursach literackich. Należała do Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Po ciężkiej chorobie zmarła 10 września 2018 roku w Zielonej Górze. Pięć dni później na zielonogórskim cmentarzu poetek żegnali: rodzina, znajomi, rzesza przyjaciół z ZUTW, klubu Oksymoron, ludzie pióra i miłośnicy jej talentu. Koleżanka zmarłej, Alina Kruk, wygłosiła na uroczystości pogrzebowej poniższe słowa, które publikujemy jako ostatni hołd złożony Barbarze Konarskiej.

Na pożegnanie Basi Konarskiej

Czas

wynurza się
z horyzontu wieków
i wlokąc się to pędząc
wypełnia dolny kielich
klepsydry życia
a gdy wypełni go do końca
zagląda do świata duszy
szuka w niej dobra
prawdy i miłości
skrzydeł do domu Ojca

Dobrem swojej wiedzy polonistycznej, kunsztem warsztatu literackiego dzieliłaś się, Basiu, z grupą Oksymoron, jako nasza mentorka i przyjaciółka. Wyznaczałaś ambitne tematy naszych spotkań, czytałaś nasze wiersze i dyskretnie radziłaś, co w nich poprawić. Drukowałaś je w „Inspiracjach”. Kierowałaś

nas na warsztaty artystyczne, inspirowałaś i dbałaś o nasz rozwój. Zależało Ci na poziomie tego, co od Ciebie zależy. Dziękujemy Ci za to dobro i zaszczyt uczestniczenia w Twoim życiu.

Ceniłaś, Basiu, prawdę. Świadczy o tym cała Twoja twórczość i jakże szczere wypowiedzi nagrane 6 września w Twoim domu. Będzie można ich posłuchać 20 września podczas promocji Twojego ostatniego tomiku *Słodycz imbiru*.

Jak kochałaś, pokazałaś w swoich wierszach dla dzieci, rodziny, brata, mamy, przyjaciół. Cytaty pięknej poezji męża umieszczałaś na okładkach swoich tomików. Takie są skrzydła duszy Basi. Śmiałaś się i cieszyłaś, kiedy w wierszu podarowałam Ci sto krasnali i elfików, aby pomagały Ci redagować „Inspiracje”. Teraz niech opiekuje się Tobą sto aniołów i archaniołów na dodatek.

Bądź szczęśliwa w nowym wymiarze istnienia. Tego Ci życzymy na ostatek.

PS

OKSYMORON

10 października odbyło się pierwsze spotkanie literackiej grupy Oksymoron. Pierwsze w nowym roku akademickim i pierwsze bez naszej kochanej liderki śp. Basi Konarskiej.

Do swojego odejścia Basia przygotowywała nas otwarcie w przyjacielskich rozmowach i swoją twórczością, ale była nadzieja, że jeszcze nie teraz. Nie ma Basi fizycznie, ale jest w naszych wspomnieniach. Wersy Jej wierszy, osobiste rozmowy, mądrość, będą inspirowały nas nadal.

Ewa Kwaśniewicz przekazała podziękowania rodziny Basi za naszą troskę i opiekę w ostatnich, trudnych dla nich dniach.

Życie toczy się dalej i trzeba było wybrać osobę do reprezentowania Oksymoronu i kierownictwa organizacyjnego. Grupa jednogłośnie powierzyła te zadania Alinie Kruk, przy wsparciu Rady Programowej w osobach Ewy Kwaśniewicz, Marzeny Tomczak i Haliny Maszner.

Musiałem wiele spraw zaczynać niemal od zera

Z Władysławem Klępką, lubuskim poetą i artystą plastykiem, rozmawia Mirosława Szott

Wpisał się Pan na trwałe w nasz lubuski krajobraz artystyczny. Bardziej czuje się Pan plastykiem czy poetą?

Kiedy czerpię papier i jestem w tzw. cugu, wtedy nie piszę. Robię kompozycje barwne w gamie ciepłej bądź zimnej. Czasami jest to cykl tematyczny. Trwa to najczęściej około dwóch tygodni. Potem chwila odpoczynku i korci mnie pisanie. Tematy przychodzą same. Zbieram wiersze w bloki o podobnym temacie. Nie zawsze są dobre. Myślę, że wiersz musi co nieco odleżeć. Z papierem czerpanym jest podobnie. Jeśli uznam po procesie schnięcia, że jest w miarę dobry, czynię lekki retusz i stawiam sygnaturę. Po pewnym czasie, a nawet zaraz, jeśli coś w nim nie gra, rozrywam na odpowiednie kawałki, które mogą się przydać do innej kompozycji. Tak oto proces recyklingu może się powtarzać. Tu tworzywem są najczęściej ściniki z drukarni. Papieru nie barwię, wykorzystuję to, co jest już gotowe.

Bliżej Panu (w pisaniu i sztuce plastycznej) do realizmu czy abstrakcji?

Pracuję nad kompozycjami bardzo różnymi. Raz są one realne, pejzażowe, a innym razem – nieomal abstrakcyjne. Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co jest abstrakcją. Plamy barwne, kolorystyka, jaką stosuję, to raz kolory wyciszone, innym razem mocno nasycone, kompozycje statyczne lub bardziej luźne, aż do dynamicznych. I nawet te najbardziej abstrakcyjne zawsze z czymś się kojarzą. Abstrakcja geometryczna za bardzo mi nie odpowiada. Podobnie dzieje się z wierszami. Od form zrytmizowanych, sestyny (wzorec prowansalski) sześciowrotkowej czy sonetu do luźnej formy, wiersza białego. Bardzo lubię pisać ha-



iku czy tanka (wzorec japoński). Oczywiście tematyka krąży wokół realiów polskich, natury, kultury, spraw osobistych. Także naprzemiennie z tą twórczością bywa. A na dodatek jeszcze przekłada znanych mi poetów czeskich (Kopecká, Sýs, Žaček – znanych osobiście) i innych, których nigdy nie poznałem osobiście. Wykonywanie papieru, jak i pisanie na papierze – to jest ręczna robota, choć do tego potrzebna jest głowa. Jakaś myśl, która nie daje spokoju, a potem się okazuje, że nie do końca jest tak, jak się zamierzało. Wiersze zapisuję ręcznie, dopiero potem wkładam do laptopa, jak i niektóre zdjęcia prac plastycznych.

Urodził się Pan w roku 1942 w Krężnicy Jaraj, niedaleko Lublina. Dopiero pod koniec lat 70. znalazł się Pan w zachodniej Polsce. Może Pan opowiedzieć o swoich korzeniach?

Miejsce urodzenia w moim przypadku ma duże znaczenie. Krężnica Jara jest to wieś specyficzna, jej centrum stanowi łąka z meandrującą rzeką Nędnicą, stawami, a po dwu stronach rzędy zabudowań typowo rolniczych (teraz to się zmienia, coraz więcej mieszczuchów wykupuje działki i stawia nowe domy). Pierwsza relacja o Krężnicy to notatka Jana Długosza z 1325 roku, że istniała już parafia z kościołem drewnianym pod wezwaniem św. Floriana na niewielkim wzgórzu. W tejże wsi znaleziono małą rzeźbę: parę wołków z ceramiki, prawdopodobnie ucho garnka z okresu neolitu. Ekspонат znajduje się w Muzeum Lubelskim na zamku.

Dzieciństwo miałem wspaniałe. Zawsze świeciło słońce, któremu towarzyszył świergot wróbli. Włóczyłem się po polach i lasach, kąpałem się w piekielnie zimnej rzece (pobliskie źródła), ponoć dużo czytałem i rysowałem, i nie miałem żadnego pojęcia, co będę robił w życiu. Gdyby nie kierownicza szkoły, nie uczęszczałbym do Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie.

Czy odziedziczył Pan talent artystyczny po rodzicach lub dziadkach?

Nie wiem, jakie umiejętności posiadali dziadkowie. Znałem tylko babcię Anielę z rodziny mamy, która była zielarką i stosowała białą magię, czyli jak to na wsi mówiono – odczyniała. Mamę mógłbym zaliczyć do twórców ludowych, robiła kolorowe chodniki, tzw. pasiaki na warsztacie tkackim oraz wycinała z białej bibułki wzorzyste zasłonki do okien.

Jak radził Pan sobie w szkole?

Szkolę ukończyłem, choć byłem głębiej z przedmiotów ścisłych, a zwłaszcza z matematyki. Wykazywałem predyspozycje do kompozycji i liternictwa. No i dość często wagarowałem, włóczęgając się po okolicach Lublina (Czechów, Majdanek, Zemborzyce, jak i dalej: Nałęczów, Kazimierz, Wąwolnica, Bochnica). Były to wyprawy plenerowe, skąd przynosiłem masę szkiców pejzażowych, jak też rodza-

jowych z jarmarków. Zdawałem do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, ale zabrakło mi punktów. Rodziców nie stać było na wynajem pokoju, tak więc zrezygnowałem ze studiów plastycznych. Szybko do wojska, służba graniczna w Kętrzynie, skąd próba zdawania do akademii – tym razem w Krakowie. I było jeszcze gorzej. Odpadłem. Po odbyciu służby wojskowej podjąłem pracę jako plastyk dekorator w przedsiębiorstwie budującym Zakłady Azotowe w Puławach, a po dwóch latach przenieśliem się do pracy w Powiatowym Domu Kultury (przemianowanym na Puławski Ośrodek Kultury) jako instruktor plastyk, gdzie nawet się spełniałem w dziale artystycznym. Tu między innymi opiekowałem się Klubem Twórców Ludowych, spotkałem Jana Pocka (poeta), Bronisława Pietraka (kował artysta, wycinankarz i poeta). Byłem założycielem i opiekunem Klubu Plastyka Amatora, opiekowałem się Klubem Kolekcjonera i jeździłem w teren po klubach kultury, służąc pomocą plastyczno-wystawienniczą. Przez ostatnie pięć lat współtworzyłem Grupę Plastyczną „Absolwent” razem z Marią Kapturkiewicz-Szewczyk i Zbigniewem Pieleszkciem.

Sporo tego jak na jedną osobę. Może Pan powiedzieć coś na temat waszych działań artystycznych?

Organizowaliśmy pokazy prac, zapraszaliśmy kolegów z Lublina i Kielc. Na oryginalnej wystawie dotyczącej ochrony środowiska pokazaliśmy destrukcyjne działania człowieka (np. w centrum tejszej wystawy były różnorakiego rodzaju odpady, dosłownie śmietnik, wtedy toreb foliowych z plastiku jeszcze nie było). Powiesiliśmy fotografie ptaków i analogiczne zdjęcia ludzi; przy wejściu do sali był autentyczny trawnik z tabliczką „szanuj zieleń”, a przeskoczyć się tego nie dało, różnego rodzaju hasła itp. Pisywałem zgrzebne recenzyjki z wystaw do „Szkicownika Puławskiego”. W pracowni plastycznej organizowaliśmy spotkania towarzyskie z plastykami, literatami, muzykami i fotografikami, często do późnych godzin nocnych (z „wodą rozmowną” w tle). Podjąłem w końcu studia na UMCS w Lublinie, lecz po dwóch latach zrezygnowałem, choć nawet nieźle sobie dawałem radę.

Dlaczego więc Pan zrezygnował?

Pokusa mocnych trunków była silniejszą przeszkodą. Potrzebowałem zmiany i ruszyłem w Polskę. W Zielonej Górze pracował mój były kierownik, lecz nim tu osiadłem, znajomego dyrektora (już) zwolniono. I tak zostałem w nowym środowisku sam z kłopotami mieszkaniowymi i rodzinnymi.

Nie chciał Pan wrócić?

Oj, chciałem, a jakże. Ale ambicja nie pozwalała. No i tak około czterdziestu lat jestem tutaj.

Co się działo później? Gdzie znalazł Pan zatrudnienie?

Rozpocząłem pracę w Amfiteatrze, lecz po krótkim okresie przechwycono mnie do Wojewódzkiego Domu Kultury. Tu przez lat dwadzieścia pięć z oddziałem opiekowałem się Sekcją Tkactwa Artystycznego odnosząc kilkakrotnie sukcesy na wystawach – konkursach ogólnopolskich (Turek, Bydgoszcz). Jednak czułem się wyobcowany, brakowało mi fermentu puławskiego. Inne to były czasy, inni ludzie.

W Puławach poznał Pan wielu znanych dziś pisarzy. Jednym z nich był Bohdan Zadura. Może Pan opowiedzieć, jak się poznaliście?

Zgadza się. Było to mniej więcej tak. Do mnie jako prowadzącego spotkania w POK-u, w klubie Mozaika zwrócił się kolega Janek Ł., mówiąc, że zna młodego poetę, który wydał dwie pozycje i mieszka obok niego. Może uda się zrobić z nim spotkanie autorskie. Przyprowadził Bohdana Z., tenże palił papierosy ekstra mocne, ja też takie, był więc pierwszy punkt zaczepienia. Mocna kawa po turecku i gadka. Panie Bohdanie – społeczeństwo Puław oczekuje na twórców, może zorganizujemy autorskie spotkanie. Na to Bohdan: Jakie społeczeństwo! Pół Puław to moja rodzina, a druga połowa to znajomi (Puławy wtedy liczyły coś ponad dziesięć tysięcy mieszkańców). I po długiej chwili milczenia Bohdan wyduśił z siebie: NIE. Nie połapałem się, co to znaczy, więc nawijam od nowa, już bez społeczeństwa. A Bohdan na to: Nie widzę potrzeby. Trzeba wiedzieć, że Bohdan w tym czasie nie był wylewny w rozmowie.

Nie to, co dzisiaj. Minęło sporo czasu, nim poznaliśmy się bliżej. Jednak do spotkania autorskiego nie doszło. Ale to już inna historia.

Jak Pan postrzegał zielonogórskie środowisko literackie i plastyczne?

Jadąc z Puław do Zielonej Góry, przejeżdżałem przez Szczęście. Nomen omen – złudna nadzieja. Nie zawsze szczęście sprzyja. Jadąc ze wschodu Polski na zachód, wiedziałem nie za dużo. Tyle tylko, że Zielona Góra była wówczas miastem wojewódzkim, że tu był ferment plastyczny ze Złotym Gronem, co nieco słyszałem o Klemensie Felchrowskim i Adamie Bagińskim (widziałem jego obraz w Muzeum Regionalnym w Kazimierzu Dolnym, a nawet pisałem małą notatkę do „Naszych Spraw” – pisma wychodzącego przy Zakładach Azotowych). Z literatów oczywiście kojarzyłem Janusza Koniusza, redaktora pisma społeczno-kulturalnego „Nadodrze”. Wertowałem to pismo do ostatniej strony, gdzie zamieszczał akty Czesław Łuniewicz, co na tamte czasy było czynem dość odważnym i rzadko spotykanym poza „Fotografią”. Czasem napotykałem wiersze Mieczysława Warszawskiego i Czesława Sobkowiaka. Jakoś nie pamiętam wierszy Papuszy, choć miałem wielu znajomych wśród Cyganów (kilku należało do Klubu Kolekcjonera, przez co miałem przejściowe kłopoty z bezpieczeństwem). Rozczarował mnie dość przeciętny poziom teatru lubuskiego. Miałem skalę porównawczą dobrych spektakli warszawskich i krakowskich. Często z grupą ludzi zainteresowanych wybieraliśmy się z Puław na wystawy i spektakle do Warszawy i Krakowa. Biennale grafiki, plakatu, przeglądowe wystawy czołowych artystów, tkaniny Abakanowicz, fotografie Zofii Rydet czy Edwarda Hartwiga, spektakle Szajny, Kantora to przykłady pierwsze z brzegu. Teatr amatorski w Puławach miał wysoki poziom (z niego wyszedł m.in. Marian Opania). Jednak pracując w resorcie kultury tu, w Zielonej Górze, miałem poczucie zastoju, a nawet wyobcowania. Trudno się przystosować do nowych okoliczności. Stagnacja trwała dość długo, na co przyczyniły się komplikacje osobiste (śmierć żony, wychowanie małych dzieci).

Co zrobił Pan w tej trudnej sytuacji?

Miałem wrażenie, że przechodzę wtórny alfabetyzm. Musiałem wiele spraw zaczynać niemal od zera. Swego czasu robiłem na polecenie dyrekcji okładki do tomików wierszy ludzi spod znaku Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Pierwszy był pod redakcją Henryka Szykina, drugi – Janusza Koniusza. Znałem to słynne określenie władzy w stanie wojennym, że i sprzątaczką potrafi pisać wiersze. Wtedy poznałem ludzi z RSTK. W grupie prym wiodła oczywiście Katarzyna Jarosz-Rabiej. Przystąpiłem do nich. Od razu wysłano mnie na warsztaty do Lubniewic – tamże uzyskałem drugą nagrodę za zestaw wierszy. Jury to Nikos Chadzinikolau, Anna Kajtochowa i Cezary Abramowicz. Po wydaniu antologii, do której dałem wiersze i projektowałem okładkę (i zjechaniu tejże przez Jana Kurowickiego), zacząłem stosować uniki. Nadarzyła się okazja, grupa ludzi wyszła z inicjatywą utworzenia Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów pod przewodnictwem Jolanty Pytel (w zespole współtworzących byli: Agnieszka Haupe, Katarzyna Jarosz-Rabiej, Bruno Aleksander Kieć i ja). A przy stowarzyszeniu powstał Uniwersytet Poezji o charakterze szkoleniowym dla uczestników doskonalących warsztat wraz ze spotkaniami autorskimi twórców raczej uznanych z Polski. Patronował temu działaniu honorowy rektor – profesor Czesław Dutka. Niejaki ferment w naszych głowach wносиły zwłaszcza spotkania autorskie i dyskusje po nich. Bywali tu tacy ludzie jak: Urszula Kozioł, Andrzej Zawada, Marianna Bocian, Urszula Benka, Janusz Styczeń, Bohdan Zadura, Andrzej Sosnowski i inni. Czesława Miłosza odwiedziliśmy w Krakowie. W Porcie Legnica spotkaliśmy ludzi uznanych, jak Zbigniew Machej czy Piotr Sommer, który był inicjatorem spotkań z poetami irlandzkimi i angielskimi (Michael Longley, Ciaran Carson, Paul Muldoon, Douglas Dunn). Dużo dała mi „Literatura na Świecie” pod redakcją Piotra Sommera, choć i wcześniejsze numery w małym formacie wybiórczo kupowałem. Tam zetknąłem się z rumuńską poetką Aną Blandianą, której twórczość śledziłem. Ucieszyła mnie wiadomość przyznania jej nagrody w Gdańsku (2016) – Europejski Poeta Wolności. W tym roku, tj. 2018 nominowana została do Griffin Poetry Prize (taki tytuł i nagro-

dę otrzymał ostatnio Adam Zagajewski). Cieszy mnie to ogromnie, gdyż cenię sobie wiersze tych autorów.

Interesuje Pana twórczość wielu autorów spoza Polski. Mógłby Pan wymienić kilka nazwisk?

Wśród Włochów mam swoich ulubieńców starszej daty, są to: Giuseppe Ungaretti, Salvatore Quasimodo, Eugenio Montale i Umberto Saba. Z poetów południowoamerykańskich to: Jorge Louis Borges, Roberto Juarroz, Octavio Paz, José E. Pacheco, Pablo Neruda i ostatnio poznany w Zielonej Górze poeta z Kolumbii Winston Morales Chavarro. Z północy to: E. E. Cummings, W. C. Williams, W. Stevens, C. Reznikoff i jeszcze kilku. Są poeci francuskiego języka, jak m.in. F. Jaccottet (pochodzący z Szwajcarii, a obecnie mieszkający w Prowansji), Hiszpanie, poezja krajów nordyckich, mniej Rosjanie, a przez ostatnich kilka lat Czesi, których ośmieliłem się przekładać: Vítězslav Nezval, Vladimír Holan, Miroslav Holub, Ludvík Kundera, Jan Skácel, oraz ci, których poznałem osobiście: Jiří Žáček, Karel Šys i Věra Kopecká. Nie wymieniam polskich poetów, a jest ich multum. Cenię przekłady z czestiny Leszka Engelkinga, Zbigniewa Machaja. Podziwiam mrówczą pracę Krystyny Rodowskiej z języków francuskiego i hiszpańskiego.

Pan także zajmuje się przekładami, zwłaszcza z języka czeskiego. Jak to się zaczęło?

Poszło o zakład z kolegą i udało się. To było wyzwanie. Samo opanowanie alfabetu, nie mówiąc o innych kruczkach, sprawiało moc kłopotu. Choć długo to trwało. Kolega wcześniej drukował przekłady z języka węgierskiego w „Akencie”. Ja w miesięczniku „Poezja” (1985, nr 9), numerze poświęconym poetom gruzińskim. Umieszczono osiem moich przekładów takich autorów jak: Michał Kwiliwidge, Dżansug Czarkwiani, Tamara Dżawachiszwili. Do Sakartvelo (tak się zwie Gruzja) niestety nigdy się nie wybrałem, żeby poznać ich kulturę na miejscu, poznać ludzi i obyczaje, i pogłębić język. Z Tbilisi dostawałem od kolegi wszelkiej maści materiały, w tym samouczek języka po rosyjsku, ja natomiast przysyłałem książki o tematyce ufologicznej. Znał dobrze język polski i niemiecki. Stan wojenny przerwał nasze

kontakty. Jeszcze w „Obrzeżach” drukowałem wiersze Gurama Petraszwilego. I na tym koniec.

W Zielonej Górze w ramach przyjaźni polsko-radzieckiej przebywała grupa pisarzy, wśród nich Michał Kwiliwidge. Ale nie miałem śmiałości prosić Janusza Koniusza, żeby nas zapoznał. Nie znałem bliżej Koniusza, wydawał mi się taki jakiś wielkopąśko niedostępny. Później zmieniłem o nim opinię. Nawet swego czasu chciał mi poprawiać wiersze. Nie zgodziłem się, uważając, że są to moje teksty, na tym etapie takie, nawet jeśli są błędy. To dziwne, swoje wiersze po pewnym czasie odczytuję zwyczajnie, natomiast wiele radości sprawiają udane przekłady.

Czego wymaga ten rodzaj działalności literackiej?

Przekładanie z obcego języka wymaga sporo wysiłku. Przekładam dosłownie, a potem szlifuję. Gdy przekładałem Gruzinów, „puchła” mi głowa, a mówiąc wprost – gorączkowałem. Z Czechami było łatwiej, ale tu grożą pułapki słowne wynikające z podobieństwa zapisu, lecz innego znaczenia (klasycznym będzie przykład znaczenia słów: czerstwy – świeży). Dlatego sprawdzam zawsze ze słownikiem w ręku. Druk wierszy lirycznych V. Kopeckiej w piśmie zielonogórskim „Pro Libris” sprawił mi ogromną satysfakcję, zwłaszcza że autorka bardzo ciepło je przyjęła. Czasem wynikają sprzeczki dotyczące niektórych określeń. Tak miałem ze słowem „łomikami”, co po polsku znaczy roślinę – skalnicę. Owszem, to słowo było wcześniej stosowane, ale wyszło już z użycia. Być może jeszcze istnieje gdzieś w gwarze, lecz tego sprawdzić się nie udało. Nezvalowski wiersz *Matka Nadzieja* w trzech wariantach porównywałem z innymi autorami przekładów, najbliższy był przekład Anny Kamieńskiej. Najtrudniej jest przekładać J. Žáčka (częste stosowanie rymów, budowa klasyczna) i J. Skácela. Jeśli nie wszystko się układa, jak należy, odkładam wiersz do nowego namysłu, być może po pewnym czasie na nowo zrobię to lepiej, lub dam sobie z nim spokój.

Nie spieszył się Pan raczej z publikacją swoich tekstów. Jak wyglądały początki?

Z tym moim pisaniem bywało różnie. Pierwsze „wypociny” pokazałem kolegom piszącym w Puławach. I dostałem taki łomot, że nie wiedziałem, jak się nazywam. Uwagi, o ile sobie przypominam, dotyczyły konstrukcji, użycia rymu, sensu wiersza. Pewnie nic z tamtych wierszy nie ujrzało druku. A przecież stawałem w szranki konkursowe, nawet w konkursach ogólnopolskich i zdobywałem czołowe nagrody. Za druk wierszy w pismach płacono. Z czasem to się zmieniło i pisma efemerydy szukały u autorów wsparcia, a najczęściej po roku padały. Nawet wydawanie tomików poetyckich (już bez cenzury) było łatwiejsze, lecz z dawnych nakładów najczęściej dziesięciotysięcznych, zeszło do setnych. Dystrybucja upadła. Decydował wolny rynek. Pierwsza moja publikacja zwarta wyszła dość późno. Był to *Węzeł serdeczny* (1996) wydany pod nadzorem Wojciecha Śmigielskiego jako zbiór miniatur, które miały być w formie tanka. Z tej formuły ostało się kilka, reszta to po prostu miniatury, dość ciepło przyjęte przez krytyków bądź znawców. Ta mała książeczka miała być drugą pozycją, a pierwszą *Lato zimorodka*. Stało się inaczej. Tak więc Śmigielskiego uważam za „ojca chrzestnego” moich pierwocin.

A kolejne tomiki?

Później było różnie, choć już samodzielnie. Mam odczucia ambiwalentne, co do niektórych wierszy wcześniej drukowanych w pismach literackich, a także w tomikach. Powoli zaczynałem uwalniać się spod uroku wierszy Józefa Czechowicza i pisać zwarte krótkie teksty. Pewnie poematu na kilka stron nie potrafiłbym napisać. Mam krótką pamięć, bywa wybiórcza. Haiku – otóż ukazało się swego czasu pismo pod takim samym tytułem, wyszło kilka numerów w 1994 i 1995, no i padło. A ponadto mieliśmy kolegę z Polkowic, nawiązanego hajjiną, który propagował gdzie się dało tę krótką formę. Nawet w wydawnictwie Pro Libris wydaliśmy małą lubuską antologię haiku. Ja w dalszym ciągu próbuję pisać coś w duchu haiku, ale wolę formę tanka – bardziej swobodną. Jednak nie podjąłem się nauki języka japońskiego. Parę książek, jakie zgromadziłem, przekazuję młodym zainteresowanym. Wracając do wierszy i wytwarzania papieru ręcznie czerpanego, zrobiłem kilka prac z myślą o książce artystycznej.

Czy ma Pan w planach wydać taką artystyczną książkę?

Mam zamiar, jeśli się uda, w tym roku ją skończyć i wydać... w dwóch egzemplarzach! Teksty są gotowe, a dotyczą fantastycznego życia mrówek. Ponadto poczyniłem kilka prac „literackich” w paśmie czerpanym.

Co to znaczy?

Przykład: sonet to wielobarwne punkciki, każdy punkcik tworzy sylabę i ilość sylab powtarza się w czternastu wersach. Ot, taka być może zabawa, ale mnie cieszy, a niektórych ludzi zdumiewa. Jeszcze mam zamiar co nieco wystawić, a jak dobrze pójdzie, to w tym roku coś wydać. Przymierzam się do tego. Gorzej z tym wsparciem finansowym. Ale jak określił Palamas: ja wierszokleta bosy, broni nie składa i dopóki pióro i pędzel w ręku... to być może coś jeszcze zdziałam.

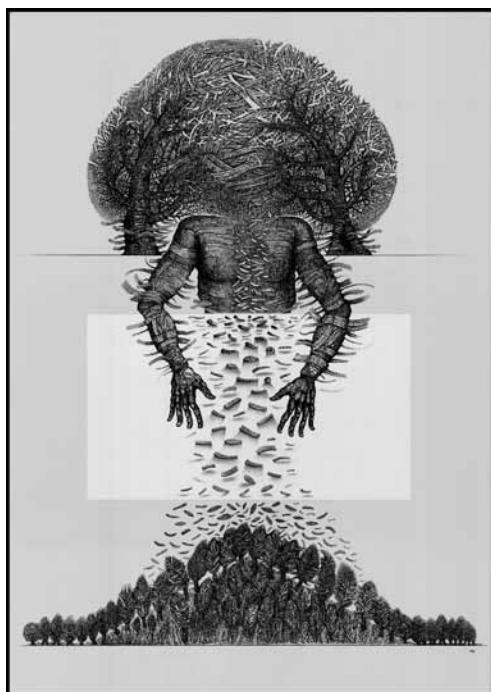
Bardzo mnie intrygują te teksty o życiu mrówek. Skąd taki pomysł?

Przejrzałem teksty dotyczące mrówek i uważam, że są drętwe. Pewnie je choć w części przerobię, albo dam sobie spokój. Mrówki według legendarnych opowieści pochodzą z rodziny os. Mają podobny jad, który w stężeniu może zabić człowieka. Mrówki robotnice utraciły skrzydła. Najczęściej znane nam mrówki to: rudnica (brązowa), hurtnica (czarna) i faraonka. Są mrówki grzybiarki, żniwiarki, wysmuklice, żałobnice i mnóstwo innych. W Polsce występuje ponad sto gatunków. Żyją na ogół w kopcach, które sięgają w głąb ziemi nawet ponad dwa metry.

Może jakiś wiersz?

Milczenie mrówek
nie jest wskazane kiedy
poznasz tajniki
rozmowy między nimi
z podziemnych opowieści

Dziękuję za rozmowę.



Robert Rudiak

Helena i Zygmunt Rutkowscy – pierwsi autorzy lubuskich baśni

Jednymi z pierwszych twórców literatury na Ziemi Lubuskiej byli Helena i Zygmunt Rutkowscy. I mimo że oboje są autorami pierwszych książek, jakie ukazały się w naszym regionie, zwłaszcza baśni i legend o tematyce lubuskiej, to są oni stosunkowo mało znani. Nie ukazywały się ich biogramy, życiorysy ani informacje biograficzne, nie figurują w żadnych leksykonach pisarzy lubuskich, nie zamieszczano o nich prawie wcale artykułów prasowych czy zdjęć, poza niewielkim artykułem poświęconym Rutkowskemu w dodatku niedzielnej „Gazety Zielonogórskiej” w rubryce „Głowy nie od parady” Tadeusza Jasińskiego pt. *Na tropie lubuskich dziejów* w 1966 roku.

Małżonkowie przybyli do Zielonej Góry w 1953 roku. Zygmunt Rutkowski urodził się 24 maja 1922 we wsi Tonowo koło Żernik w Wielkopolsce na Pałukach. Tam ukończył szkołę podstawową, a następnie zamieszkał w Poznaniu u swojej ciotki, gdzie rozpoczął naukę w szkole średniej, którą przerwała wojna. Siedemnastoletni Zygmunt trafił wówczas w ręce okupanta. Był więziony w obozie pracy przymusowej w Żabikowie i Forcie VII w Poznaniu, a później wywieziony do obozu koncentracyjnego Mauthausen. Przebywał w kilku filiach tego obozu – pod Lublaną w Jugosławii oraz w Melku i Ebensee w Austrii. Tam też zastało go wyzwolenie.

Po powrocie do Poznania ukończył szkołę, a następnie w 1953 roku – studia historyczne na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza. W trakcie studiów poznał w swojej rodzinnej wsi Helenę i ożenił się. Po studiach Rutkowski otrzymał nakaz pracy w Archiwum Państwowym, które wówczas znajdowało się w Sulechowie, dokąd dojeżdżał. W 1953 roku utwo-

rzono w Zielonej Górze Wojewódzkie Archiwum Państwowe, wyodrębnione z jednostki poznańskiej. Lokalizacja zielonogórskiego WAP pozostała nadal w Sulechowie. Ówczesny dyrektor WAP dr Tadeusz Mencil ściągnął do Sulechowa Rutkowskiego, młodego pracownika poznańskiego Archiwum, który został zatrudniony na stanowisku asystenta. Wówczas małżonkowie zdecydowali się zamieszkać w Zielonej Górze przy ul. Sportowej na osiedlu Wazów. Mencil w 1954 roku założył w Zielonej Górze oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, którego członkami byli w większości pracownicy Archiwum. Oddział stał się załącznikiem powstania środowiska naukowego, głównie historyków. W 1958 roku powstała Stacja Naukowa PTH, a potem na jej bazie – Lubuskie Towarzystwo Naukowe i Instytut Historii w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Tego samego roku przeniesiono zasoby archiwalne z Sulechowa do Starego Kisielina.

Przez ostatnie 10 lat życia Rutkowski aktywnie działał, m.in. jako sekretarz w Komisji Historycznej ZBoWiD-u, był też współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Zielonej Górze, któremu prezesował pod koniec lat 50. To wówczas pojawiały się publikacje o tematyce niemieckoznawczej i rewizjonistycznej, artykuły polemiczne i publicystyczne, noty i opracowania historyczne Rutkowskiego publikowane w „Przeglądzie Zachodnim”, „Archeonie”, „Życiu i Myśli”, „Odrze”, „Kierunkach”, „WTK”, „Tygodniku Demokratycznym”, „Wolności i Ludzie”, „Tygodniku Zachodnim”, „Sobótce”, „Polityce”, „Nadodrzańskich Szkicach Historycznych”, „Roczniku Lubuskim”, „Nadodrze”, „Kulturze Lubuskiej”, „Gaze-

cie Zielonogórskiej” i Zielonogórskiej Rozgłośni Polskiego Radia oraz w innych czasopismach czy biuletynach. Z ważniejszych jego prac wymienić można: *Z dziejów Polonii zielonogórskiej, Nadodrzańską osadę warzelników soli, Z dziejów Pogranicza brandenbursko-dolnośląskiego w pierwszym ćwierćwieczu XX wieku, Z przeszłości Nowej Soli, Z przeszłości środkowego Nadodrza, Życie ludności polskiej w Zielonej Górze 1890-1939, Dokument opata Miaszkowskiego, Krosno Odrzańskie – prastara twierdza piastowska czy Archiwum Księstwa Żagańskiego*.

Opublikował też skrypt *Ziemia Lubuska w dziejach Polski* passus poświęcony dziejom Zielonej Góry w monografii *Miasta polskie w Tysiącleciu*. Był inicjatorem powołania przy Wydawnictwie Poznańskim serii zwanej Biblioteką Lubuską, dzięki której młodzi historycy mieli możliwość publikowania swoich prac naukowych.

Artykuły naukowe Rutkowskiego znalazły się także w opracowaniach zbiorowych – *Nadodrzań-*

skich szkicach historycznych wydanych w 1960 roku przez LTK i Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodowej oraz w książce wydanej w tym samym roku przez Instytut Zachodni w Poznaniu pt. *Życie ludności polskiej w Zielonej Górze w latach 1890-1939*.

Rutkowski zajmował się również tłumaczeniem niemieckich baśni i legend, które po przeróbkach literackich publikował wraz z Kazimierzem Malickim i Ireną Solińską. W 1957 roku ukazała się pierwsza na Ziemi Lubuskiej książka wydana przez LTK. Był nią zbiór baśni *O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach*. Wyżej wymienieni autorzy wspólnie zamieścili trzy baśnie regionalne, a Rutkowski także postowie. Również trzy baśnie umiejscowione w Gubinie i okolicach (*O gubińskich karzełkach* i *O dzikim rycerzu znad Nysy*) oraz w Krośnie Odrzańskim (*Skarbnik ze Srebrnej Góry*), wspólnie napisane z Ireną Solińską, zamieścił on w 1960 roku w zbiorze Hanny Kostyrko *Klechdy domowe*. Jego szkice historyczne, *Zielonogórski Polenkonig* oraz *Sobieski i Sułtan z Bacchusem pod rękę*, ukazały się w zbiorze poświęconym przeszłości Ziemi Lubuskiej *Odzyskane gniazda* w 1963 roku. Przed rokiem 1967 powstał rękopis *Ze świata baśni, legend i podań ludowych*, zawierający tłumaczenia utworów niemieckich i ich przeróbki, które jednak nie doczekały się wydania drukiem.

Zygmunt mocno schorowany po przebytej gehennie obozowej szybko przeszedł na rentę. Po długim pobycie w szpitalu, z uwagi na przewlekłą chorobę serca, umarł w dniu swoich urodzin w 1967 roku, mając zaledwie 45 lat.

Żona Zygmunta – Helena Rutkowska urodziła się 7 kwietnia 1927 we wsi Mańkowo na Wołyniu, skąd uciekła przed bandami UPA. Przybyła do centralnej Polski i osiadła we wsi Tonowo, gdzie przegarnięto ją w zamian za pracę w gospodarstwie. Jej rodzice w ramach repatriacji osiedli w Przylęku koło Nowego Tomyśla. Po ślubie Helena uzupełniła skrócony w Poznaniu kurs szkoły średniej i podjęła pracę w księgarni. W tym czasie przyszły na świat dwie córki, a najmłodsza urodziła się już w Zielonej Górze.

Helena Rutkowska pisanie utworów dla dzieci zajęła się w latach 50. Pierwszą legendę *Skąd się wzięła nazwa Lubiatowa* oraz baśń *Ropucha* zamie-

ściła w 1958 roku w trzecim numerze pisma biblioteki – „Biuletynie Informacyjno-Bibliograficznym”, a w następnych numerach podania: *Walki przy Świętym Gaju, Rusalki przytockie, Zemsta uwiedzionej i Lubuska świtez, opisujące rozgrywane się w czasach przedchrześcijańskich wydarzenia związane z Jeziołem Dankowskim pod Strzelcami Krajeńskimi, z Zagórzem, Pomorskiem, Przytokiem, Polanowicami nad Nysą Łużycką i Lubiatowem*. Rok później w tym samym biuletynie, wychodzącym pod zmienionym tytułem „Kultura Lubuska”, ukazała się jej baśń *Diabeł, wino i rycerz*, związana z winnicami pod Zieloną Górą oraz *Powracający dukat* – legenda dotycząca Głogowa. Kolejne teksty Rutkowskiej znalazły się w wydaniach książkowych, zaczynając od zbioru wydanego wraz z Izabellą Koniusz *Królewska pieczęć. Z baśni i podań Nadodrza*, wypuszczonego na rynek w 1962 roku przez Wydawnictwo Poznańskie ze wstępem Eugeniusza Pauksztę. W wydanym rok później zbiorze poezji i prozy lubuskiej *Odzyskane gniazda* znalazły się dwie legendy Rutkowskiej: *Biesiada szkieletów w zamku Scho-naicha* oraz wspomniana już *Diabeł, wino i rycerz*. W 1968 roku baśnie i legendy Rutkowskiej, niektóre napisane wspólnie z Ireną Solińską, zostały zamieszczone w publikacji zbiorowej *Legendy znad Odry*, a dwa lata później – w następnej antologii Wydawnictwa Poznańskiego *Złota dzida Bolesława. Podania, legendy i baśnie Ziemi Lubuskiej*, którą przygotował do druku Janusz Koniusz, a przedmowę napisał Eugeniusz Paukszta.

Boom wydawniczy i zapotrzebowanie czytelnice na lokalne historie i opowieści baśniowe związane z tzw. Ziemiami Odzyskanymi pojawiły się ponownie w latach 80. XX wieku. Wówczas ukazały się drukiem kolejne utwory Rutkowskiej. W 1984 roku wyszła książka z wyłącznie jej legendami i baśniami pt. *Świat czarów*, wydana przez LTK. W latach 1986-1987 Wydawnictwo Poznańskie opublikowało serię lubuskich podań, legend i baśni z rysunkami Marcina Szancera, stanowiących wybór utworów ze *Złotej dzidy Bolesława* pod redakcją J. Koniusza z 1970 roku. W 1986 roku ukazały się *Marianna i Złota dzida Bolesława*, a rok później *Żelazny diabeł i O skarbach w bytomskim zamku*. Ty-

tułowe legendy *Marianna i Żelazny diabeł* były autorstwa Rutkowskiej.

W sumie napisała ona ponad 50 utworów związanych z Ziemią Lubuską, kilkanaście z nich powstało wspólnie ze wspomnianą Ireną Solińską. W swoich podaniach, legendach i baśniach Rutkowska podejmowała tematykę związaną z czasami pogańskimi lub wczesnego średniowiecza, stąd dużo w jej opowieściach rycerzy, kapłanów, pustelników, zakonników, a ponadto pojawiają się niemieccy junkrzy, raubritterzy, margrabiowie i grafowie oraz postaci magiczne i baśniowe, jak czarnoksiężnicy, wodniki, rusalki, nimfy, wiedźmy, duszki, krasnale, upiory i rozmaite diabły. Spośród słowiańskich bogów na kartach utworów Rutkowskiej znaleźć można Swantewita, Światowida, Marzannę i Kupatę, ale też postaci historyczne, jak: Fryderyk von Biberstein – książę żagański, książę Henryk V, książę Henryk I Brodaty i jego synowie: Konrad i Henryk Pobożny, św. Jadwiga – żona księ-



cia śląskiego Henryka Brodatego, księżna czeska Dąbrówka, Fabian von Schonaich – hrabia i władca Bytomia i Otynia, junkrzy: von Sternberg z Bytomia Odrzańskiego, von Schonaich z Zaboru, von Tothenburg z Nietkowa, von Winnig z Torzymia, von Sack z Żar i Jaksza z Kopanicy. Bogata była także kolekcja diabłów: Rokita, Boruta, Mefistofeles, Lucyper, Kordek i Arglist.

Za miejsce akcji pisarka wybierała stare osady prasniewskie lub obronne grody Piastów bądź klasztory zakonne i stare zamczyska niemieckich rycerzy. Stąd akcja dzieje się np. w Strzelcach Krajeńskich, Niemczy Łużyckiej, grodzie Sulecha, Trzcielu, Cigacicach, Paradyżu, pojawiają się również: Ochla, Bytom Odrzański, Zielona Góra, Żary, Lubniewice, Żarki, Łagów, Bukowiec, Niesulice, Przytok, Głogów i Żukowice, Dankowo, wieś Dobrzejowice, Bobrowniki, Zabór, Krosno Odrzańskie, Osiecznica, Zagórze, Pomorsko oraz okolice Jasienia, Uradu, Santoka i Lubuska. A utwory opowiadają historie związane z czarnym jeźdźcem znad Nysy, sulechowskim olbrzymem, kasztelanem Sędziwojem z Łysej Góry, śpiącymi rycerzami z Lubniewic, z tajemnicą niesulickiego jeziora, biesiadą szkieletów w bytomskim zamku Schonaicha, z dankowskim skarbem ukrytym w jeziorze, z powstaniem winnic zielonogórskich i rzek Warty oraz Czerny, z pierścieniem świętej Jadwigi czy walkami przy świętym gaju nad Nysą w 963 roku pomiędzy polskimi kniaziami a niemieckimi margrabiami i oddziałem Gerona.

Jako ciekawostkę warto też przytoczyć, że pierwszymi recenzentkami opowieści ze świata baśni lubuskich były trzy córki pani Heleny – Roma,

Krystyna i Zdzisława, bowiem autorka często swoje utwory czytała dzieciom przed zaśnięciem. Jak wspomina jedna z córek – Krystyna Flugel, wiele też wylała przy słuchaniu baśni o zmokniętej kurce. „Nie wiem, które ze swoich baśni moja mama uważała za najciekawsze czy najważniejsze – podaje pani Krystyna – ale ja zawsze stawiałam na pierwszym miejscu *Przygody czarnoksiężnika Chorwata*, *Jak powstała rzeka Czarna*, *Żelazny diabeł* i inne. Zawsze bawiło mnie, że diabeł okazywał się głupi i zdrowy chłopski umysł mógł go przechytrzyć. Uczyły [baśni], że dobro zawsze zostaje nagrodzone, a zło potępione”¹.

Przeglądając rękopisy państwa Rutkowskich z domowego archiwum ich córki Krystyny, natknąłem się na wiele prac niepublikowanych – są to zarówno opracowania historyczne skreślone ręką pana Zygmunta, jak i utwory pani Heleny. Pisała ona bowiem nie tylko baśnie i legendy związane z Ziemią Lubuską, ale również z Pomorzem i Legnicą², a także słuchowiska, niektóre tworzone wspólnie z Romualdem Szurą z zielonogórskiej rozgłośni Polskiego Radia³.

Helena Rutkowska zmarła 19 września 1984 roku i jest pochowana na cmentarzu komunalnym w Zielonej Górze, podobnie jak jej mąż. Być może nadejście kiedyś czas, aby zebrać w jednym tomie wszystkie dzieła Rutkowskich – rozproszone artykuły i szkice historyczne Zygmunta oraz wydane drukiem, jak i niepublikowane baśnie, legendy, podania, słuchowiska Heleny. Bowiem sylwetki, a także praca twórcza tych dwojga pisarzy warto są upamiętnienia w annałach lubuskiej kultury i nauki.

Jerzy Szewczyk

On był jeden



Zdzisław Grudzień urodził się w roku 1931 w Rogoźnie koło Poznania. Po ukończeniu technikum mechanicznego uznał, że jego powołaniem jest wykonywanie zupełnie innego zawodu – został aktorem. Dla rodziny zamieszkałej we Wrocławiu była to duża niespodzianka. Na egzaminie zaimponował dowcipem i przytomnością umysłu.

W roku 1959 ukończył Wrocławskie Studium Dramatyczne, przyjechał do Zielonej Góry i został zaangażowany w Teatr Ziemi Lubuskiej. Temu teatrowi pozostał wierny przez całe zawodowe ży-

cie. W dostępnych źródłach znajduję informację, że zagrał w nim ponad sto ról. Zapowiadał się dobrze – już w sezonie 1959/60 w *Wieczorze Trzech Króli* zaimponował krytykom i publiczności w roli Chudoby. Jego kolejne role – ta tytułowa w *Żywiecie Józefa Mikołaja Reja*, jak i Papkina w *Zemście* – utrwalały nadzieje na dalsze osiągnięcia.

W roku 1973 został uznany za najlepszego aktora Teatru Lubuskiego. Znaczący wkład w osiągnięcia tegoż teatru wniósł tytułową rolę w sztuce Stanisława Grochowiaka *Król IV*. Wkrótce otrzymał nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych. Ze zdobytych informacji wynika, że miał udział w sukcesach Teatru Wyobraźni Polskiego Radia w Zielonej Górze. Poza pracą zawodową prowadził niejednokrotnie programy okolicznościowe i koncerty – elegancko i dowcipnie.

Spotykaliśmy się dosyć często, także towarzysko. Prezentował anegdoty teatralne i utwory sceniczne znanych twórców.

Po zakończeniu pracy zawodowej Zdzisław był rzecznikiem praw obywatelskich, dwie kadencje radnym rady miejskiej. Myślę, że dowodem na wysoki poziom jego aktorstwa były odznaczenia – medal „Za zasługi dla miasta”, odznaka „Za zasługi w rozwoju województwa lubuskiego”, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Dyplomy Ministra Kultury i Sztuki, Nagroda Kulturalna Prezydenta Miasta. O poziomie jego gry aktorskiej świadczą przede wszystkim reakcje widzów.

We wspomnieniach wydanych drukiem, w roku 2001 i 2010, Zdzisław Grudzień sięga do wydarzeń, w których uczestniczył lub których był świadkiem w latach 1965-1992. W obu książkach nie unika związków życia teatralnego z problemami społecznymi.

1 E-mail z 13 grudnia 2017.

2 Z baśni o tematyce pomorskiej znalazły się: *Okrętowy duszek*, *Krwawy pirat* – Claus Stoeckerbecker, *Śmierć i niezwykły drwal*, *Hulaka spod Koszalina*, *Jak zdobyć powracający pieniąż*, *Diabeł w spódnicy*, *Perypetie mieszkańców Sianowa*, *Pomorskie zmyły*, a tematyce legnickiej – *Czarny Fryderyk* (brak w niej zakończenia) i *Rozbójnicy*.

3 Słuchowiska samodzielnie napisane przez Rutkowską to *Jabłonie* (1973) i *Krwawe dłonie* (1971), a wspólnie z R. Szurą – *Głogi spowite żałobą* (1971), *Na murach Głogowa – dla dzieci* (1972), *Czarny salon* (1972), *Fotografie sprzed lat* (1971) i *Burmistrzowska lampa* (1972).

We wrześniu 1980 roku przygotowywano *Skąpcę* Moliera. Grudzień grał w tej sztuce główną rolę Harpagona. Rzadko tolerował naruszenie reguł etyki aktorskiej. Czasem odważnie wkraczał w sferę osobistych dyskusji. Tak np. między nim a Janiną B. dochodziło na tle obsady ról do różnicy zdań. Później Janinę B. zastąpiła Danuta A. Recenzje teatralne J. J. Dębka, C. Sobkowiaka, Z. Łukasiewicza, M. Piekarskiej były dla niego korzystne. Nie tylko zresztą pochłaniały go role aktorskie, znano go w terenie – jeździł jako konferansjer z grupą muzyków filharmonii po terenie województwa.

17 lutego 1981 roku rozpoczęto próby sztuki *Iwona księżniczka Burgunda* Witolda Gombrowicza. Obejrzałem ten spektakl i przez dłuższy czas byłem pod jego wrażeniem. Po premierze 28 marca 1981 ponownie przychylnie recenzje pojawiły się w naszej prasie wojewódzkiej. Polska w roku 1980 wkroczyła w nowy okres dziejów. Zdzisław nie pozostał obojętny.

Z sympatią uczestniczył 15 września 1980 roku w zebraniu założycielskim NSZZ „Solidarność”. Niestety, reperkusje związane z tworzeniem się ruchu związkowego dotknęły jego rodzinę. Mocno przeżył zwolnienie z pracy córki Małgorzaty. Z czasów stanu wojennego opowiedział mi historię obrony Romana T. i Małgorzaty M. przed zwolnieniem.

W 1983 roku z teatru odeszła dyrektor Krystyna Meissner. Przez jakiś czas z konieczności placówką kierował dyrektor administracyjny Edward Tomczak. Były to czasy, gdy obsada stanowiska dyrektora teatru wymagała rekomendacji partyjnej. Można powiedzieć, że wizyta trójki aktorów ze Zdzisławem na czele przyspieszyła wtedy nominację na nowego szefa Hilarego Kurpanika. Zaproponował on na swojego zastępcę Zdzisława, ale ten wierny powołaniu odmówił przyjęcia stanowiska. Edward Tomczak kierował wówczas przebudową teatru. Trzeba było spełniać m.in. wymogi przeciwpożarowe.

Jak wcześniej zauważyłem, Zdzisław sprawdzał się w przedstawieniach estradowych. Niezapomniany był np. jego udział w kabarecie. Premiera odbyła się 16 grudnia 1984 roku w teatralnej kawiarence.

Lubił opowiadać o różnych wypadkach teatralnych. W książce wspomnieniowej wydanej

przez Pro Libris wraca do perypetii związanych z pomysłem reżysera, aby aktorom uszyć gorsety czy „wsypać” akustyka, który mając nagrany tekst Zdzisława, trzykrotnie nie włączył dźwięku w porę. Aktor po trzech próbach porozumienia się z akustykiem nie wystąpił w ogóle. Inny przykład to kabaret, jaki odegrali aktorzy teatru na branżowe Święto Odlewnika w Nowej Soli. Pojawienie się na scenie striptizerki zburzyło niemal całkowicie scenariusz. Widzowie, będący w większości po piwie, nie zostali usatysfakcjonowani, bo dziewczyna na scenie nie chciała się rozebrać. W innym miejscu aktor opisuje występ perukarki w striptizie dla zebranych na sali kolejarzy.

Na spektaklu *Smok* J. Szwarca w roku 1985 znowu wykazał swój talent. W. Mystkowski w recenzji zamieszczonej w „Nadodrze” pisał: „wreszcie aktor ten po ostatnich chudych latach trafił na swoją rolę”. Zdzisław znany był z dużej cierpliwości wobec różnych problemów w pracy i poza nią. Gdy jednak jakieś błędy powtarzały się, potrafił urządzić karczemną awanturę. Tak było w przypadku Basi L., która regularnie spóźniała się na wyjazdy na spektakle w terenie.

W roku 1985 dyrektor Marek Okopiński wystawił na naszej scenie *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego. Uczestniczyłem w spektaklu jako widz, chociaż przyznam, że niewiele z tego czasu pamiętam.

Wielokrotne uczestnictwo w spektaklach pozwoliło mi zatrzymać w pamięci sławnych aktorów, takich jak: Józef Michalcewicz, Józef Fryżlewicz, Zdzisław Grudzień, Halina Winiarska, Jerzy Glapa, Zdzisław Wardejn, Stanisław Cynarski. To tylko część zespołu (na końcu tekstu zamieszczam wykaz członków zespołu za dyrekcji Marka Okopińskiego).

W pewnej znanej sztuce Zdzisław wypowiedział jedno zdanie: „A niech was wszyscy diabli”. Pozostawiam czytelnikom odgadnięcie, jaka to sztuka.

Wykształcenie techniczne i umiejętności Zdzisława pozwalały mu na wykonanie wielu fachowych prac. To on samodzielnie zbudował meble do mieszkania rodzinnego, ale i dla córki – do jej budowanego domu. Umiejętności wykazał też, obsługując samo-

chód trabant. W końcu się go pozbył za sumę bardzo dyskusyjną. Był przez kilka lat udanym Bachusem Winobraniowym. Dobrze radził sobie za granicą. Tak przynajmniej wynika z jego relacji z podróży „artystycznej” na Białoruś i do Szwecji. Był dobrym fotografem. Zdjęcia gromadził starannie w albumach. Wspominając, nieraz wracaliśmy do zatrzymanych w kadrze chwil. Dla rodziny był wrażliwym człowiekiem.

Jak wspomina Katarzyna Jarosz-Rabiej, aktor uwielbiał zupę grzybową. Sam był świetnym kucharzem, a jego andruty z masą kakaową były wyśmienite.

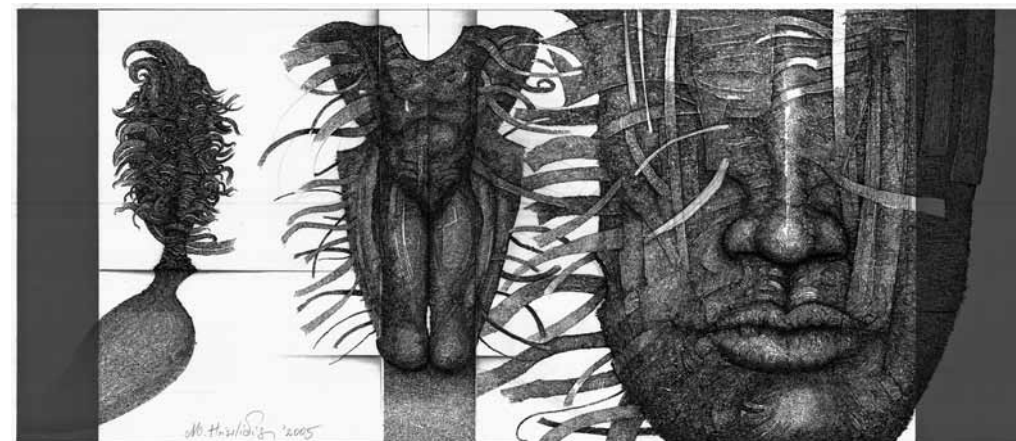
Fizycznie był sprawny, ale przyszły lata, gdy dawać zaczęły o sobie znaki różne choroby. Dzielnie je znosił. Jednak stan zdrowia stale się pogarszał. Sił było coraz mniej. Odszedł 27 kwietnia 2016 roku.

Towarzyszy mu dziś skromna pamięć. W tej profesji to za mało. Czy propozycja uczczenia go nazwą ulicy nie ma silnego uzasadnienia? Przecież niedawno byliśmy świadkami gorszących scen przy zmianie

nazwy jednego z traktów miejskich. Myślę, że warto podjąć działania w świetle niekwestionowanych osiągnięć Zdzisława Grudnia.

Zielona Góra, 20 marca 2018

Zespół artystyczny za czasów dyrektora Marka Okopińskiego tworzyli: Danuta Ambroż, Stefania Cybulska, Irena Grzonka, Kira Franciszkowicz, Antonina Girycz, Janina Janiak-Garbowska, Sława Kwaśniewska, Halina Lubicz, Amelia Szymańska, Halina Winiarska, Hanna Wróblów, Barbara Zgorzalewicz, Stanisław Cynarski, Maciej Dzienisiewicz, Józef Fryżlewicz, Roman Garbowski, Zdzisław Grudzień, Zdzisław Giżejowski, Wirgiliusz Gryń, Aleksander Iwaniec, Jarosław Strzemień, Lech Pietrasz, Bogusław Idziak, Bogusław Jerke, Ryszard Jakubowicz, Andrzej Mrozek, Zygmunt Malanowicz, Henryk Machalica, Józef Michalcewicz, Andrzej Rattinger, Zygmunt Szepecht, Hieronim Mikołajczyk, Andrzej Tyralewski, Zdzisław Wardejn.



Początki baśni lubuskiej (cz. 3)

Zainteresowanie tematyką polskości tzw. Ziem Odzyskanych stale rosło w latach 60. i to nie tylko za sprawą polityki władz PRL, które były niezwykle wyczulone na rewanżystowskie i rewizjonistyczne działania ziomkostw zachodnioniemieckich, ale przede wszystkim w związku ze stałą chęcią odnajdywania przez ludność napływową utraconej tożsamości, znalezienia się w nowej rzeczywistości i próbą przywiązania się do nowej, regionalnej ojczyzny. Baśnie czy legendy, na które pojawiło się zapotrzebowanie tuż po drugiej wojnie, trafiały właśnie do pierwszego pokolenia urodzonych na tych ziemiach Lubuszan, czy to będących już w szkole podstawowej, czy średniej. W 1968 roku LTK na fali tej popularności i rosnącego zainteresowania poszukiwaniem polskich korzeni w „lubuskości” wydało kolejny, po-każny tom pt. *Legends znad Odry*, którego redaktorem był Janusz Koniusz¹, a autorem wstępu Eugeniusz Paukszta, natomiast autorką barwnych ilustracji była Jolanta Zdrzalik-Buňhak. W zbiorze pomieszczono utwory baśniowe, ale głównie legendy kilku autorów: I. Koniuszowej, I. Solińskiej, H. Rutkowskiej, T. Jasińskiego, K. Malickiego, A.K. Wańkiewicza, a także dwa poematy dla dzieci Bronisława Suzanowicza. Paukszta we wstępie do *Legend znad Odry* konsekwentnie budował mit piastowski i realizował postulat wyższości polskiej baśni nad niemiecką, która wyrastała ze starogermańskiej mentalności narodowej i inklinacji do okrucieństwa, bezwzględności i brutalności; mitologia germańska przez

lata też zawłaszczała wątki słowiańskie, wypaczając nieraz sens moralny baśniom, nadając im własny morał czy przesłanie, często oparte o fanatyczne patriotyczne, narodowe lub nawet rasowe treści:

Tak się złożyło, że przez lata zapoznawalem się dosyć gruntownie z polską tradycją fantastyki ludowej Nadodrza i Pomorza. Poznałem zarazem tradycyjny krąg pojęć i stereotypów mitologii germańskiej. Z pewnym nawet zdumieniem obserwowałem, jak te dwa nurty nigdzie ze sobą się nie splatały, odrębne we wszystkim, w wymowie moralnej, w nastroju, w wydźwięku społecznym, w humanizmie polskim i bezwzględności niemieckiej [...]. Na odwrót, to spod wielu miejscowych opowieści niemieckich opadała jak łuska z ryby sztuczny niezdarny lakier germański, wyzierała najczystsza w duchu, w tonacji, w nastroju, w postawie etycznej echa mitologii słowiańskiej. Bo jeśli już szukać zapożyczeń czy raczej pokrewieństw, to z lużyckimi, gdzieś może nawet z czeskimi, żadnej natomiast nie znajdzie się wspólnej nici z tradycją baśni germańskiej, ciągle operującej ostrym, okrutnym stereotypem Nibelungów².

Można rzec, że *Odzyskane gniazda*, jak i wcześniejsze tomy baśni i legend stanowiły literackie preludium do wydania największego wyboru tego typu zbioru utworów o tematyce lubuskiej, jaki ukazał się do chwili obecnej. Była nim objętościowo po-

każnych rozmiarów księga *Złota dzida Bolesława. Podania, legendy i baśnie Ziemi Lubuskiej*, wydana przez Wydawnictwo Poznańskie w 1970 roku w nakładzie 30 tys. sztuk. Na zbiór liczący przeszło pół tysiąca stron złożyło się 76 utworów podzielonych tematycznie na osiem rozdziałów: *O białogłowach, O królach, księżach i rycerzach, O diabłach i wiedźmach, O zbójcach i złodziejach, O skarbach, wodnikach i rusalkach, O skrzatach i kwiecie paproci, O chłopach, panach i mieszczanach, O drzewie przyjaznym człowiekowi*. Tak posegregowane utwory jednoznacznie odzwierciedlały wątki fabularne podejmowane w opowieściach. O udanych adaptacjach gwarowych opowieści ludowych i ich transpozycji na język literacki ciekawie napisał w *Przedmowie* E. Paukszta:

Zapadło mi w pamięć wspomnienie sprzed wielu lat, gdy w Nowym Kramsku, w bajecznie książkowej, a ciepłą noc sierpniową „Król Polaków” Jan Cichy bąbał o złym wodniku i o szlachetnej dziewczynie, gdy w tęże noc wtórowała mu Apollonia Krawiec gawędą o złych raubritterach i prawych kmieciach. To były moje pierwsze zetknięcia z podaniem, legendą, baśnią lubuską – w jednym z czołowych ośrodków polskość na babimojskiej ziemi. [...] Chciałbym zwrócić uwagę, jak poczesne miejsce zajmuje w zebranych utworach kmieć polski, jak wiele mają do powiedzenia polscy mieszczanie, rzemieślnicy, plebs miejski, artyści. Graf, burgrabia, raubritter i rządzący patrycjat miejski – to Niemcy, wyraźnie czarną obwódką odzieleni od bieli Polaków. Ten podział wyrazistą nunią snuje się przez cały tom, nadając mu jednoznaczny ludowy charakter³.

Dodajmy, że autorami największego zbioru było siedmioro twórców: I. Koniuszowa, H. Rutkowska, T. Jasiński, K. Malicki, A.K. Wańkiewicz, M. Zientara-

Malewska oraz Walerian Roman Szpala. Ich wkład w rozwój „pieśni gminnej” oraz trud pracy włożony w budowę „narodowego pamiętek kościoła” docenił również autor *Przedmowy*. O młodych przedstawicielach lubuskiego środowiska pisarskiego, skupionych wokół Klubu Literackiego LTK lub od niedawna należących do zielonogórskiego oddziału ZLP⁴, E. Paukszta skonstatował:

Dziś środowisko pisarskie Ziemi Lubuskiej rozrosło się, okrzepło, czerpiąc natchnienie z piękna Lubuskiej Ziemi, a nade wszystko wiążąc się z ludźmi – tymi, którzy tu byli, przetrwali i z tymi, którzy tu napłynęli i znaleźli swój dom – między Odrą a babimojsko-międzychodzickimi jeziorami. [...] Godne uznania jest pisarskie tropienie wszelkich śladów folkloru na Ziemi Lubuskiej. Nie wszystko przecież żyło w mowie. Na terenach, gdzie polskość musiała cofnąć się pod naporem germańskim, często zabrakło żywych ust, by z pokolenia na pokolenie przekazać krzepiącą opowieść, w której lud polski znajdował potwierdzenie słuszości swych praw i realizował niespełnione marzenia [...]. Dzięki temu trudowi pisarzy lubuskich ożyli na nowo bohaterowie dawnych ludowych opowieści, dźwignęły się stare zamki, wieżycy kościołów, surmy zagrały dzielnym rycerzom ruszającym do boju, słowiańskie krasnale zaludniły lubuskie lasy⁵.

Publikację zamykały: *Słowniczek wyrazów staropolskich, gwarowych i obcych*, który znacznie pomagał młodemu czytelnikowi w zrozumieniu tekstów oraz świetnie opracowane *Źródła i komentarze* na temat pochodzenia i historii adaptacji utworów, jak też *Wybór bibliograficzny*. Wpływ na takie ułożenie tekstów i opracowanie redakcyjne miał J. Koniusz, który dokonał również wyboru tytułów. Autorem przedmowy był tradycyjnie E. Paukszta, ale twórcą ilustracji był już znany war-

1 J. Koniusz w rozmowie z 29 marca 2015 podaje, że choć na stronie technicznej i przedtytułowej nie figuruje nazwisko redaktora tomu, to był nim właśnie on, pełniący wówczas funkcję sekretarza LTK, czyli szefa Towarzystwa. Brak podania nazwiska redaktora prawdopodobnie wynikał z pośpiesznego przygotowania materiału do druku.

2 E. Paukszta, *Słowo wstępne*, [w:] *Legends znad Odry*, Zielona Góra 1968, s. 5.

3 E. Paukszta, *Przedmowa*, [w:] *Złota dzida Bolesława. Podania, legendy i baśnie Ziemi Lubuskiej*, Poznań 1970, s. 5-6.

4 W 1968 roku członkami Związku Literatów Polskich zostali T. Jasiński i A.K. Wańkiewicz. Z kolei M. Zientara-Malewska, która po II wojnie zamieszkała w Olsztynie, do ZLP została przyjęta w 1952 r., a od 1955 r. należała do olsztyńskiego oddziału Związku.

5 E. Paukszta, *Przedmowa*, [w:] *Złota dzida Bolesława...*, s. 5-6.

szawski grafik Jan Marcin Szancer (1902-1973), choć były one jeszcze czarno-białe. To wówczas, jak przekazał J. Koniusz, pierwotny tytuł wyboru nosić miał tytuł *Drzewo nadziei*, zaczerpnięty z jednej z legend T. Jasińskiego, ale na to nie przystał właśnie Szancer, gdyż tytuł ten nie pasował do jego kompozycji plastycznej. Dobitnie to świadczy o pozycji wybitnego rysownika i jego zdaniu, z którym musiało liczyć się każde poważniejsze wydawnictwo.

To właśnie w dużej mierze dzięki opracowaniu plastycznemu Szancera książka odniosła kolejny sukces księgarski, czytelniczy i finansowy. Słynny ilustrator książek dla dzieci wykonał ich wcześniej przeszło dwieście, m.in. do baśni J.Ch. Andersena, C. Collodiego, E.T.A. Hoffmanna, M. Konopnickiej, J. Brzechwy, wierszy J. Tuwima, bajek I. Krasickiego i A. Puszkina czy książek przygodowych i podróżniczych M. Twaina, J. Swifta, M. de Cervantesa i J. Haska. Począwszy od 1969 roku, poznańskie wydawnictwo zaczęło wychodzić naprzeciw społecznym oczekiwaniom, drukując, głównie w latach 70., całą serię baśni, legend i podań wielkopolskich, poznańskich czy łęczyckich z barwnymi ilustracjami Szancera, którą kontynuowało niemal do końca lat 80. W tej serii ukazały się również pozycje poświęcone lubuskim opowieściom ludowym.

Książki miały szeroki format A4, zawierały barwne ilustracje, duże liternictwo, przeważnie sztywną okładkę oraz raptem po kilkanaście utworów (zwykle od 10 do 13 tekstów, maksymalnie do 48 stron), co przemawiało do gustu i wyobraźni dziecka. Tak opracowane i wydane publikacje odnosiły powodzenie finansowe, na co wpływała nieduża objętość egzemplarza oraz wysoki nakład (powyżej 100 tys.), a także cena wahająca się od 45 do 90 zł. W serii tzw. podań i legend oraz baśni lubuskich ukazały się cztery publikacje: dwie w 1986 roku (*Marianna i Złota dzida Bolesława*) oraz dwie w 1987 roku (*Żelazny diabeł i O skarbach w bytomskim zamku*, na które złożyły się teksty pochodzące z wyboru *Złota dzida Bolesława*, wydanej w 1970 roku).

Podobną serię legend i baśni lubuskich (lub Środkowego Nadodrza – nomenklaturę stosowano zamiennie), nieco na wzór poznańskiej, zaczęto wydawać LTK, kontynuując niejako ów ciąg po ukazaniu się pierwszej książki lubuskiej K. Malickiego. W 1979 roku ukazał się zbiorek *W Babimoście na moście* Izabelli Koniusz i Kazimierza Malickiego, ze wstępem E. Paukszty i ilustracjami Ryszarda Kielba. Na tę publikację złożyło się 18 utworów Koniuszowej i 6 Malickiego. O narodzinach lubuskiej baśni, wymiarze jej społecznego znaczenia oraz wzmaganiu świadomości historycznej mieszkańców regionu, zwyczajowo napisał E. Paukszta:

Jakże wiele z rodzimych nut baśniowych utkwiło w archiwach, w zapisach czynionych nierazko przez uczciwszych niemieckich kronikarzy, ale częściej przez Polaków sprzed wielu pokoleń. Pył i kurz gęsto osiadły na archiwalnych zasobach, wiele z nich pochłonęła bezpowrotnie zawierucha wojenna. Historycy i pisarze, zawodowcy i amatorzy podali tu sobie ręce. Zapis utrwalił żywą jeszcze legendę, z archiwaliów odsoniły się polskie wątki, już zapomniane przez czas. Tak zaczęły zradzać się tomy legend i baśni poświęconych rodzimym tradycjom Ziemi Lubuskiej, bo czym innym są podziały administracyjne, czym innym zaś historycznie ukształtowane struktury, które istniały niezależnie od usługowych granic stanowiąc spoiwo bytu narodowego. [...] Baśń i legenda związane z rodzimą ziemią ułatwiają w sposób znaczący kształtowanie świadomości historycznej. Na takim dopiero podkładzie może się pełniej i głębiej przyjmować później już przyswajana wiedza o historii, o dziejach⁶.

Kolejne pozycje wydane przez LTK z cyklu legend i baśni lubuskich to książki: I. Koniuszowej *Nie taki diabeł straszny* z ilustracjami Ireny Bierwiaczonek-Polak i *Czarci kamień* Zenona Czarneckiego z rysunkami Stanisława Antosza, które ukazały się w 1983 roku.

W roku następnym wydane zostały *Zielonogórskie klechdy* Kazimierza Malickiego w opracowaniu graficznym Jolanty Zdralik-Buřhak, a rok później wyszły legendy i baśnie pióra Tadeusza Jasińskiego *Przyjaźń drzewa do człowieka*, które zilustrowała Agata Buchalik-Drzyzga. Kolejne książki z tej serii ukazały się w 1987 i 1988 roku. Najpierw oficyna LTK wydała *Złoty potok* Z. Czarneckiego z ilustracjami Stanisława J. Antosza, a następnie *Baśnie lubuskie* Janusza Olczaka z rysunkami Stanisława Czarneckiego.

Seria legend i baśni Środkowego Nadodrza wychodziła w nakładzie 10 tys. egzemplarzy, miała kwadratowy format, zazwyczaj kolorową okładkę, choć rysunki pomieszczone w książkach nie były barwne. Każda pozycja liczyła zazwyczaj 32 strony (dwa arkusze wydawnicze), na co składało się od dwóch do kilku, zwykle pięciu, sześciu utworów. Pozycja Olczaka zamknęła serię LTK-owską, a sama oficyna uległa likwidacji już w 1990 roku na fali przeobrażeń polityczno-ekonomicznych.

Jeszcze na przełomie lat 70. i 80. na fali zainteresowania historią i folklorem lubuskim *Legendy Ziemi Zbąszyńskiej* zebrał Eugeniusz Kurzawa⁷, a wydano je w 1979 roku w „Kalendarzu Zielonogórskim”. W 1989 roku ich poszerzoną wersję zamieszczono w „Szkicach Zbąszyńskich”. Wcześniej, gdyż w 1981 roku, *Podania i opowiadania Ziemi Zbąszyńskiej* opracował Marian Andrzejak, bazując głównie na opowiadaniach miejscowej ludności i książce Jana Tomińskiego *Z Ziemi Zbąskiej. Podania i opowiadania*, wydanej w Drukarni L. Wróbla w Wolsztynie w 1939 roku. Opracowania E. Kurzawy i M. Andrzejaka nigdy nie doczekały się druku w samoistnych publikacjach książkowych⁸.

W latach 90. XX wieku różni autorzy, zazwyczaj historycy czy etnografowie, podejmowali próby

kompleksowego spisania baśni, podań bądź legend ze swojego terenu zamieszkania – tak było w przypadku Wojciecha Łysiaka, który w książkach *Góra duchów* (Gorzowskie Tow. Kultury, Gorzów 1989) i *Mnisia Góra* (Wyd. Eco, Międzychód 1992, z rysunkami Piotra Fąfrowicza) zebrał i opisał bajki, podania i opowiadania ludowe mieszkańców znad dolnej Warty i Obry oraz warciańsko-noteckiego międzyrzecza, a więc z okolic Międzychodu, który jeszcze do 1998 roku pozostawał w granicach województwa gorzowskiego, podobnie jak Barlinek. W 1996 roku właśnie legendy i baśnie z Barlinka i okolic wydała pisarka i ilustratorka Romana Kaszczyć pt. *Duchy z puszczy rodem* (ZMiG i Wyd. Arsenał, Barlinek – Gorzów 1996).

W roku następnym drukiem ukazały się *Legendy głogowskie* (Tow. Ziemi Głogowskiej, Głogów 1997) autorstwa Jana Chutkowskiego z rysunkami Antoniego Boka. Głogów to z kolei miasto, które przez lata 1950-1975 należało do województwa zielonogórskiego, a wiele legend lubuskich utożsamianych było właśnie z tym grodem piastowskim czy księstwem głogowskim. W tym samym roku Gustaw Adam Łapszyński wydał opowieść-legendę nawiązującą podtytułem do byłej serii LTK baśni i podań Środkowego Nadodrza, *O kacie, zbójcach i strasznych mieszczanach* (Wyd. Akapit, Świebodzin 1997), z rysunkami Czesławy Piotrowskiej.

W 1999 roku również ukazały się dwie publikacje: Bogdana Wojciecha Brzustowicza i Grzegorza Jacka Brzustowicza, którzy napisali *W krainie Choszcza. Legendy i podania do dziejów Choszczna i okolic* (UMiG Choszczno – Gorzów 1999), kolejna pozycja Zenona Czarneckiego z cyklu baśni i legend lubuskich – *Zakłęty młyn* (Wyd. Soravia, Żary 1999). Rok później wyszła jeszcze praca Jerzego Zysnarskiego

6 E. Paukszta, *Słowo wstępne*, [w:] I. Koniusz, K. Malicki, *W Babimoście na moście*, Zielona Góra 1979, s. 6-7.

7 Autor bazował głównie na gawędach i legendach miejscowej ludności zebranych przez Zdzisława Linkowskiego – nauczyciela szkoły podstawowej w Zbąszyniu, które zaadaptował na język literacki.

8 Legendy Zbąszynia i okolic dostępne są na stronach internetowych miasta i gminy. Dziś Zbąszyń, jak i Wolsztyn znów leżą w granicach województwa wielkopolskiego. Jeśli zaś idzie o legendy z okolic Zbąszynia i Wolsztyna, to zamieszczał je już przed drugą wojną Czesław Kędzierski w *Bajkach Polskich Wujka Czesia* wydanych w 1929 roku przez Wydawnictwo Polskie R. Wengera w Poznaniu z przedmową Stanisława Wasylewskiego. Ponadto legendy o Wolsztynie i okolicy pisała Maria Krüger, opisali je też Wojciech Lis w „Głosie Wolsztyńskim” (nr 6 z 2011) i Zygmunt Poniedziałek w *Legendach i baśniach nadobrzeńskich bagien* zamieszczonych na stronie internetowej poświęconej historii Wolsztyna.

Czarownice z Kobylej Góry. Transgraniczna historia Gorzowa i inne szkice z przeszłości miasta (Gorzowska Oficyna Wydawnicza, Gorzów 2000), w której znalazła się legendarna opowieść o średniowiecznych czarownicach gorzowskich. Tu warto dodać, że pozycja Zysnarskiego była pierwszą podejmującą wątek baśniowy związany z drugim największym miastem w regionie⁹.

XXI wiek stał się niejako nawrotem do odnajdywania zapomnianych baśni i legend lub tworzenia zupełnie nowych tekstów spod znaku mitologii lubuskiej. W tym okresie niemal każda gmina starała się, zachęcając turystów do odwiedzin, wydawać reklamowe foldery, przewodniki oraz książki historyczne lub beletrystyczne, w których zamieszczano opowieści nawiązujące do ważnych miejsc dla regionu (np. miast, rzek, jezior, lasów, gór, wzgórz, obelisków, budowli itd.). W 2002 roku ukazał się zbiór *Legendy Ziemi Kostrzyńskiej*, zebrane i przetłumaczone z języka niemieckiego przez Bogusława Mykietowa (Kostrzyn – Zielona Góra 2002; wyd. 2 – 2003).

Można powiedzieć, że nowy wiek stanowił istny wysyp tego typu twórczości opowiadającej o przeszłości regionu. Ukazały się bowiem m.in.: *Baśń o kostrzyńskim hejnale* Małgorzaty Maj (KCK, Kostrzyn 2002), *Legendy i historie ziemi torzymskiej i okolic* zebrane przez Rosemarie Pankow (Dom Pomocy Społecznej, Tursk 2002)¹⁰, *Legendy nadodrzańskie. O kamiennym krzyżu* przetłumaczone i zredagowane przez Krystynę Bakalarz, z posłowiem Tomasza Andrzejewskiego i z ilustracjami Kamili Marchelek (Muzeum Miejskie, Nowa Sól 2003), zbiór baśni i podań pochodzących z okolic ziemi barlineckiej autorstwa Romany Kaszczyc *Kiedy kruk biały. O duchach, demonach i wierzeniach słowiańskich* (Oficyna In Plus, Wołczkowo 2002), współczesne bajki lubuskie zatytułowane *Bajki Środka Świata* Władysława Wróblewskiego

z rysunkami Magdaleny Ćwiertni, wydane jako dodatek do „Gazety Wyborczej” w 2005 roku, czy również współczesna wersja gorzowskiej *Legendy o dobrej Marii* Andrzeja Mariana Trzaskowskiego z tego samego roku, napisana z okazji wejścia Polski do Unii Europejskiej.

W roku 2006 wyszły drukiem lokalne opowieści Leona Okowińskiego pt. *Sulechowski olbrzym. Łęgowskie runy* (ZM Druk Z. Makowski, Sulechów 2006) oraz zbiór Zbigniewa Kozłowskiego *Legendy lubuskie* (Pro Libris, Zielona Góra 2006) z rysunkami Bożeny Cajdler-Gruszkiewicz. W roku następnym Okowiński wydał zbiorek legend i opowieści *Dawne dzieje Sulechowa i okolic ludowymi podaniami pisane* (bzw., Sulechów 2007), Mykietów – *Kostrzyńskie legendy prawie niezmyślone* (Księgarnia Akademicka, Zielona Góra 2007), Antoni Bok zebrał i zilustrował *Legendy Ziemi Głogowskiej* (Tow. Ziemi Głogowskiej, Głogów 2007), z kolei mieszkający w dworcu w Szybie Wojciech Jachimowicz napisał broszurkę *Legendy Wzgórz Dalkowskich* (Wyd. MAJUS, Zielona Góra 2007), do której rysunki wykonała Alicja Jachimowicz.

W kolejnych latach trwał dalszy boom na publikowanie regionalnej fantastyki, zwłaszcza w odniesieniu do konkretnych gmin, które zazwyczaj finansowały ich wydanie. I tak w 2009 roku ukazały się następujące wydania: *Legendy o gminie Kożuchów* (Tow. Przyjaciół Ziemi Kożuchowskiej, Kożuchów 2009), będące pokłosiem konkursu literackiego dla uczniów miejscowych szkół (adaptacja literacka Barbara Nowicka-Watrak, posłowie Tomasz Andrzejewski, ilustracje Joanna Sońnicka); *Legendy Żagania i Ortrand* (Wyd. Dekorgraf, Żagań 2009) w opracowaniu Magdaleny i Krzysztofa Tomaszaków i tłumaczeniu Wiesława Urbana; *Legendy z Krainy Szlaków Turystycznych* (Stow. Kraina Szlaków Turystycznych, Sulęcín 2010), pod redakcją Honoraty Aftyki i w opracowaniu graficznym Urszuli Kło-

dzieczak; dalsze opowieści epickie Zbigniewa Kozłowskiego – *Legendy lubuskie II* z rysunkami Marka Gawrona (Miejska Biblioteka Publiczna, Żary 2010); zbiór pt. *Legendy są dla duszy tym, czym czekolada dla podniebienia* w opracowaniu Marty Małkus i Magdaleny Oxfort z ilustracjami Joanny Lewandowskiej (Stow. Czas A.R.T., Wschowa 2012)¹¹; zbiorek autorstwa kilku osób *Legendy sławskie* pod redakcją Krzysztofa Koziołka i z rysunkami Katarzyny Kociąłkowskiej (UM i Druk-Ar, Sława – Głogów 2012); również skromne wydanie zbiorowe *Lubuskie legendy o Letnicy* w opracowaniu Jolanty Pytel (Wyd. Organon, Zielona Góra 2012); praca o legendach i obyczajach zebranych przez Paula Müllera *Skarbnica legend z okolic Strzelca* (Wyd. Sonar, Strzelce Krajeńskie 2013), pod redakcją Marka Bidola i w tłumaczeniu Grzegorza Fila oraz ostat-

nia pozycja tego typu, tym razem autorstwa Hali-ny Bohuty-Stapel *Legenda i ballada o świdnickich dębach* (UG i Elblask, Świdnica 2014).

Wielce prawdopodobne jest, że tego typu literatura przez najbliższe lata pozostanie w rozkwicie z powodu nie tyle zapotrzebowania czytelniczego, co z uwagi na rozwój turystyki, agroturystyki, wędrówek krajoznawczych czy szeroko pojętej rekreacji i zainteresowania regionalizmem. Zatem wydawanie literatury baśniowej i legendowej odbywać się będzie w celach komercyjnych, ukierunkowane zgodnie z polityką danej gminy na pozyskanie jak największych rzesz gości. Dla literatury taka jej forma promocji na marginesie turystyki gminnej ma tylko tę dobrą stronę, że jej znaczenie dostrzegają samorządowcy, a urzędy miast, gmin i powiatów nie żałują środków i nakładów finansowych na jej druk i popularyzację.



⁹ Inne legendy i podania o tematyce gorzowskiej zamieściła Krystyna Kamińska i Zbigniew Rudziński w przewodnikach turystycznych, które ukazały się w 2007 i 2008.

¹⁰ Kilka legend i opowieści historycznych o łagowie i Torzymiu zamieścił też Piotr Zwoliński w przewodniku turystycznym *Pojezdź tagowskie i równina torzymska*, wydany w 1997.

¹¹ Był to zbiór dwudziestu legend spisanych przez niemieckiego etnografa Karla Grossa, wydanych w Głogowie w 1936, w którym znalazły się polskie baśnie i legendy o Wschowie i okolicznych miasteczkach lub wsiach, jak np. Szlichtyngowa, Lgiń, Zamysłów, Konradowo, Zbarzewo, Jędrzychowice (należących przed 1999 r. do Wielkopolski) lub Polkowice i Chojnów.

W poszukiwaniu wolności

Reportaż o Festiwalu Woodstock w Kostrzynie nad Odrą (Pol'and'Rock Festiwal)

Ten delikatnie swingowany reportaż jest zlepkiem ze wszystkich Woodstocków (czy Pol'and'Rocków), na których byłam, odkąd ukończyłam 14 lat. Za każdym razem działo się coś ciekawego, pozostającego w pamięci na długo. Reportaż jest projekcją przyszłego Woodstocku, czy trafnie tutaj należałoby sformułować: Festiwalu Pol'and'Rock, który będzie miał miejsce w sierpniu 2019 roku.



Nasza podróż rozpoczyna się w godzinach popołudniowych, wyjazd ze Świebodzina jest o 16:25. Razem z dawną ekipą (Adą, Rafałem, Beatą i Przemkiem) wsiadamy do pociągu woodstockowego, od tego roku Pol'and'Rockowego, o nazwie Akademia Sztuk Przepięknych. Cały nasz przedział zajmują woodstockowicze. Festiwal co prawda zmienił nazwę w tym roku na Pol'and'Rock Festiwal, ale dla wygody będę posługiwała się dawną nazwą, a więc Przystanek Woodstock w Kostrzynie nad Odrą. Mamy ze sobą gitary, trochę alkoholu, wspaniałe humory oraz chęć zabawy i przygody. Poznajemy w pociągu trójkę dziewczyn: Kasię, Olę i Patrycję, które stwierdzają, że chcą rozbić się z nami. Razem śpiewamy niecenzuralne *Chryzantemy złociste*, *Whisky* i inne przeboje rockowe. Rozmawiamy. Ktoś zajmuje się ezoteryką, ktoś jest początkującym jazzmanem, ktoś inny jedzie na Woodstock pierwszy raz i jest pełen oczekiwań i nadziei. W pociągowej toalecie wspólnie palimy papierosy, między jednym zaciągnięciem się a drugim wyjąc słowa jakiejś rockowej ballady.

Pociąg staje na stacji Kostrzyn. Wsiadamy razem z tłumem ciekawych, niezwykle, intrygujących i wesołych ludzi. Tam na woodstockowiczów czeka bus przewożący festiwalowiczów na pole woodstockowe. Jest ciasno. Komizm sytuacji przedstawia się tak: jedziemy, niemalże przylegając do przedniej szyby, gniotąc się wzajemnie. Bus zatrzymuje się w znanej nam już dobrze okolicy: przy asfaltówce, wzdłuż której ciągnie się całe festiwalowe pole. Słychać muzykę, w powietrzu unosi się kurz, jest gwaro i tłoczno, cudowny tłum. W oddali wi-

dać kolorowy pochód wyznawców Hare Kryszny. To m.in. stąd ten gwar. Ubrani w kolorowe stroje ludzie, z pomalowanymi twarzami, śpiewający swoje mantry i tłum ludzi kroczących za nimi. Jedni z ironicznymi uśmiechami, inni w szale zabawy.

Przed nami jedno zadanie: znaleźć miejsce, gdzie rozłożymy namiot i stworzymy swoje obozowisko. Objuczeni bagażami wspinamy się wzdłuż drogi w górę. Tam jest miejsce, gdzie rozbijaliśmy się w ubiegłych latach. Po drodze spotykamy starszego mężczyznę, którego znamy z poprzedniego Woodstocku. Jest przemiłym starszym panem – hipisem. Na koszulce ma namalowany farbami napis: „Stary człowiek i może”. Śmiejemy się. Postanawiamy wypić piwo metodą fajki pokoju. Umawiamy się na późniejsze spotkanie. Odnalezienie się odrobinę graniczy z cudem, ale jak widać, cuda tutaj się zdarzają, biorąc pod uwagę fakt, że go spotkaliśmy. Docieramy do miejsca, gdzie rozbijaliśmy namioty w ubiegłych latach. Budujemy wiatę, odgradzamy swoje obozowisko taśmą. Odpoczywamy po podróży, siedząc i śpiewając przy wtórze gitary. Później czekają nas koncerty, warsztaty, moc kreatywnych zajęć. W pewnym momencie przebiega obok nas nagi mężczyzna. „Poczuł zew” – rzucił ktoś, rozciągając się i patrząc w niebo. Jest słonecznie, na błękitnym, bezchmurnym niebie od czasu do czasu pojawiają się ptaki. Słychać lekki szum lasu, który jest za nami i ten cudowny, woodstockowy gwar. Za jakiś czas dojdą do tego okrzyki „Zaraz będzie ciemno” i odzewy „Zamknij się”. Ja postanawiam powspominać, wzbudzić refleksję wśród moich współtowarzyszy.

– Rafał, pamiętasz swój pierwszy Woodstock? Jak to było? – pytam mojego przyjaciela (lat 23).

– Pierwszy Woodstock... – zastanawia się. – Był właściwie taki nagły i niezaplanowany. Miałem wtedy z 11 lat i dnia, kiedy się festiwal zaczynał, dowiedziałem się od wujka, że Woodstock w ogóle istnieje. Nie wiedziałem, co to jest, ale chciałem sprawdzić i pojechać. Zapakowałem się w mały plecak i pojechaliśmy.

– Czego oczekiwałeś, jadąc pierwszy raz?

– Niczego... Nie byłem pewien, jak to będzie wyglądało. Wiedziałem, że będzie mnóstwo ludzi...

– I co na tym Woodstocku znalazłeś?

– Byłem zdecydowanie podekscytowany tym ogromnym tłumem. Mimo że lubię być raczej osobno, to lubię patrzeć, jak się ludzie zachowują w tłumie. Podobały mi się sklepy z pamiątkami, kadzidłami, bibelotami, mnóstwem ciekawych rzeczy. Ta wielobarwność i niecodziennosc.

– A co wspominasz z największym sentymentem, jakie jest twoje najpiękniejsze, najfajniejsze wspomnienie?

– Myślę, że to, jak leżałem sobie w namiocie i słuchałem muzyki średniowiecznej [Patryk studiuje na Akademii Muzycznej – przyp. Autorki]. Ten spokój i odprężenie wywołane całkowicie innym, niecodziennym otoczeniem. Innym od tego, co przeżywa się codziennie.

– A jakbyś miał opisać w kilku zdaniach, czym Woodstock jest dla ciebie, to jak by to brzmiało?

– Nie wiem... To się wszystko zmieniało co roku...

Następnie odpytuję Adę (lat 21), która swój pierwszy Woodstock opisuje tak:

– Miałam 13 lat, kiedy pierwszy raz pojechałam na Woodstock z wujkiem, ciocią i bratem. Poznałam wiele ludzi całkowicie innych niż na co dzień. Pierwszy raz grałam we flanki. Poznałam dużo starszych od siebie ludzi, z którymi utrzymuję kontakt do dziś. Pamiętam, jak jeden chłopak ukradł portfel i wszyscy go „zaatakowali” w obronie poszkodowanego. W tamtych latach Woodstock wyglądał zupełnie inaczej niż teraz, było widać inny klimat... Ważny jest fakt, że wujostwo nie bało się puszczać mnie w tłum, bo wiedzieli, że wszyscy są przyjaźnie nastawieni.

– A co znalazłaś na Woodstocku?

– Pozytywną energię, koncerty, które zapamiętam na długo i znajomości na całe życie.

– A najmilej wspominasz...?

– Koncert Comy, kiedy byłam na „fali”... i Heya, na którym się po prostu rozplakałam, bo jest to mój ulubiony zespół... Woodstock jest dla mnie odpoczynkiem i oderwaniem od życia codziennego, czasem, kiedy mogę się spotkać ze znajomymi i robić po prostu wszystko. Czas, do którego chce się wracać i pamiętać na zawsze.

Wyczekujemy na koncert Marii Peszek, racząc się winem własnej roboty. Doprowadzeni przez siebie do stanu upojenia alkoholowego stwierdzamy,

że warto zaznać mroźnej kąpieli w słynnych wodostockowych „zlewach”. Świat wiruje nam przed oczyma, ściemnia się. Bierzymy kąpiel na wpół nago. Mówię, że jestem jak wolność wiodąca lud na barykady i również ściągam stanik. „Golasy” – słyszymy i odnotowujemy błysk flesza. Wtedy nas to za bardzo nie obchodzi. Wolność. I bezpieczeństwo przy tym, bo nikt z nas nie wierzy, że może stać się nam cokolwiek na Woodstocku. Drżąc z zimna, wracamy do obozowiska. Kładę się spać w mokrych ciuchach. Marii Peszek na koncercie nie zobaczę, ale w przeblaskach świadomości planuję jutrzejszy dzień spędzić w nieco bardziej trzeźwych i konstruktywnych okolicznościach.

Budzę się o świcie za sprawą człowieka, który postanowił wykonać poranne improwizacje śpiewno-gitarowe na dachu swojego samochodu. „Anka wybrałaś źleeeee” sprawia, że wychodzę ze śpiwora, przeklinając wczorajszy pomysł – zimno mi. Jednak kac mnie nie męczy. Piję tyk wody i wychodzę na słońce, by się trochę ogrzać. Macham do śpiewaka siedzącego z gitarą na dachu samochodu, odpalam papierosa i planuję coś zjeść. Wkrótce dołączają do mnie inni. „Fajny był koncert Peszek, no nie?” – śmiejemy się.

Doprowadziwszy się do ładu, planujemy dzień. Co też ciekawego dzieje się dziś w Akademii Sztuk Przepięknych? Idziemy na warsztaty plecienia wianków. Później na spotkanie grupy wsparcia osób LGBT. Ada, nasza artystka muzyczna wybiera się na warsztaty muzyczne z Piotrem Bukartykiem,

które kończą się wspólnym występem na dużej scenie. Dzień mija nam w miarę spokojnie. To skałki, to kąpiel w błocie, to udział w akcji promującej tolerancję dla autyzmu, podczas której malujemy farbami i przyklejamy na ścianę motyle. Oczywiście wieczorem czekają nas niezapomniane koncerty. Pogo na koncercie Happysad, gdzie razem z Adą jesteśmy na „fali”, niesione w górę przez las rąk czy uczta dla duszy na koncercie Domowych melodii. Wróciwszy do obozowiska dobrze po zmroku, gramy w karty. Oczywiście w pijackie karty. Jak zwykle jest kupa śmiechu i zabawy. Kładziemy się spać, kiedy zaczyna świtać.

Trzeciego dnia poznajemy naszych sąsiadów: grupę ludzi parę już lat po studiach, posiadających rodziny, pracujących, ale nadal młodych duchem. Jest wśród nich Kala, jej mąż Marcin i małżeństwo Edyta i Piotr. Przeciekawi ludzie. Razem idziemy na jeść się do krysnowców. Tam poznajemy się bliżej. Rozmawiamy o pasjach, temat schodzi również na religię, ale polityki się wystrzegamy. Kala jest śpiewaczką chóralną, kiedyś chciała zająć się śpiewem zawodowo, ale zdrowie jej na to nie pozwoliło, zna za to ze starych lat wokalistę zespołu LemOn. Pijemy „rozchodniaczki” i idziemy na kabaret. Tam nieważne jest, że komary gryzą, nieważne jest, że siedzimy na ziemi w niewygodnych pozycjach. Jest świeże powietrze, delikatne słońce i dobra atmosfera.

Naszym nowo poznanym towarzyszom również zadaję te same pytania, co moim obozowiczom.

Kiedy zapytałam Kalę, czy pamięta swój pierwszy Woodstock odpowiada tak:

– Pierwszy zaliczyłam w Żarach w 1998 roku. Z bardzo skromnym bagażem składającym się głównie z jedzenia, przyborów toaletowych, bielizny i śpiwora wyruszyłam w podróż na tzw. stopa z ówczesnym chłopakiem. Nie miałam żadnych oczekiwań. Wiedziałam tylko, że Woodstock jest miejscem magicznym i każdy znajdzie w nim swoje miejsce. Już w drodze czułam się jak na festiwalu, bo co chwila mijano się grupki ludzi czekających na transport, a kierowcy z uśmiechem zapraszali nas do swoich aut. Jakby tego dnia wszyscy otworzyli serca zgodnie z duchem festiwalu. Na miejscu po raz pierwszy zobaczyłam takie morze uśmiechniętych i serdecznych ludzi. Muzyka, słońce, ludzie, słońce, życzliwość płynąca z każdego serca. Natychmiast zachłysnęłam się tym klimatem i utonąłam głęboko. Trzy dni poczucia wolności, trzy dni dobrej muzyki, trzy dni pozytywnego ładunku emocjonalnego starczającego na cały kolejny rok. Właściwie za każdym razem, gdy byłam na festiwalu, czułam ten sam ładunek. Z każdego przywożę cudowne wspomnienia. Jedno z nich doskonale oddaje klimat, jaki tam panuje. Na swoim drugim Woodstocku odważyłam się podejść blisko sceny, pod tak zwaną strefę śmierci. Nazwa oczywiście jest przewrotna i o tym za chwilę. Stojąc niemal na wyciągnięcie ręki od tłumu pogubionych festiwalowiczów, zaplątałam się we własną sznurówkę i padłam centralnie twarzą w błoto

to pod buty skaczących. W sekundę tłum rozstał się jak morze, zostałam postawiona do pionu, wytarta, ktoś umył mi twarz wodą z butelki, wycierając swoją koszulką, w tym czasie ktoś wiązał mi sznurówki. Po czym wleciałam na rękach nad głowami tłumu, który bezpiecznie odtransportował mnie kilka metrów dalej od sceny. Nawet nie zdążyłam pomyśleć, co się stało i przez chwilę byłam zszokowana. To właśnie magia tego festiwalu. Jedność, współpraca, przyjaźń, wrażliwość na drugiego człowieka i niegasnąca radość. Woodstock to festiwal, który jak nic innego w tempie ekspresowym uczy nas samych, że miłość, braterstwo i szacunek do drugiego człowieka potrafią zdziałać cuda.

Kabaret się kończy, a my oczekujemy na niezapomniany koncert Kasi Nosowskiej i Hey. Nigdy wcześniej nie widziałam na koncercie takiego tłumu, co wtedy. Po części za sprawą bramek, które, o ironio, przyczyniły się do zamieszania organizacyjnego, po części dlatego, że to koncert takiej osoby. Dziś musimy zaliczyć każdy kolejny koncert na dużej scenie, ponieważ to ostatni dzień festiwalu. Potem zmęczeni powracamy do obozowiska, by znów grać w karty do zmierzchu i popijać wszelkiego rodzaju alkohole własnej i nie własnej roboty.

Budzimy się leniwie i z nutą smutku. Festiwal się skończył. Pozostaje złożyć namioty, spakować bagaże, uprzątnąć miejsce obozowiska i czekać na kolejny Pol'and'Rock Festiwal – za rok.



Wprowadzenie do *Krwiopijcy*

Fanfic (skrót od fan fiction, zwany jest też literaturą blogaskową) to opowiadania pisane amatorsko przez fanów określonych filmów, seriali, twórczości pisarzy, w których bezpośrednio lub pośrednio nawiązują do przedstawionych w danym utworze postaci, fabuły bądź realiów. Fanfiki często publikowane są non-profit, w internecie – w różnych portalach, blogach, forach literackich i fanowskich lub w fanzinach, tj. pisemkach tworzonych i wydawanych amatorsko*. Choć taki rodzaj literatury może się komuś wydać pozbawiony walorów artystycznych czy kulturowych, nie wolno zapominać o przypadkach, które odniosły sukces wydawniczy, np. *50 twarzy Greya*, *Kłopoty w Harimholdim*. Warto dodać, że popularne w społeczności fantastów dzieła Christophera Tolkiena czy Briana Herberta również są klasyfikowane jako fanfiction. Częstym przypadkiem obecnie jest udostępnianie praw autorskich przez twórców do swoich uniwersów. Pozwalają oni tym samym na ich rozwój w legalny sposób. Współcześni autorzy mogą też bez przeszkód korzystać z utworów, od których publikacji minęło 75 lat.

Studenci działający w Studenckim Kole Literaturoznawców UZ postanowili zorganizować kurs na opowiadanie w stylu fanfic. Laureatką oka-

zała się debiutantka, Agata Poważńska i do przeczytania jej tekstu chciałbym zachęcić. Jest ona miłośniczką literatury dystopijnej, fantasy oraz filozofii. Interesuje się językoznawstwem i metodami kreacji światów. Zdecydowała się wzorować swoją twórczość na opowiadaniu *Szczury w murach* Howarda Phillipsa Lovecrafta. Ten amerykański pisarz jest uważany za twórcę horroru science fiction; większość jego tekstów skupia się wokół wykreowanego miasta Arkham. Jego wpływ na kulturę popularną jest bardzo szeroki, bowiem wzorują się na nim nie tylko pisarze, ale również filmowcy, muzycy czy deweloperzy gier.

Tekst Agaty Poważńskiej najlepiej byłoby odczytywać w bliskim kontakcie z dziełem H.P. Lovecrafta. Ale nie jest to warunek konieczny – brak znajomości pierwowzoru nie stanowi bariery. Szkoda byłoby tylko zagubić tę intertekstualność, która wielokrotnie wybrzmiewa w *Krwiopijcy*. Warto zwrócić uwagę na nie tylko przeniesione koncepcje Lovecraftowskiego horroru, ale też charakterystyczne dla jego twórczości otwarte zakończenie (wywołujące u czytelnika ciarki na plecach), które staje się istotnym elementem wtórnego świata. Zapraszam do lektury.

* M. Użdżicka, *O nowym pojęciu glosariusza (na materiale literatury fantasy). Rekonesans badawczy*, „Stylistyka: Słowo a styl” 2017, s. 269-289.

Krwiopijca

Był czternasty maja tysiąc dziewięćset ósmego roku, kiedy dostałem pierwszy list od wuja Howarda. Spisany na ładnej papeterii, wydzieliał delikatną woń frezji, która natychmiast skojarzyła mi się z dzieciństwem spędzonym u babci. Moja babcia Margaret niezwykle ceniła kwiaty. Przypuszczam, że przyczyniła się do tego jej własna babcia, która do późnej starości zarządzała całymi plantacjami frezji. Widać wszyscy potomkowie wynosili z rodzinnego domu odrobinę tej niezwykle miłości. Howard był najmłodszym ze wszystkich dzieci Margaret Gladwitch, który według słów mego ojca w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym wyjechał za pracę w głąb Europy, w okolice Belgii czy może Austro-Węgier (ojciec nigdy nie zajmował sobie głowy geografią). Howard nie oglądał się w stronę niewielkiego Rutwel, gdzie perspektywy dostatniego życia kończyły się na odziedziczeniu sadu ze śliwkami, a ludzie mierzyli bogactwo przez pryzmat dwóch rzeczy: owczego sera i śliwkowego dżemu.

Zdziwił mnie więc niezmiernie fakt, że wuj Howard żyje i powodzi mu się wystarczająco dobrze, żeby stać listy na drogiej papeterii. W dodatku do mnie, człowieka, który nigdy nawet nie widział go na oczy. Znałem go jedynie z krzywego, pozbawionego ciepła ludzkich dłoni albumu mego ojca, gdzie na pożółkłej fotografii stało w rzędzie wszystkie dziecięciorko dzieci Gladwitchów. Zostało mi w głowie, kiedy jeszcze będąc smykem, z ciekawości zapytałem mego ojca o chłopca, który stał obok niego na zdjęciu, trzymając w dłoniach piłkę wielkości własnej głowy. Ojciec, już wtedy ciężko chory, wyraźnie się zaszepił.

* dodatkowo

– To mój najmłodszy brat, Howard – odpowiedział chłodno. – Już dawno nie żyje.

Wyglądało jednak, że mój ojciec nie zdołał tym stwierdzeniem pogrzebać Howarda Gladwitcha. List, spisany zgrabnym, choć prostym i sztywnym pismem, głosił jednoznacznie, że jego nadawca znajduje się w domu, który sześćdziesiąt lat temu tak chętnie porzucił. Ja, który w chwili odebrania pisma znajdowałem się zaledwie czterdzieści mil od Rutwel, byłem tym do cna zdumiony. Nie było mowy o pomyłce, pismo było złożone tak umiejętnie, że treść listu poruszała różnorakie aspekty życia i mojego, i Howarda. Wspominał na przykład, iż długi czas nauczał parapsychologii w środkowej Europie, gdzie uzyskał renomę rzetelnego i skutecznego badacza, który poczynił znaczące postępy w tej, jak to opisał, „traktowanej z pogardą i okrutnie niedocenionej” dziedzinie. Był również zaznajomiony z faktem, że jestem lekarzem i zajmuję się obecnie studiami nad neurologią. *Insuper*, opisał dokładnie mój wygląd – choć moim zdaniem nieco przesadził, porównując mój nos do „zadartego, acz rzeźbiarsko poprawnego” – podał co do dnia datę moich urodzin i, na Boga, wiedział, że planuję udać się pociągami na północ, żeby kontynuować badania na innym uniwersytecie. Tego ostatniego Howard stanowczo mi odradzał. Przez całe lato pisaliśmy ze sobą regularnie, a wraz z każdym przeczytanym listem wuj stawał się dla mnie coraz bardziej ludzki, z widma pożółkłego zdjęcia zmieniał się w uprzejmego, czytelnego staruszka, który miał do powiedzenia o wiele więcej niż tych parę ograniczających słów, zamkniętych w pachnącej frezjami kopercie. Raz przysłał mi

nawet swoje zdjęcie, prezentujące starca o surowej, zdziwaczałej twarzy, który nosił bujne siwe wąsy i paskudny, wyjątkowo niemodny rudy krawat. Ten człowiek wcale nie wyglądał na zabawnego optymistę, z którym pisałem. Cóż, dobrze wiedziałem, jak mylny potrafi być wygląd. Na koniec każdego listu ten srogi starzec ochoczo zapraszał mnie do siebie, a układał to tak zręcznie, że wcale nie wydało mi się to nachalne czy grubiańskie. Ot, już wkrótce sam zapragnąłem udać się do niego.

Nie wiem, co tchnęło mną, bym usłuchał tego nedorzecznego pragnienia. Jako człowiek racjonalny i sceptyczny wobec większości aspektów codziennego życia, nie miałem ku temu żadnego powodu. Ale coś nie dawało mi spokoju. Gnębiony tym uczuciem, pojechałem do Rutwel, żeby spotkać wuja, który w swym liście prosił mnie o jak najszybsze przybycie. Moja głowa natychmiast wypełniła się obrazkami z przeszłości, czasami beztroski, nim jeszcze umarł mój ojciec, a ja sam oddałem się nauce, która wykrywała bezpowrotnie mój kręgosłup i zmusiła mnie do zabierania wszędzie nieporęcznej laski. Wobec tego wyglądałem dużo starszej, niż naprawdę byłem, co dawało pewną przewagę w zdobywaniu miejsca w pociągach, choć ujmowało uroku, jeśli chodziło o młode damy.

„Przyjeżdż niezwłocznie, ukochany Auguście, by mury tego porzuconego domu po raz kolejny powitały młodego ducha, żeby nasyciły swe wychłodzone ściany Twoją ciekawością i błyskotliwym umysłem, którego próbkę podarowałeś mi w listach”.

Dwunastego listopada podjechałem dorożką do głównego skweru w Rutwel, gdzie jedynie późna pora dnia uchroniła mnie przed oceniającymi spojrzeniami mieszkańców. Dorożkarz z powodzeniem nadrabiał za nich wszystkich. Wydawało mi się, że samym jedynie wzrokiem był w stanie odczytać moje myśli i przeniknąć przez walizkę, beczelnie przeglądając moje bagaże.

– Dobranoc, dobry człowieku – pożegnałem go pospiesznie, wręczając mu zapłatę.

Nie odpowiedział. Sięgnął jedynie dłonią ku gardłu, jakby chciał mi coś pokazać, ale ja nie chciałem trwonić czasu na pantomimę. Oddalając się szybkim krokiem, nie mogłem pozbyć się jego wodnistych

oczu, które do złudzenia przypominały wzrok martwej, wyrzuconej na brzeg ryby.

Przechodząc pod porośniętą przez bluszcz i ciernie pergolą, poczułem chłód, tak nagły, jakby ktoś zarzucił gruby płaszcz na samo słońce. Skryte za chmurami posyłało nieśmiałe spojrzenia w dół, jakby i ono patrzyło lękliwie na starą rezydencję, rozciągającą się na zarośniętej krzakami brunatnej ziemi niczym macki olbrzymiego, czyhającego na ludzi zwierzęcia. Rozcapierzone skrzydła dworku opadły, wyraźnie przytłoczone zaniedbaniem. Ten widok ścisnął mnie za serce, kiedy przypominałem sobie piękne rabatki, starannie pomalowaną fasadę i wysypane drobnym, białym piaskiem dróżki. Po babcinych frezjach zostały jedynie czarne badyle, a drzewa były ogołoczone, jakby od dawna trwała zima. Najwyraźniej i one poddały się nieubłaganiu losowi, który zmienił rezydencję w nawiedzoną ruinę.

Nie pozwalając prostym strachom wziąć górę nad moim trzeźwym myśleniem, pospieszyłem do szerokich, obdrapanych drzwi, które ku memu zdumieniu, okazały się otwarte. Wziąłem to za bezpośredni znak tego, że zastałem wuja w domu. Tylko dlaczego nie zamykał drzwi do tak wielkiej posesji? Czyżby stracił nadzieję, że ten posępny widok skusi kogokolwiek, czy też nie wątpił, że dzisiaj przyjadę, dając tym samym wyraz swojej gościnności? Coś podsunęło mi myśl, że wuj może próbować mnie wystraszyć albo zaskoczyć. Samotny człowiek zdany jedynie na korespondencję musiał naprawdę się nudzić, a Howard wydał mi się ekscentrykiem. Nie było nic gorszego niż znudzony ekscentryk, w dodatku z zapalem do parapsychologii.

Postanowiłem nie dać się przechytryć.

– Wuju Howardzie? – zawołałem, tak spokojnie i głośno, jak tylko potrafiłem. – To ja, August! August Gladwitch, twój bratanek! Drzwi były otwarte!

Nie było odpowiedzi. Stałem w wejściu, ściskając walizkę i laskę. Gdy już myślałem, że może wuj zasnął gdzieś na piętrze, moje oczy zarejestrowały ruch w holu. Dostrzegłem rozmytą sylwetkę za zakurzonymi kotarami spletanymi chwościami w przejściu, pochylonego człowieka, który przemknął korytarzem i zniknął.

Wytężając wzrok, niemal podskoczyłem, kiedy gdzieś w głębi domu zaskrzypiała podłoga. Nagle miałem dość tych podchodów.

– Stryju! – krzyknąłem raz jeszcze, zmieniając ton na niecierpliwiony, licząc, że to skłoni Howarda do porzucenia kryjówki. – Nierozsądnie zostawiać otwarte drzwi tak późno w nocy! Na Boga, przecież wiem, że mnie słyszysz.

Wydawało mi się, że odpowiedział mi szept, był on jednak zbyt cichy, bym mógł go rozszyfrować. Odłożyłem walizkę i chwyciłem oburącz za laskę. W młodości grywałem w golfa i pamiętałem jeszcze, jak porządnie się zamachnąć.

– Chodź... – usłyszałem nagle. – Chodź, tutaj.

Głos dobiegał z prawej, zza balustrady odgradzającej oświetlone schody od pogrążonego w mroku piętra. Ciemność była gęsta i tak ziarnista, że wyglądała jak złożona z olbrzymich, drżących chrabąszczów. Wpatrzony pomiędzy ich skorupki, dostrzegłem postać. Drobną i skurczoną, przypominała zaledwie cień.

– Wuju? – wydusiłem. – Wuju Howardzie?

– Tak – odparł głos, tak cichy, że gdyby nie echo szerokich korytarzy, z pewnością nic bym nie usłyszał. – Proszę...

– O co? Wuju, co się dzieje?

– Za mną... Chodź... Ucie... szyłem się... kaj...

Nim zdążyłem cokolwiek zrobić, półmrok pochłonął sylwetkę i rozległy się powolne kroki na skrzypiącej, zbutwiełej podłodze, które przesiąknęły mnie strachem. Przeszły niespiesznie przez próg pomieszczenia, które w osłupieniu rozpoznałem jako biuro dziadka, zmarłego blisko sto lat temu. Nigdy nie widziałem, żeby było otwarte. Wszystko zdziwiło mnie naraz. Cofnąłem się, następując na coś leżącego na podłodze. Zobaczyłem listy i natychmiast rozpoznałem znaczek Southampton, gdzie sam mieszałem. Koperty były nienaruszone, papier wciąż biały, zaadresowany do wuja i opatrzony moim nazwiskiem, spisany moją ręką...

Moje listy! Nieprzeczytane! Ale jak to możliwe? Przecież korespondowałem z Howardem całe lato! Odpisywałem mi na każdy z nich! Skąd znał ich treść, skoro nigdy żadnego nie otworzył? Oszołomienie pokierowało mną podświadomie. Rozerwałem koper-

tę jednego, rzuciłem okiem na własne pismo i zmiotłem papier w dłoni, zszokowany... W ustach miałem zupełnie sucho. Pobieźnie spojrzałem na nagłówek jednej ze zbiorowisk gazet, których stosik zalegał na wycieraczce, ale tytuły: „Ślady krwi wskazały zaginione krowy” i „Martwy Hamish wciąż jeździ dorożką” wydały mi się tak trywialne, że natychmiast o nich zapomniałem.

To musiało być oszustwo, a ja dałem się nabrać. Tak, mój racjonalny umysł podsuwał mi tylko jedno rozwiązanie.

Wściekły ruszyłem zatęchłym korytarzem, przyozdobionym pasami zwiniętej tapety, zdradzającej straszny stan nagich ścian. Nad ładnymi, mahoniowymi drzwiami gabinetu Williama Gladwitcha wisiał znajomy napis:

AD PERPETUAM REI MEMORIAM

Przez chwilę zapominałem o wszystkim. Pierwszy raz od trzydziestu lat pojąłem znaczenie tej łacińskiej sentencji, w których mnogości lubował się mój dziadek. „Na wieczną rzeczy pamiątkę”. Nie rozumiałem, dlaczego wybrał akurat tę na zwiastun swojej pracy, w której tworzył i reperował zegarki. Być może tak rozumiał nieubłagany rytm czasu, zachęcając każdego przechodzącego, żeby miłował i cenił każdą rzecz, każdą chwilę. Tego przynajmniej nauczył dziesięciolatka, którym wtedy byłem.

Czyjś urwany oddech przywołał mnie na powrót do teraźniejszości.

– Kto tam jest?

Słyszałem jedynie własne serce. W furii pchnąłem drzwi. W pasmach wirującego kurzu zobaczyłem sekretarzyk, błyskający zaśniedziałą ramą, nad którym, pochylony, siedział na krześle drobny, nieruchomy człowiek. Zatrzymałem się natychmiast.

– Wuju? Wuju Howardzie?

Chciałem chwycić go za ramię, ale przeszywając powietrze ręką, musiałem odciąć sznurki, którymi jakaś niewidzialna siła trzymała go w tym uścisku. Runął ciężko, wpiersz na blat sekretarzyka, a potem na podłogę, która zadudniła i jęknęła przeciągle. Echo rozchodziło się po pustych korytarzach rezydencji. Cofnąłem się, przerażony. Ciało, a ra-

czej już tylko szkielet, z którego nagiej czaszki wity się siwe włosy, wciąż był ubrany w schludną marynarkę i prążkowane spodnie. Patrząc na rudy, wypłowiały krawat, poznałem Howarda ze zdjęcia, które mi wysłał.

A więc nie żył! Na Boga, od jak dawna był martwy? I jeżeli to był on, to z kim pisałem? Kto tak dobrze mnie znał? Z kim rozmawiałem na korytarzu?

Rozglądając się panicznie wokół, dostrzegłem coś, co wyglądało jak zwinięta, bardzo zmięta, zużyta i pełna dziur stara płachta, tak jakby ktoś wyrzucił z szafy zeżarty przez mole płaszcz. Patrząc na miejsca jej zagięć, powoli z przerażeniem zacząłem pojmywać, na co patrzę. A kiedy rękawy zakończyły się zestawem wysuszonych, paskud-

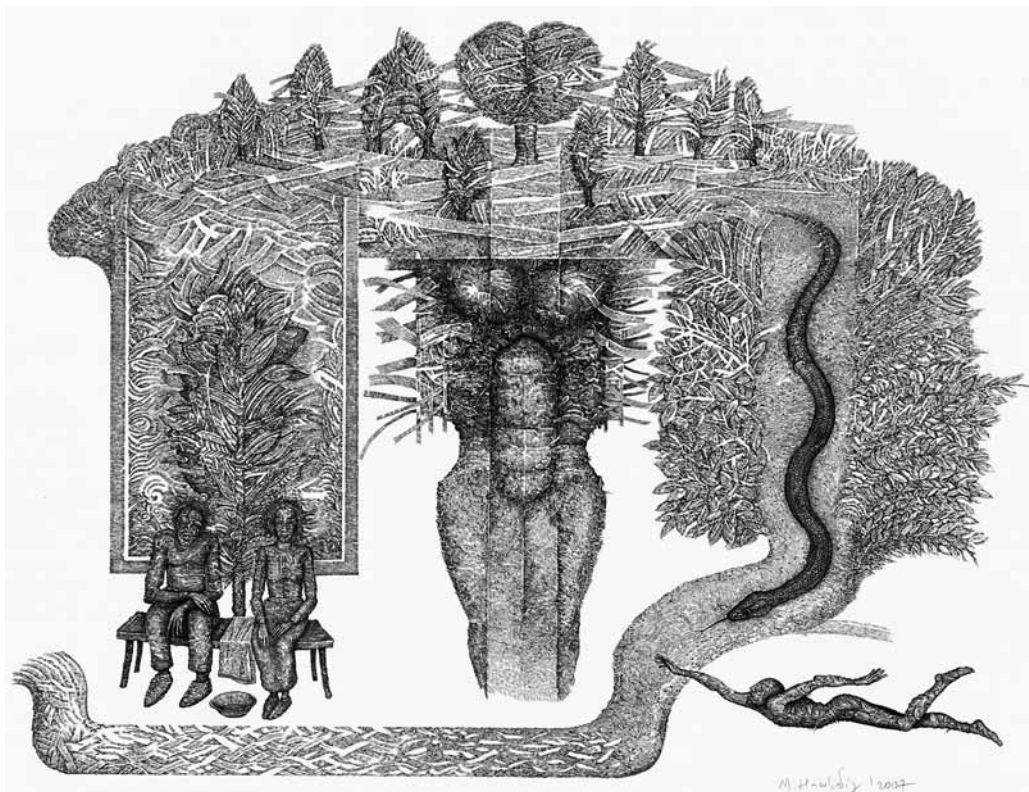
nie skurczonych rękawic, zrozumiałem już, że patrzę na ludzką skórę.

Nad tym obrzydliwym znaleziskiem wisiła zmatowiałe, zakurzone lustro, odbijające kawałek mojej zdumionej twarzy. Zdążyłem jedynie dostrzec tytuł książki, ciśniejącej bezceremonialnie na ziemię. Z okładki patrzyła na mnie moja własna fotografia.

– Nyogtha – usłyszałem głos, który nie mógł należeć do człowieka. – Nyogtha.

Później nagły błysk światła zmusił mnie do spojrzenia w lustro, ten jasny, przeraźliwie szybko poruszający się błysk, który rozszedł się po powierzchni zwierciadła jak topniejący lód, ujawnił ogromny, unoszący się w powietrzu atramentowy cień...

Cień, który był za mną.



Andrzej Buck

Teatralno-filmowe emocje za nami

Podsumowanie 4. Festiwalu

Filmu i Teatru *Kozzi Holoubek Głowacki*

Zielona Góra – Żary – Szprotawa – Wiechlice, 9-13 czerwca 2018

4. Festiwal Filmu i Teatru *Kozzi Holoubek Głowacki* zakończył się 14 czerwca zjawiskowym monodramem *Supermenka* w wykonaniu Jowity Budnik. Artystka porwała wypełnioną po brzegi widownię, dając niezwykle popis sztuki aktorskiej, prezentując rozległe talenty mimiczne, wokalne i choreograficzne. Nie była to jedyna atrakcja tegorocznej edycji Festiwalu, obfitującego w niecodzienne wydarzenia artystyczne, w tym projekcje filmowe, przedstawienia teatralne, recitale, koncerty, spotkania z gwiazdami kina, także z udziałem znanych krytyków, autorów ważnych książek ze świata filmu i teatru.

Do czterech ośrodków lubuskich (Zielona Góra, Żary, Szprotawa, Wiechlice), w których odbywa-

ły się festiwalowe wydarzenia (program przygotował dyrektor artystyczny Andrzej Buck), przybyło wielu utalentowanych artystów, pozostawiając niezapomniane wrażenia szeroko zainteresowanej publiczności.

Małżeńska para aktorów, Maja Barełkowska i Piotr Cyrwus, wystąpiła w inscenizacjach *Dancing* według Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego oraz *Dwugłos o życiu, miłości i odchodzeniu* Anny Świrskiej i Czesława Miłosza w ramach Krakowskiego Salonu Poezji w Zielonej Górze. Sonia Bohosiewicz, gość specjalny, zaprezentowała monodram *Chodź ze mną do łóżka* w reżyserii Adama Sajnuka oraz wystąpiła z koncertem-spektaklem *10 se-*



kretów *Marylin Monroe*. Krakowski Teatr KTO wystawił sztuki *Teatr Telewizji. Komedia sensacyjna* oraz *Stroiciel grzebieli*. Oba spektakle wyreżyserował Krzysztof Niedźwiedzi. Ponownie Piotr Cyrwus wystąpił z monodramem *Zapiski oficera Armii Czerwonej* w reżyserii Tomasza Obary. Gala Festiwalowa w Pałacu w Wiechlicach była uświetniona koncertem piosenek Leonarda Cohena pn. *Projekt Cohen* w wykonaniu Cezarego Żołyńskiego z zespołem 4 Pory Roku. Olena Leonenko (rozmowy o patronie Januszu Głowackim) dała się poznać jako znako-

mita pieśniarka i narratorka w magicznych koncertach *Noc z Wertyńskim* oraz *Podwórko-świat*. Lech Dyblik, nieodmiennie kojarzony z Festiwalem, również w tym roku zaszczylił imprezę swoją obecnością, śpiewając entuzjastycznie przyjmowane songi więzienne oraz pieśni rosyjskich bardów. Ponadto, jako zaproszeni goście, przed lubuską publicznością wystąpili kolejni znakomici goście, w tym: Magdalena Zawadzka (nagroda Kłaps 2018 za całokształt osiągnięć artystycznych w dziedzinie filmu – ikonie polskiego kina), Jan Holoubek – operator filmowy

(rozmowy o patronie festiwalu, Gustawie Holoubku), Robert Gulaczyk (*Twój Vincent*), Gabriela Muskała (rozmowa o książce Ł. Maciejewskiego *Aktorki. Odkrycia*), Cezary Harasimowicz (pisarz, scenarzysta), Sandra Staniszevska (czytała fragmenty książki *Gabi. A właśnie, że jest pięknie!* Magdaleny Rózczy i Marty Wysockiej-Jóźwiak), Elżbieta Baniewicz (rozmowa o książce *Dżanus. Dramatyczne przypadki Janusza Głowackiego*), Łukasz Maciejewski (książka *Aktorki. Odkrycia*, rozmowy, prelekcje), Andrzej Draguła (*Rekolekcje filmowe*),

Joanna Krzyżanek (warsztaty i spotkania z książką) i inni. Na Festiwal przybyli również zaprzyjaźnieni z lubuskimi organizatorami reprezentanci niemieckiego Film Festival Cottbus, m.in. Bernd Buder i dyrektor programowy FFC Andreas Stein.

Wśród projekcji filmowych znalazło się blisko 30 obrazów filmowych, w tym dzieła współtworzone przez patronów tegorocznej edycji Festiwalu – Gustawa Holoubka, Janusza Głowackiego i Macieja Kozłowskiego prezentowane w cyklu PATRONI I GOŚCIE. Kolejne cykle filmowe to: KOZZI GANGSTA



FILM, LUBUSKIE KONOTACJE, KINO EUROPEJSKIE, KINO ZNAD GRANICY. NIEMIECKA PANORAMA, RETROSPEKTYWA FILMÓW BERNARDA ÈMONDA oraz KINO POLSKIE. FILMY Z LAT 2017-2018. Powodzeniem cieszył się Projekt Gwiazdne Wojny realizowany w Galerii Focus Mall i Festiwal Cafe w namiocie na Zielonogórskim Deptaku.

Festiwal ma formułę konkursową, a tegoroczne Jury w składzie: Łukasz Maciejewski, Andrzej Draguła, Bernd Buder, Lech Dyblik, Andrzej Buck przyznało: – nagrodę Klaps 2018 za całokształt osiągnięć artystycznych w dziedzinie filmu – **Magdalenie Zawadzkiej**, ikonie polskiego kina; – nagrodę Klaps 2018 za najlepszą kreację aktorską w polskim filmie fabularnym **Jowicie Budnik**, w obrazach *Ptaki śpiewają w Kigali* oraz *Cicha noc*; – nagrodę Klaps 2018 za najlepszy film kina akcji **Pawłowi Maślonie**, reżyserowi filmu *Atak paniki*; – Grand Prix czyli Klaps 2018 **Andrzejowi Jakimowskiemu**, reżyserowi najlepszego polskiego filmu fabularnego *Pewnego razu w listopadzie*.

Filmy nominowane:

Dzikié róże / *Wild roses*, Anna Jadowska, 2017; *Cicha noc* / *Silent night*, Piotr Domalewski, 2017; *Ptaki śpiewają w Kigali* / *Birds sing in Kigali*, Krzysztof Krauze, Joanna Kos-Krauze, 2017; *Najlepszy* / *The Fastest*, Łukasz Palkowski, 2017; *Plan B*, Kinga Dębska, 2017; *Atak paniki* / *Panic attack*, Paweł Maślona, 2017; *Twarz* / *Mug*, Małgorzata Szumowska, 2018; *Wieża. Jasny dzień* / *Tower. A bright day*, Jagoda Szalc, 2017; *Pomiędzy słowami* / *Beyond words*, Urszula Antoniak, 2017; *Pewnego razu w listopadzie* / *Once upon a time in November*, Andrzej Jakimowski, 2017.

Na festiwalowej Gali w Wiechlicach laureatom nagród wręczono statuetki, które wykonała Aneta Pabjańska-Moskwa, artystka z Żar.

Festiwal dopełnił szereg wydarzeń skierowanych do najmłodszych odbiorców, m.in. przedstawienia i warsztaty teatralne, warsztaty literacko-manualne w Festiwal Café, Projekt Gwiazdne Wojny, a także *Gry bez prądu*, czyli spotkania z grami planszowymi, animacje, gry i zabawy.

Postscriptum do Kozzi Film Festiwal już 18 października – wtedy m.in. spotkanie z Andrzejem Jakimowskim.

www.festiwal.norwid.net.pl
www.facebook.com/festiwalzgora





Dorota Kaczmarek

Projekt Tokarska

Anna Tokarska jest patronką cyklicznego zdarzenia pn. Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej. Proza Poetów, odbywającego się od kilku lat. Po jej śmierci, w 2013 roku, grupa przyjaciół poetki, miłośników jej twórczości z dr. Andrzejem Buckiem na czele postanowiła organizować kolejne edycje imprezy pod auspicjami tej znakomitej autorki wywodzącej się z Zielonej Góry i związanej z tym miastem przez całe zawodowe i twórcze życie.

Festiwal stał się cyklicznym projektem realizowanym przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. W tym roku odbywa się już ósma edycja. Jak zakładają organizatorzy, ma na celu przede wszystkim promo-

wanie współczesnej polskiej twórczości literackiej, zarówno poetyckiej, jak i prozatorskiej, głównie poprzez spotkania i rozmowy z uznanymi autorami, laureatami i finalistami ogólnopolskich nagród literackich, również z autorami wartościowych książek, które ukazały się na rynku wydawniczym w ostatnich latach. Festiwal nie ogranicza się jedynie do popularyzacji książki. Upowszechnia także szeroko rozumianą kulturę w formie wydarzeń artystycznych, spektakli słowa, recitali i koncertów.

Spory wpływ na kształt Festiwalu mają działania nagłaśniające życie literackie i kulturalne regionu lubuskiego, wspomniana na początku patronka Festiwalu i jej twórczość, ale także spotkania z lubuskimi



poetami, prozaikami, artystami, którzy w znaczący sposób zaznaczają swoją obecność na mapie lubuskiej literatury i kultury.

Tegoroczna edycja Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej. Proza Poetów odbywać się będzie w terminie 18-23 listopada 2018.

W zaplanowanym programie przedsięwzięcia przewidujemy udział znakomitych przedstawicieli współczesnej polskiej prozy: Doroty Masłowskiej, jednej z najbardziej utalentowanych pisarek młodego pokolenia, której powieści, dramaty, felietony i piosenki szturmem zawojuowały polski rynek literacki, muzyczny i sceny teatralne; Małgorzaty Kalicińskiej, popularnej autorki cyklu książek *Rozlewisko*, który został zekranizowany, z główną rolą Lubuszanek Joanny Brodzik; Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk, pisarki, dziennikarki, autorki bestsellerowych serii *Cukiernia Pod Amorem*, scenarzystki filmowej, m.in. serialu *Tata, a Marcin powiedział...*

Kolejnym znakomitą gościem Festiwalu będzie Mariusz Szczygieł, jeden z najwybitniejszych polskich reporterów i dziennikarzy, autor bestsellerowych książek

Gottland i *Zrób sobie raj*. Pojawi się również Łukasz Maciejewski, znany, ceniony krytyk filmowy i teatralny, autor wielu publikacji o filmie oraz ludziach kina i teatru, który prezentować będzie swoją najnowszą książkę *Koniec świata wartości* – tom rozmów z Krystianem Lupą, wybitnym reżyserem teatralnym, scenografem, dramaturgiem. Krytykowi towarzyszyć będzie ceniona aktorka Katarzyna Gniewkowska, jedna z bohaterek książki *Aktorki Odkrycia*, gwiazda Teatru Narodowego, która zainauguruje Festiwal, czytając teksty poetyckie Anny Tokarskiej.

Postać i twórczość poetki – patronki Festiwalu w sposób szczególny upamiętniona zostanie premierą filmu dokumentalnego *Nieparzysta. Opowieść o Annie Tokarskiej*, wg scenariusza Anny i Macieja Klaudelów, a zrealizowanego przez Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działalności Kulturalnych DEBIUT.

Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej. Proza Poetów stwarza Lubuszanom możliwość obcowania z szeroko pojętą kulturą, co w efekcie kształtuje wrażliwego, aktywnego i świadomego odbiorcę wydarzeń kulturalnych.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjne Kluby Książki
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działalności Kulturalnych DEBIUT

II Festiwal literacki

PROZA POETÓW

20-23 listopada 2012

Zofia Kucówna
Łukasz Maciejewski
Wiesław Komasa
Lech Dyblik
Alfred Siatecki
Barbara Konarska
Krzysztof Koziołek

Patronat: Prezydent Miasta Zielona Góra Janusz Kubicki

Logos: TVP, DKK, etc.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjne Kluby Książki
Stowarzyszenie Miłośników Działalności Kulturalnych DEBIUT

III Festiwal Literacki

PROZA POETÓW

im. Anny Tokarskiej

28 listopada - grudzień 2013

Angelika Kuźniak
Grażyna Szapołowska
Łukasz Maciejewski
Zbigniew Walerys
ks. dr hab. Andrzej Draguła

Logos: DKK, etc.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjne Kluby Książki
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działalności Kulturalnych DEBIUT

IV Festiwal Literacki

PROZA POETÓW

im. Anny Tokarskiej

20 listopada - grudzień 2014 r.

Sławomir Rogowski
Spotkanie autorskie oraz promocja książki
Widok z dachu
Prowadzenie: Janusz Życzkowski

20 listopada, godz. 18.00, Klub Pro Libris

Jolanta Pytel
Spotkanie autorskie oraz promocja tomiku
Poza czasem
Prowadzenie: Janusz Koniusz

27 listopada, godz. 18.00, Klub Pro Libris

Janusz Koniusz
Spotkanie autorskie oraz promocja tomiku
Na własne podobieństwo
Prowadzenie: dr Robert Rudak

4 grudnia, godz. 18.00, Klub Pro Libris

Janusz Życzkowski
Spotkanie autorskie oraz promocja książki
Opowieść Pierwsza
18 grudnia, godz. 18.00, Sala Dębowa

Logos: DKK, etc.

5. Proza Poetów

Festiwal Literacki

im. Anny Tokarskiej

19 listopada, godz. 18.00, Sala Dębowa / Miejska Biblioteka
Zielonogórski Salon Poezji – miniatury z tomiku Anny Mirosławy Szott czytają Zdzisław Wardejn i Andrzej Nowak. Spotkanie i rozmowa z poetką

20 listopada, godz. 18.00, Sala Dębowa / Miejska Biblioteka
Różewiczogranie – spektakl poetycki w reżyserii i wykonaniu Wiesława Komasy

24 listopada, godz. 11.00, medioteka Góra Mediw
Umarła Alisa – projekcja inscenizacji spektaklu Teatru Critot 2 w ramach obchodów Roku Kantora

24 listopada, godz. 18.00, Sala Dębowa
Pajęcze życie. Antologia subiektywna – promocja antologii słuchaczy Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku z Klubu Literackiego Okymoron. Prowadzenie: prof. dr hab. Małgorzata Mikolajczak

27 listopada, godz. 18.00, Sala Dębowa / Miejska Biblioteka
Trzynasty apostoł wg Obłoku w spódniach Włodzimierza Majakowskiego w wykonaniu Ryszarda Farena

5 grudnia, godz. 16.00, Galeria Biblioteki Norwida
Dzieciństwo w Polsce. Dzieciństwo w Niemczech. Proza i Poezja – promocja antologii polsko-niemieckich tekstów. Rozmowa z autorami, m.in. z Ewą Andrzejewską, zielonogórską poetką, autorką tekstów piosenek. Podczas wieczoru wystąpi Dagmara Korona

8 grudnia, godz. 18.00, Sala Dębowa
Pięro na niebie – promocja antologii wydanej w związku z 20-leciem działalności Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Prowadzenie: Mirosława Szott

10 grudnia, godz. 18.00, Sala Dębowa
Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI wieku dra Roberta Rudaka – promocja książki oraz panel dyskusyjny z udziałem przedstawicieli środowisk literackich nt. kondycji lubuskiego życia literackiego

17 grudnia, godz. 18.00, medioteka Góra Mediw
Opowieść pierwsza – promocja audiobooka Janusza Życzkowskiego oraz panel dyskusyjny Wiera i nauka. Czy to w ogóle możliwe? Historia sporu

19 LISTOPADA — 17 GRUDNIA 2015
BIBLIOTEKA.ZGORA.PL FACEBOOK.COM/PROZA.POETOW

Wejściówki dostępne w Informacji Katalogowej Biblioteki Norwida od 12 listopada 2015

Logos: DKK, etc.

6. Proza Poetów

Festiwal Literacki

im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Klub Literacki Okymoron Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku
Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze

Inauguracja

Anna Tokarska...
wiersze w interpretacji słuchaczek
Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku
Barbary Konarskiej, Danuty Kuleszyńskiej,
Bożeny Rudkiewicz, Danuty Wesółowskiej

15 listopada 2016, godz. 16.00
Sala Dębowa Biblioteki Norwida, al. Wojska Polskiego 9

Logos: DKK, etc.

7. PROZA POETÓW

Festiwal Literacki

im. Anny Tokarskiej

16-30.11.2017
Zielona Góra

Elisabeth HERRMANN
Małgorzata CZYŃSKA
Justyna SOBOLEWSKA
Anna KRÓL
Agata TUSZYŃSKA
Magdalena GRZEBĄKOWSKA
Ewelina PIETROWIAK
Andrzej ZIEMIANSKI

Logos: DKK, etc.

W stronę piękna

Jak pamięcią sięgam, nigdy nie byłem obojętny na piękno, które szło do mnie z wielu bardzo różnych stron. Dałoby się o tym sporo powiedzieć. Za każdym razem skutkuje (skutkowało) oczarowaniem, znaczącym w takim stopniu, że te chwile nie tylko wyłączały mnie z realnego świata, ale i czyniły zupełnie nieistotnym wszystko to, czego pragnąłem w codziennym życiu. Gdy byłem głodny, zapomniałem o głodzie i podobnie było w odniesieniu do wszelkich niedostatków i niepowodzeń, które mnie spotykały. Doznania piękna zawsze odślaniały rzeczy ważniejsze, prawdziwe, większe, nie do zastąpienia czymkolwiek. Szukałem i szukam nadal piękna. Może nawet nie tyle szukam, co je dostrzegam. Fundamentalny jego znak-obraz najpierw kiedyś odślonił się w naturze – w łąkach, polach, a potem w obrazku na ścianie wiejskiego domu. Nie znudziło mi się często jemu przyglądać. Piękne malowidła ściennie i obrazy oglądane w dzieciństwie w kościele w Kopanicy dokonywały w tym względzie też wiele dobrego. Za każdym razem, kiedy jadę przez tę miejscowość, staram się wstępować do odrestaurowanej niedawno świątyni, by poddać się ciszy jej sakralnej aury, ale i przypomnieć sobie tamtą przeszłość. I gdziekolwiek jestem, zaglądam do kościołów, katedr (we Francji, we Włoszech), bo to są mniej lub więcej, ale zawsze świątynie piękna sztuki i architektury, barwy i kształtu. Któż np. nie zwróci uwagi na światło w witrażach. A przecież chodzi także o to, że w tych wnętrzach, bo nie gdzie indziej, odzywa się wielka muzyka organowa.

Natomiast *Elementarz* z kolorowymi ilustracjami Jana Szancera dał mi w dzieciństwie szczególnie, już na papierze zaznaczone, wtajemniczenie w artystyczne piękno. Baśnie i bajki wyśmienicie nasyczone kolorowymi obrazkami kształciły smak estetycz-

ny. Nie wiem, jak potoczyłyby się tego typu fascynacje, gdybyśmy w liceum nie chodzili na wystawy malarstwa i sztuki – na słynne wystawy „Złotego Grona” w Zielonej Górze. Prezentujące nowoczesną sztukę. To była naprawdę duża dla nas przyгода. Swego rodzaju wzruszenie ogarnęło mnie, gdy w BWA zobaczyłem obrazki Witolda Michorzewskiego z podpisem, że powstały do moich wierszy. Oglądałem duże, mroczne obrazy legendarnego Klema. Jego samego widywałem niemal zawsze o tej samej godzinie, zmierzającego deptakiem do „Ratuszowej”. Stefana Słockiego, palącego fajkę, też widywałem dość regularnie, już w podeszłym wieku, wędrującego deptakiem z małym jamniczkiem. Bywałem w jego pracowni przy Batorego, opublikowałem z nim wywiad w „Nadodrzcu”. Tak zbliżałem się do świata sztuki.

Udało mi się namówić Irenę Bierwiazzonek, by zrobiła ilustracje do poetyckiej antologii. Ileż uroku tej publikacji przybyło. Była charakterystyczną postacią, bardzo pracowitą artystką. Czułem jej duchową osobowość i zmaganie się z trudami życia. Za sprawą artystycznej miłości Jana Muszyńskiego ukazywała się w Muzeum seria zbiorów poetycko-plastycznych, którą cechowała duża oryginalność edytorska. Do mojego zbioru *Pokaż się Tobie* twórca tej numerowanej serii (nakład sto egzemplarzy) wybrał malarstwo Danuty Waberskiej. Biorąc do ręki zbiorek, nie posiadałem się ze szczęścia. Te zbiorki to były perełki. Tego typu wydawnictwo już trochę inaczej okresowo kontynuował Andrzej Toczewski. Wtedy wydano edytorsko wyśmakowany zbiór *Rozmowa z Rimbaudem* z niesamowitymi w swoim wyrazie rysunkami Agnieszki Graczev. Dziękuję jej za to. Uzmysłowiłem sobie, że nie chodzi tylko o druk poezji, ale o wydanie książ-

ki, którą ze względu na edytorskie piękno czytelnik chce brać do ręki.

Nie była pozbawiona znaczenia w latach 80. moja praca w Muzeum. Na drugim piętrze mieścił się Dział Sztuki Współczesnej, którym kierował Armand Felchnerowski, pracował w tym dziale Leszek Kania, Ania Ciosk (uobecnioma w obrazach Andrzeja Gordona). W Dziale Wydawniczym poza Izą Koniusz mogłem pogadać ze Stasiem Parą (dobrym grafikiem) i kochającą sztukę Danusią Cyganek. Tu odbywała się moja edukacja estetyczna. A jedną z najważniejszych rzeczy okazało się wtedy tworzenie folderów plastycznych, których powstało kilka. Szkoda mi dzisiaj, że słabe możliwości poligraficzne nie zawsze dawały dobry efekt. Muszyński oprowadził mnie osobiście po wszystkich Galeriach, dużo przy tej okazji opowiadając o artystach. Każda Galeria miała inny kształt. Zwłaszcza Mariana Kruczka, ocalająca wiejskość, zrobiła na mnie wrażenie. Umiał artysta do rangi sztuki podnieść zużyte, śmietnikowe jakby, przedmioty. Cegiełki tych doświadczeń poniekąd wzbogaciły moje wnętrze. Z Biblioteki, jeszcze za dyrekcji Grzegorza Chmielewskiego, wypożyczałem za niedużą opłatą obrazy różnych malarzy i delektowałem się nimi w domu. Pozostawałem jednak ciągle na zewnątrz, ale takie nazwiska jak Marian Szpakowski ze swoimi trójkątami, Bazylewiczowie, Stefanowski pełen twórczej werwy, Agata Buchalik-Drzyzga, Ryszard Kiełb (tragiczne zmarły w Kanadzie), Hilary Gwizdała malujący z pasją Zieloną Górę, Józek Cyganek (rzeźbiarz), Józef Burlewicz z antytalitarnym wtedy przestaniem na obrazach, nie były już mi obce.

Nie jest mi też obce od dość dawna nazwisko i sama postać artysty Adama Bagińskiego. Charakter jego malarstwa sprawia, że nasze kontakty od kilku już lat są częste i przynoszą twórcze efekty. W książce *Światło przed nocą* bardzo istotnie Bagiński wsparł

mnie swoimi akwarelami. Książka zyskała. Potem wydał dwa dobrze opracowane albumy: *Pomiędzy* (2016) i *W przestrzeni* (2018) z moimi wstępami. Jego twórczość odwołuje się do natury, ale nie wprost. Zaznacza jej niepochwytliwość i ulotność, przez co nabiera ona ważnego, delikatnego, poetyckiego wyrazu. Nie realne pejzaże (jeśli już, to pejzaże jego ducha), drzewa, twarze, widoki ziemi lub miasta stanowią temat, ale formy o proveniencji duchowej. I to bywa mi bliższe. Twórca od lat swoją sztukę wyposaża w otwartość i uniwersalność, co się sporemu gronu odbiorców podoba. On sam zresztą swoje dokonania wysoko ceni i wysoko lokuje artystycznie, jak każdy twórca przekonany o wyjątkowości dokonania. Niewątpliwie teraz, w swoich późnych latach, gra „pierwsze skrzypce” w zielonogórskim środowisku plastycznym. Poszczególne obrazy miałem możliwość widzieć w pracowni, w czasie ich powstawania, ale dopiero dobrze przygotowany wernisaż w salonie Biblioteki Norwida najnowszych dzieł zrobił na mnie wrażenie. I chyba także na licznie przybyłej publiczności. Emanuje z obrazów Bagińskiego oczywiście jakaś determinacja, jakaś moc, dająca się kontemplować. Opinie, że Adam Bagiński tworzy ciągle takie same dzieła, pozornie można uznać za słuszne. Bliżej prawdy będziemy, gdy powiemy, że mamy do czynienia z różnymi odsłonami podmiotowych doświadczeń i emocji. Dzięki możliwościom, jakie daje internet, ostatnio oglądam dużo pięknego malarstwa europejskiego, zwłaszcza holenderskiego, dawnego i bardziej współczesnego. To są prawdziwi mistrzowie. Ze znanstwem zajmują się widokami natury, pól, nieba, wody, ale i trudami zwyczajnego codziennego życia. To malarstwo bezapelacyjnie potrafi zapierać dech.

Albowiem nie tylko czysty estetyzm jest wartością w sztuce, ale również wzbogacenie dzieła o refleksję nad egzystencją człowieka.



Stefan Słocki

Przeszukując szuflady w poszukiwaniu starych ekslibrisów, przeżyłam we wspomnieniach drugą młodość. Jest to jeden z pierwszych moich ekslibrisów. Stefan, grafik i malarz, dowcipny kolega, kochał muzykę i psa jamnika... Różnica wieku między nami była dość znaczna – mawiał z uśmiechem, że urodziłam się zbyt późno! Jego muzyczne, rytmiczne obrazy wiszą w domach wielu zielonogórzan, u mnie również. Bardzo ciepło i miło go wspominam.



Janusz Skiba

Tworzenie... Niezależnie od użytych środków przekazu to próba zatrzymania ulotnej chwili, którą dostrzega oko artysty. Janusz z aparatem fotograficznym potrafi uczestniczyć w zdarzeniach bardzo prostych jak kropla wody, kałuża, światło odbite od przedmiotu czy też fragmenty natury w różnych porach roku. Patrzę na świat fotografii Janusza. Dziwię się i zachwycam gotowym obrazem, o którym możemy godzinami rozmawiać. Cenię sobie jego przyjaźń. Ekslibrisy w moich zbiorach (dwie sztuki) mówią o grafiku. Wybieram formę mniej literacką... płaszczyzna (w domyśle) matryca graficzna lub rozedrgana fotografia. Całość oszczędna w treść, niemniej naładowana emocjami. Taki jest mój przyjaciel Janusz.

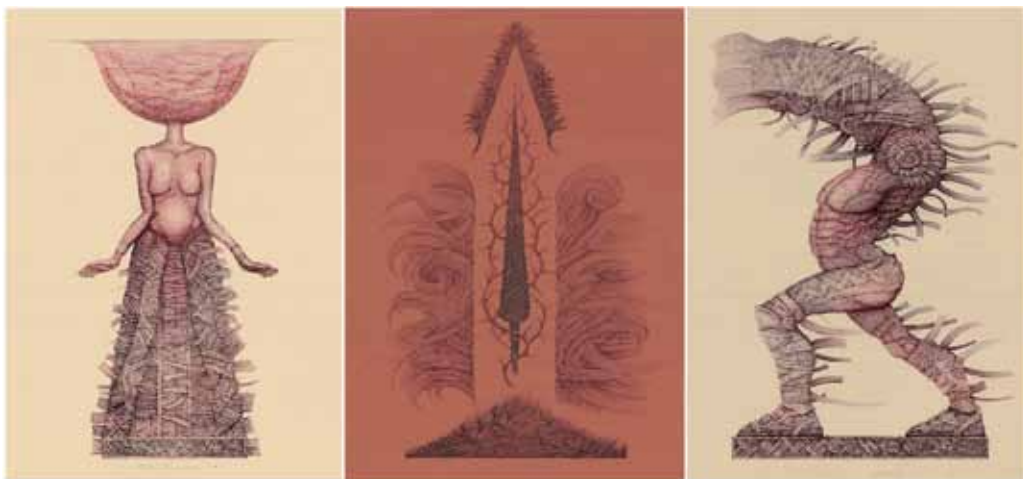
Prezentacje

Michał Hrisulidis

Urodził się w 1963 roku we Wrocławiu. W latach 1984-1989 studiował w PWSSP we Wrocławiu. Dyplom z wyróżnieniem otrzymał w 1989 roku w Pracowni Malarstwa prof. Kortyki. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, plakatem, ilustracją, scenografią filmową i teatralną. Michał Hrisulidis ma za sobą ponad 40 wystaw indywidualnych, m.in.: we Wrocławiu – Galeria Miejska, w Warszawie – Galeria „Zapiecek”, w Krakowie – Willa Decjusza, w Zielonej Górze – Muzeum Ziemi Lubuskiej, w Łodzi – Muzeum Kinematografii, w Berlinie – Galeria Terzo, w Enkhuizen (Holandia) – Kunstcentrum „De twee wezen”, w Borne (Holandia) – Artjan Gallery, w Brukseli (Belgia) – Maison Pelgrims, w Toronto (Kanada) – The Laurier Gallery. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych w Polsce i za granicą, m.in. w Berlinie, Monachium, Ludwigshafen, Herford (Niemcy), Salonikach i Panagia Soumela (Grecja), Kopenhadze (Dania), Lwowie (Ukraina), Wilnie (Litwa), Ulft (Holandia). Jest autorem ponad 50 realizacji scenograficznych do filmów fabularnych, teatrów telewizji, seriali i spektakli teatralnych. W 1994 roku otrzymał nagrodę indywidualną na 19. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za współtworzenie kształtu plastycznego filmu fabularnego *Cudowne Miejsce* w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego, a w 2000 roku został laureatem nagrody indywidualnej za scenografię do filmu fabularnego *Daleko od okna* w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego na 25. FPFF w Gdyni. Współpracował z wieloma reżyserami filmowymi i teatralnymi, m.in. z Janem Jakubem Kolskim (*Historia kina w Popielawach*, *Skrzypki*, *Wyspa róż*, *Afonia i pszczoły*), Filipem Bajonem (*Fundacja*, *Stara kobieta wysiaduje*), Radostawem Piwowarskim (*Królowa chmur*, *Stacyjka*), Cezarym Studniakiem (*Mury Hebronu*, *Imperium*, *Kocham cię, ja ciebie też nie*, *Kochanie, zabiłam nasze koty*). Od roku 2010 prowadzi Pracownię Projektowania Scenografii Filmowej i TV w Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu. W 2014 roku otrzymał tytuł doktora habilitowanego w dziedzinie sztuk plastycznych w dyscyplinie sztuk projektowych.



Michał Hrisulidis, *PORTRET OKIENNY*, olej-płótno, płyta pilśniowa, 1994



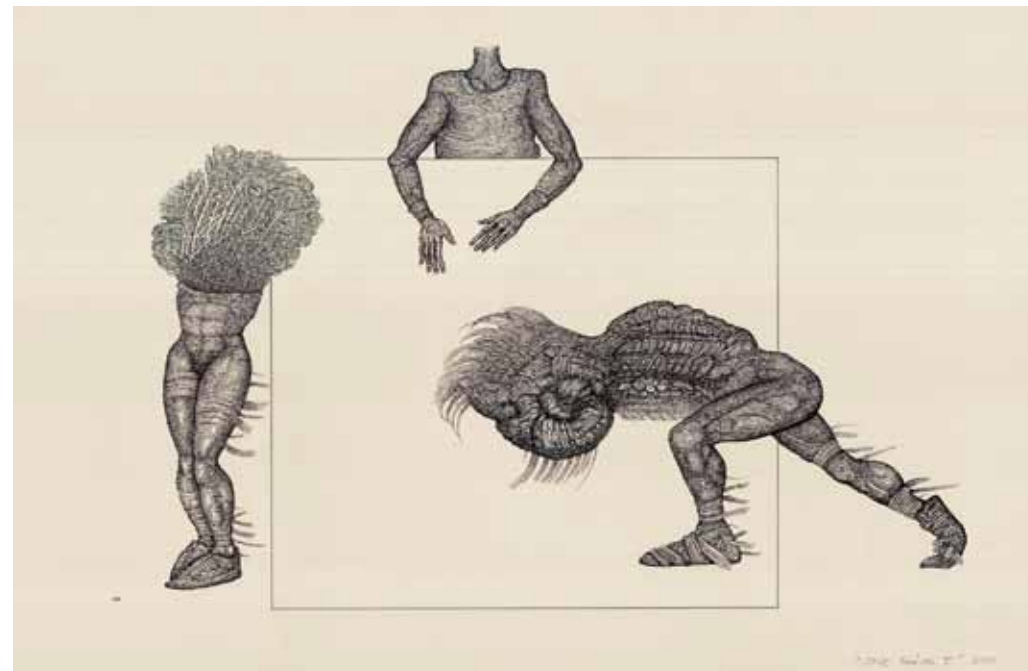
Michał Hrisulidis, *TRYPTYK A,B,C*, piórko-tusz, 2011



Michał Hrisulidis, *DOJRZEWANIE*, olej- płótno, 2001



Michał Hrisulidis, *ZAŁOŻONY*, print, 1999-2016



Michał Hrisulidis, *STÓŁ PAŃSKI II*, piórko-tusz, 2006

Wojciech Śmigieński

Michała Hrisulidisa PRZYPISY DO CZŁOWIEKA

Na temat twórczości Michała Hrisulidisa wypowiadałem się wcześniej parę razy. To twórczość wyraźna, charakterystyczna, oryginalna i rozpoznawalna. Nie sposób jej pomylić z inną i przypisać komuś innemu. To jej walor niezaprzeczalny i powód, dla którego warto się nad nią cały czas pochylać i szukać w niej tego, co dla niej typowe, powtarzalne, ale i wyjątkowe, i odróżniające.

Gdy parę dni temu zostałem poproszony o szkic na temat jego twórczości z okazji jej prezentacji na łamach Lubuskiego Pisma Literacko-Kulturalnego „Pro Libris”, poważnie się zastanawiałem, czy powinienem kolejny raz zabierać głos w tej sprawie, bo chyba powiedziałem już wszystko o jego sztuce, co miałem do powiedzenia. Ostatecznie jednak zdecydowałem się na udział w przedsięwzięciu, ale postanowiłem zmienić dykcję i charakter wypowiedzi. Postanowiłem nie pisać jako krytyk sztuki, bo w tej roli już się wypowiadałem i moje poglądy są znane, ale zaproponować w miejsce szkicu krytycznego o twórczości swój liryczny komentarz do wybranych rysunków i obrazów Michała Hrisulidisa. Odmianę tekstu wrażeniową, poetycką – stawiającą mnie w gronie tych, którzy chłoną obraz intuicyjnie i zmysłowo, poza wszelką typologią i badawczym uogólnieniem. Chwytają niepowtarzalny urok i sens jednorazowej ekspresji. To tylko indywidualny głos w dyskusji o tym, co w „Pro Libris” zostało pokazane. Liryczny głos widza, opisującego osobiste przeżycia, nie aspirujący już, jak wcześniej bywało, do syntetycznego objęcia całości zjawiska.

Zasadniczy fragment swojej wypowiedzi podzieliłem na części, których tytuły zostały zaczerpnięte od tytułów prac autora.

WPROWADZENIE

Zanim jednak przejdę do części zasadniczej swojej wypowiedzi, chciałbym zwrócić uwagę na zewnętrzne cechy człowieka, który pojawia się na obrazach i rysunkach Michała Hrisulidisa. Jego specyficzny wygląd, pozy i gesty, zatrzymane najczęściej w bardzo dynamicznym ruchu – podkreślają jego aktywność, choć często są skonstrastowane, na sąsiednim obrazie, całkowitym bezruchem. Warto to zauważyć i wysnuć następujący wniosek – pospolitość i trywialność jest ruchoma, ale i ślepa. Świętość natomiast jest statyczna, zastygła i dumna.

Tak wyrażona dwoistość natury człowieka i jego zachowań charakteryzuje wszystkich przedstawicieli rodzaju ludzkiego, mieszkających w twórczości Hrisulidisa. Człowiek jako taki znajduje się zawsze w centrum obrazu. To on jest poddawany swoistej wiwisekcji, pod piórkiem i pędzlem artysty. Nigdy nie znika ze sceny, bo jest bezpośrednim wyrazicielem idei autora. To poprzez swoich bohaterów kreśli Hrisulidis swój odbiór świata, oddając im głos w poszczególnych sytuacjach egzystencjalnych. Nie utożsamia się z nimi, jedynie przedstawia ich i daje nam pod rozwagę. Od nas domaga się i oczekuje oceny. Można się zastanawiać, czy autor jest dumny z tego, co wokół siebie ogląda, czy towarzyszy mu raczej poczucie niedosytu z tego, co w świecie ludzkim doznał, a może wreszcie kwestionuje jego przejawy i lęka się zła, jakie ze sobą przynosi.

Wszystkie te pytania można postawić, gdy zamierza się rozwikłać zagadkę pojawiającej się w tej twórczości osoby. Artystę interesuje bowiem najbar-



Michał Hrisulidis, *STAWRETKA*, obraz olejny, 400 × 250, 2005

dzień człowiek w zróżnicowanych postawach, w nieustających relacjach z otaczającym go światem. Pojedynczy los bohatera obrazu został tu utożsamiony z losem całej ludzkiej populacji i symbolizuje go. Człowiek wrzucony w świat, bezbronny rozbiitek. Kruchy, ale opancerzony. Przeniknięty dobrem i złem. W nim i na nim skupia się wszystko, co charakterystyczne dla mocującego się ze światem człowieka, dla jego egzystencjalnego kłopotu.

Tytułowe przypisy do człowieka, tak jak teatralne didaskalia szkicują i opisują zauważone, niezbędne, ale i niepożądane przymioty i zachowania w trakcie odgrywania swej roli w teatrze życia. „Życie to nie teatr”, śpiewał Edward Stachura, ale wielu z nas tak je traktuje. Człowiek Hrisulidisa w każdej przywołanej przez niego sytuacji poddawany jest swoistej próbie człowieczeństwa. Wynik tej próby znajduje natychmiast swój plastyczny wyraz, na podstawie którego nie można się jednak zorientować, po której stronie artysta się opowiada. Artysta nie jest bowiem sędzią. Jest jedynie demiurgiem, który buduje i pokazuje nam coś, co go zaniepokoiło lub coś, co go urzekło. Wyrok pozostaje w naszych rękach i to my musimy zdecydować komu dać GÓW.....NO, a kto ma otrzymać RÓŻĘ, jak pisał Guillaume Apollinaire w jednym ze swoich manifestów, w *Manifest – Syntezie* w 1913 roku, gdy powoli rodził się dadaizm. Hrisulidis niczego nie podpowiada, ale liczy, że trafnie dokonamy tego wyboru sami.

Teatralność wypowiedzi tego artysty jest widoczna jeszcze w innym planie. To kostium czy strój pokazywanego człowieka, które na wzór teatralny są utkane z różnych materii i materiałów, okrywających całe ciało. Widoczne zostają jedynie oblicza portretowanych, czyli twarze o charakterystycznym wyrazie. Ból, smutek, zamyślenie. Rzadziej radość i rozkosz. Czasem zadziwienie lub obojętność. Widoczną często nietrwałość ludzkiej kondycji podkreślają opatrunkowe bandaż, opasujące całe ciało, jakby podtrzymujące jego wewnętrzny spójność i akcentujące nieuchronną możliwość totalnego rozpadu i destrukcji.

Wszystko zostało pokruszone, nawet substancja naszego ciała. Ale jej potencjalny rozpad może symbolizować też rozpad i utratę moralnych warto-

ści, które gwarantowały w przeszłości elementarny ład i porządek etyczny. Człowiek obandażowany to także człowiek chory, poraniony i z bliznami. A poraniony rozbiitek to osobnik, który stracił swą witalną siłę i wytracono mu kompas z ręki, który wskazywał właściwy kierunek.

Malarstwo Hrisulidisa, jak rzadko które, jest gęste w swej treści i materii, każdy jego element wnosi coś istotnego do ostatecznej wymowy całości, a jednocześnie pomiędzy poszczególnymi obrazami rodzi się nawiązywanie (w grupach i cyklach) rozmowy, która, w ten sposób spotęgowana, jest dużo bardziej nośna. Rysunek jest bardziej krystaliczny, czysty i wyrafinowany, by nie powiedzieć finezyjny i subtelny. Malarstwo natomiast jest bardziej utkane materią i nasyczone kolorem, i całą swą aranżacją odsyła do teatru, do sceny. Jedną z najbardziej znanych wystaw Michała Hrisulidisa nosiła tytuł *Scena obrazowa*. Wymienione okoliczności wyjątkowo podkreślają przestrzenność jego malarstwa. To jego cecha widoczna i wszechobecna. Powoduje ona, że oglądający może mieć pełne poczucie uczestnictwa. Może stać się elementem zamierzonej przez autora scenografii, jej istotną odczuwającą częścią. Z tej właśnie perspektywy patrzę dzisiaj na te obrazy.

EGZEKUCJA W SIEDMIU OBRAZACH

1. PO DRODZE

Domy do góry nogami
ludzie do góry nogami
i do góry rękoma
Dłonie i stopy na podłodze
Po drodze

Każdy po swojemu
zdąży ku niemu
Co ma najlepszego
chce mu dać

Taniec wiotki
ciało smukłe
oderwana stopa w takt

To niewiasta roztańczona
pokazuje wypukłości
swoich szat

Skrzypek mierzy
i zawodzi melodię serdeczną
Jedną stopę ma do przodu
a drugą poprzeczną

Zakręceni są ponadto
z krzyża zdjęty
i Arlekin
A swą głowę ma otwartą
człekożaba
Ma tej drogi do przebycia
jeszcze kawał

Każdy musi iść do przodu
do przebycia ma wycinek
Pan rozliczy za udany go odcinek
Żaby nikt już nie zaprosi
niezależnie co wygłosi

2. PRZEPŁYWANIE

Jutro zabiorę cię na drugi brzeg
jedno ramię oprzesz na piasku
drugie zanurzysz wśród języki traw
Nasz opuszczony ogród będzie wówczas zwiedzał
dzieciół w czerwonej czapeczce
i kurtce z czarnego aksamitu

Trzeba go gorąco przywitać
utoczmy dla niego kieliszek lawendy
a nasz przyjaciel wąż
poczęstuje go mrówkami
Nigdy nie za wiele przysmaków
dla tak egzotycznych gości

Nasz ogród podejdzie do rzeki
a liście jego drzew zakryją twoją twarz
Będiesz wyglądała jak drzewo
wśród bukietu gałęzi

Gdy rzeką będzie przepływał rozbiitek

rzucimy mu koło ratunkowe
Jeżeli nie cofnie ręki przed wężem
będzie mógł się również z nami przywitać
i usiądzie do naszego posiłku

Potem podzielimy ogród i rzekę na pół
będzie nam wtedy łatwiej
zadbać o jeszcze lepsze plony
I co nie jest bez znaczenia
będziemy odtąd mniej samotni

3. ZAUROCZENIE

Odkąd zadzieraszą głowę
i patrzysz tak wysoko
czuję się bezpieczniejsza
To tak jakbyś chciał mnie osłonić
i przyjąć na siebie spadające z nieba
kaleczące anielskie pióra

Nigdy wcześniej nie spotkałam takiego rycerza
który by zamienił konia na kobietę
Ty wybrałeś mnie jak się wybiera
jabłka w sadzie
dotykając ich krągłość
i całując namiętnie ich rumiane usta

Teraz jesteśmy dużo wyżej od pozostałych
powyżej traw
powyżej kwiatów
i drzew
Unosimy się ponad lasem podwójnie

A w dole zostali
sami pojedynczy
choć ich ciała splecione w gromadzie
aż do niepoznaki
I dotykają nie wiedząc kogo
nieszczęśni

4. PRZESYPYWANIE

Dzielić się tym czego ma się
w nadmiarze
nie jest trudno i jest w zwyczaju

Zupełnie inaczej się dzieje
gdy brakuje do podziału
a chcących jest ponad miarę
A bywa i tak
żeby dać jednemu
innego trzeba pozbawić

Gdy głowę schowamy w koronie drzew
to najwcześniej jesień odkryje naszą twarz
przywróci jej zakryte oblicze
A my dopiero wtedy
ujrzymy prawdziwy obraz świata
Świat obrazu dokonuje często
jeszcze innych niespodzianek

Przesypywanie czegokolwiek
pozwala kształtować wzniesienia
i doliny
wąwozy i góry
Jest to jednak proces żmudny i czasochłonny
Dużo bardziej efektowne
jest pozostawienie krajobrazu
w rękach natury
Wtedy można być pewnym
że opadające liście
staną się nawozem dla wiosennych traw

5. ANIOŁ Z GÓRY

Tak zawsze wyobrażałem sobie anioła
choć rozumiem dlaczego kobiety
dają mu męską twarz

Ale powszechny dylemat związany z płcią anioła
proponuję oddalić i zostawić angelologom
a na swój użytek przyjąć jego płć odmienną od własnej

Mój musi mieć dwie krągłe piersi
i kibić wciętą jak Marylin Monroe
być czuły jak licznik Geigera
i odważny jak rycerze św. Floriana
Mieć mądrość sowy
i oczy niebieskie jak ocean

Może spoglądać na mnie z góry

ale wzrokiem omijać pozostałych
Nitkę Ariadny jak łąso
przerzucić w dolinę
bym mógł się po niej wspiąć
gdy zapagnę do góry

I najlepiej gdyby nigdy nie tracił
mnie z oczu
i nie strącił jeszcze niżej
do piekła Dantego

Aniele Boży, stróżu mój
Ty zawsze przy mnie stój.
Rano, wieczór, we dnie, w nocy
Bądź mi zawsze ku pomocy.
Amen

6. NIESIENIE KRZYŻA II

Jest
dużo mniej dosłowne
zaślonięte wstążeczkami
i torsem rozpiętym na pasmanteryjnej scenografii

Mężczyzna wcale nie przypominający Chrystusa
napina się pod ciężarem
napierających płócien
wrzeczono losu wysyła impulsy odruchowo
ale właściwy adresat boi się podać rękę
bo krwawiące są
symbole liturgiczne

A ślady złożonej ofiary
przypominają o przeznaczeniu
Drewniany krucyfiks ginie przesłonięty
połamanym ciałem bohatera
Jego szczątkami opierającymi się ukrzyżowaniu

Brak lekkości widoczny powszechnie
budzi podejrzenie
Strzelistość i stos ofiarny
to właściwe skojarzenie

Symboliczność odsyła dosłowność
poza kadr filmowy

Ale cała semantyczna przestrzeń
krzyczy o bestialskim zabójstwie
Ciało znika
we wnętrzu tajemniczego narzędzia tortur

Sentencja wyroku
późniejsza od zdarzenia
mówi tylko o ustaniu akcji serca

7. AUTOPORTRET

Autoportret jako portret samego siebie
powinien być wierną kopią autora
To stwierdzenie jest jednak prawdziwe
jedynie w przypadku malarstwa realistycznego
gdzie tak, tak znaczy tak
a nie, nie znaczy nie
Wszystkie inne nurty artystyczne
mają swoją nierzadko daleko odbiegającą
od realizmu
gramatykę

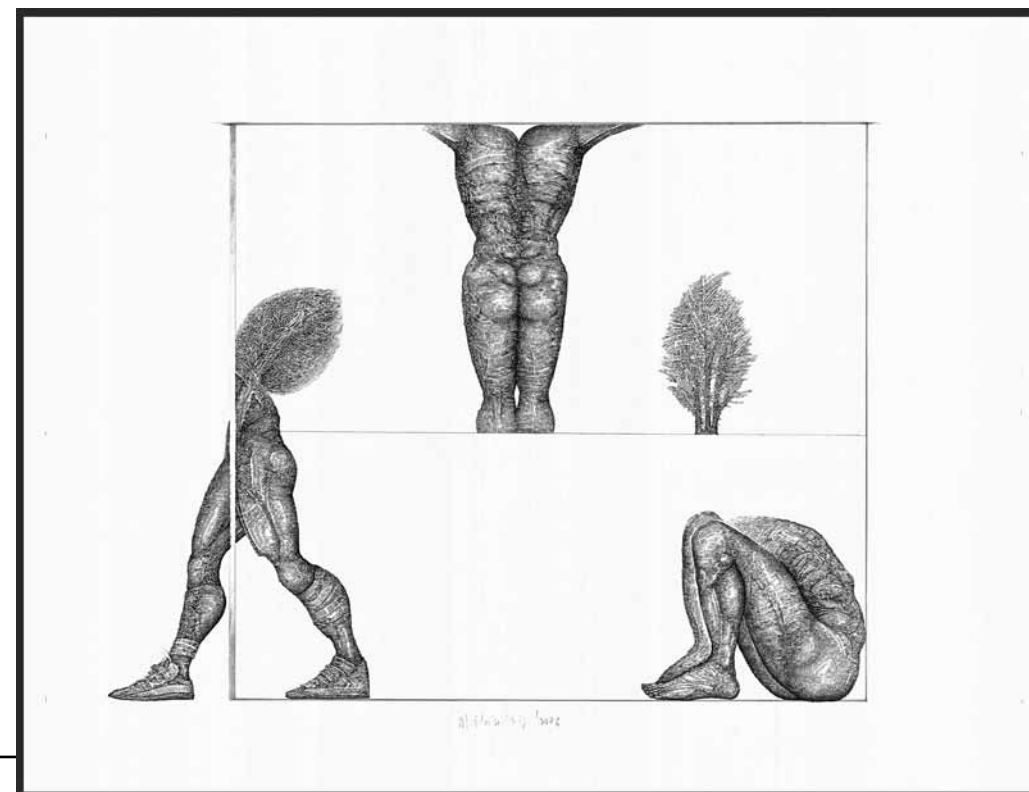
Najczęściej wizerunek autora
przypomina bohaterów jego malarstwa

zawiera te same formalne zniekształcenia
wykorzystuje tę samą paletę barw
ma podobny charakterystyczny wyraz twarzy
i zastyga w tych samych ruchach i gestach

Zupełnie inaczej się dzieje
gdy autoportret zostaje ograniczony
do twarzy i fragmentu popiersia
Wówczas twarz zyskuje indywidualizację
i uwypukla rzeczywiste rysy autora
różne od postaci mieszkających w jego obrazach
bardziej wyraziste
Twarz staje się świadectwem przeżyć wewnętrznych
widać na niej ślady życiowych przeżyć
jak na dobrej kartografii

Odzienie torsu już tak bardzo się nie wyróżnia
autor ma takie szaty jak pozostali
zgrzebne i postrzępione
połączone powiewającymi wstążkami
Jakby chciał powiedzieć
jestem jednym z was

Droniki, październik 2018



Hubert Kopacz

„Nikomu nie utrudniać życia – niech pan pamięta te słowa Miłosza”.

Wspomnienie o Julii Hartwig



Przyszedłem tak, jak się umówiliśmy, w południe. „Proszę bardzo!” – usłyszałem znajomy głos w domofonie. W podwórku, na całej wysokości sąsiedniej kamienicy, pnie się dzikie wino. Choć budynek o numerze sześćdziesiąt osiem leży przy ulicy Marszałkowskiej – głównej arterii Warszawy, sam dziedziniec domu jest bardzo zaciszny. Okolicę tę poznałem dobrze, bo miałem za sobą lekturę *Dziennika*¹, gdzie Julia Hartwig szczegółowo opisuje miejsce, w którym mieszka. Kiedy zapukałem do drzwi mieszkania, które otworzyła mi kobieta opiekująca się poetką, od razu rozpoznałem w niej panią Teresę – jedną z bohaterek dziennika.

1 J. Hartwig, *Dziennik*, Kraków 2011.

Po chwili w korytarzu pojawiła się sama Julia Hartwig – poetka, której wiersze zachwyciły mnie, odkąd odkryłem stary wybór jej utworów w świebodzińskiej bibliotece. To był rok 2012 i wkrótce, po niemałych staraniach, udało mi się zdobyć mailowy adres pani Julii. Napisałem list o tym, jak bardzo urzekły mnie jej wiersze, jak wiele już wtedy umiałem z nich wyczytać. Zapytałem, czy w związku z planowaną przeze mnie na czerwiec 2013 roku podróżą do Warszawy, zgodziłaby się, abym ją odwiedził. Jeszcze tego samego dnia dostałem odpowiedź: „Dziękuję za list i dobre słowa o moich wierszach. Przyjmuję je z nadzieją, że zasługują one na Pańskie pochwały. Chętnie przychylam się do Pana prośby i proszę o telefon podczas pobytu w Warszawie. Podziwiam konsekwencję Pana poszukiwań i cieszę się, że to co piszę, jest Panu bliskie”.

Ściskając dłoń Julii Hartwig, miałem ochotę zacytować fragment jej wiersza, w którym przywołuje scenę, kiedy młody Czesław Miłosz zwraca się do Iwaszkiewicza: „Uwielbiam pana”². Ja podziwiam tę, dziewięćdziesięciopięcioletnią wtedy, poetkę ze sznurkiem pereł na szyi, w kolczykach, uczesaną w misterny warkocz oplatający głowę, który stał się nieodłącznym elementem jej stylu. Odcień kwiatów, które przyniosłem, był niemal identyczny z kolorem koszuli, którą miała wtedy na sobie. Usiedliśmy w salonie, kurtuazyjnie odmówiłem napicia się czegokolwiek, stanęło jednak na kawie, którą wypiliśmy w towarzystwie sernika. Kiedy nałożyłem sobie jeden mały kawałek, pani Julia z uśmiechem nalegała na drugi: „Bardzo proszę, będzie sernikowi przykro!”.

Poszedłem tam, deklarując się jedynie jako wielbiciel jej poezji, choć miałem już wtedy za sobą pierwsze próby literackie. Podczas trwającego godzinę spotkania pani Julia bardzo wnikliwie mi się przyglądała, w pewnej chwili zadała pytanie, w którym więcej niż pytania było pewności: „Pisze pan wier-

sze?”. Odpowiedziałem, że piszę, choć niechętnie, że nie jestem przekonany, co do sensu tego zajęcia. „Trzeba próbować, bez tego nigdy nie będzie się wiedziało. Ludzie mi czasem mówią, że moja poezja ich pociesza, a ja tego nie czuję, pisząc”.

Być może istnieje coś takiego, co powoduje, że jeden poeta rozpozna drugiego, nawet jeśli ten jest od niego daleko słabszy. Może istnieje jakiś rodzaj spojrzenia na świat, który urzeczywistnia się w czasie rozmowy i od razu świadczy o nas.

Poprosiła, bym wpisał się do notesu z adresami. Pośród regularnych, eleganckich ciągów jej liter, koślawymi znaczkami zapisałem swoje dane, pani Julia spojrzała na mój wpis: „Ma pan bardzo ładne imię, rzadkie i bardzo dobrze brzmiące”. Padła jeszcze prośba, bym przesłał jej swoje wiersze, co robiłem później wielokrotnie, często wręcz upominany przez panią Julię o dostarczenie nowych utworów.

Długo zastanawiałem się nad tym, dlaczego będąc już w tak poważnym wieku, ciągle interesowały ją wiersze młodych poetów. Uświadomił mi to, po części, profesor Ryszard K. Przybylski³, mówiąc, że kiedyś w jednym z pism literackich Julia Hartwig była osobą oddelegowaną do kontaktów z młodymi pisarzami. Tę swoją ciekawość najmłodszej literatury wyraziła też w rozmowie z Jarosławem Mikołajewskim⁴, odpowiadając na pytanie o dialog międzypokoleniowy w poezji: „Bardzo mnie obchodzi to, co będzie jutro, co ci poeci pokażą. Dlatego jestem zawsze taka chętna, żeby poznać ich twórczość”⁵.

Pod koniec spotkania okazało się, że zostaliśmy w mieszkaniu sami. Przyznam, że bardzo urzekła mnie wtedy ta ufność, którą zostałem obdarzony. Jeden ze znajomych Julii Hartwig mówił mi później, że wcale nieczęsto okazywała obcym aż takie zaufanie.

Kiedy myślę o tym, jaki wpływ miała na mnie Julia Hartwig, to nie sposób ograniczyć się jedynie do tego, co wywarła na mnie jej poezja: niezwykle ele-

2 Tejże, *Wiersze wybrane*, Kraków 2014, s. 330.

3 Ryszard K. Przybylski – prof. dr hab., pracownik Zakładu Literatury i Kultury Nowoczesnej w Instytucie Filologii Polskiej UAM.

4 Jarosław Mikołajewski – poeta, eseista, tłumacz, w latach 2006-2012 dyrektor Instytutu Polskiego w Rzymie, autor m.in. książki *Wielki przyływ i Terremoto* oraz zbioru wywiadów z Julią Hartwig *Największe szczęście, największy ból*.

5 <http://niniateka.pl/film/julia-hartwig-rozmowy-poszczególne> [dostęp: 24 marca 2018].

gancka, ascetyczna, pozbawiona ozdoby, a jednak na swój sposób ozdobna. Jest to dla mnie poezja, która nie używa niepotrzebnych słów, nie epatuje efektywnością, ale jednocześnie tych słów nie ogranicza zanadto, nie wyzbywa się samej urody słowa. Autorka *Błysków* wierzy w rytm, w muzyczność słowa, tak jak Ezra Pound, który twierdził, że „Muzyka zaczyna zanikać, gdy odchodzi za daleko od tańca, poezja zaczyna zanikać, gdy odchodzi za daleko od muzyki”⁶. Ascetyczność tej poezji nie staje się zbyt surowa. To powoduje, że jest w niej jakieś niedefiniowalne piękno, które według mnie stawia ją w zupełnie osobnej kategorii poetyckiej. Styl Julii Hartwig to styl zupełnie osobny, styl kogoś, kto część swojego życia, kiedy w Polsce panował sierpniowy ustrój, spędził poza granicami bloku wschodniego. I echa tych podróży oraz dłuższych pobyków widać, widać przebywanie w Stanach Zjednoczonych, Włoszech, a wcześniej w Paryżu – gdzie realizowała stypendium rządu francuskiego oraz pracowała w polskiej ambasadzie. Właśnie tam Julia Hartwig miała okazję obcować ze śmietanką intelektualną Europy, spotykała Jean-Paula Sartre’a, tam też poznała osobieście Pabla Picassa, przyjaciela Guillaume’a Apollinaire’a, którego monografia powstała w efekcie jej pobytu w stolicy Francji.

W 2014 roku ukazał się w Wydawnictwie Literackim drugi tom dziennika Julii Hartwig, znalazła się tam relacja z naszego spotkania: „Festiwal spotkań trwa, bo wczoraj w południe odwiedził mnie w domu młody gimnazysta, Hubert Kopacz, który zabiegał listownie o spotkanie ze mną i wykazał się w liście taką znajomością moich wierszy, że mnie to rozbroiło. Przyszedł punkt dwunasty, tak jak się umówiliśmy, i zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Smukły, poważny, trochę chmurny, ale przejęty, że spełniło się jego – jak powiedział – marzenie”⁷.

Pamiętam jedną z naszych telefonicznych rozmów, latem 2014 roku, która trwała przeszło dwie



godziny. Rozmawialiśmy o literaturze, o moich wierszach i o Marku Hłasce, który budził moją wielką fascynację w tamtym czasie, z której zresztą niebawem wyrosłem. Pamiętam, jak pani Julia powiedziała wtedy: „To był dobry pisarz. Wie pan, wydaje mi się, że on bardzo dużo dał tych rzeczy, które napisał”. To zdanie ugruntowało się we mnie, jeżeli chodzi o pisanie. Umieć drzeć, przede wszystkim umieć drzeć. Wisława Szymborska uważała, że koszt na śmieci to podstawowe narzędzie pisarskie.

Jarosław Mikołajewski napisał kiedyś: „Ludzi wyjątkowych spotyka się nie tylko po to, żeby zostawił autograf. Także po to, żeby złapać zdania, które rzucili w naszej obecności ot tak, przy okazji. To one wracają w chwili, kiedy nikt inny nie mówi”⁸. Mam kilka takich zdań pani Julii, które do mnie wracają, i tych wyrażonych w jej pracach, i tych skierowanych do mnie bezpośrednio: dała mi kiedyś radę: „Nie

wolno czytelnika zasmucać, czynić jego życia trudniejszym – niech pan pamięta te słowa Miłosza”.

To, że nasz kontakt był pewnego rodzaju dialogiem międzypokoleniowym ludzi, których pochłania pisanie, zrozumiałem zupełnie niedawno – ja wysyłałem Julii Hartwig swoje wiersze, a otrzymywałem jej tomiki, zawsze z dedykacjami. Formą mówienia o moich utworach było punktowanie tych, które uważała za bardziej lub mniej wartościowe i pomijaniu pozostałych, zapewne złych. Wiele z tych dobrze ocenianych przez nią wierszy później wyparłem, ale teraz, po czasie, kiedy do nich wracam, odnajduję pewną ich świeżość, która mogła wydać się pani Julii interesująca. Te uwagi zawarte w mailach czy odręcznych listach przechowuję dziś jak relikwie. „Drogi Panie Hubercie, dostałam więcej niż się spodziewałam: tak, to są już wiersze. Wydaje mi się, że jest Pan na dobrej drodze i już z tego co widziałam mogłabym wybrać te, które wydają mi się niemal gotowe do druku. Podoba mi się, że nie boi się Pan traktować wiersza jak wypowiedzi określonych treści i robi to Pan w sposób bezpretensjonalny, dzięki czemu wrażenie jakie odnosimy po ich lekturze jest świeże i nienujące. Najlepsze pozdrowienia – Julia Hartwig”. W innym liście, z końca 2014 roku, napisze tak: „Wiersze, które Pan przesłał, bardzo mnie ujęły. Skoro Pan nie ma odwagi wysłać ich do Kwartalnika Artystycznego, zrobię to ja. Uważam, że zasługują one na druk”. Dla mnie, bardzo młodego wtedy człowieka, takie słowa skierowane przez poetkę, którego uważałem i uważam za swego mistrza, stanowiły ogromne zobowiązanie. Do dziś czuję się przez nie zobligowany, żeby nie pisać, a przede wszystkim nie wypuszczać w świat tego, do czego nie jestem przekonany.

Latem 2015 roku zadzwoniłem i wspomniałem, że ponownie wybieram się do Warszawy, usłyszałem: „To może byśmy się spotkali?”. Umówiliśmy się, ale poetka wkrótce trafiła do szpitala. Kiedy dowiedziałem się o powrocie do domu, zadzwoniłem, ale na

pytanie pani Teresy, czy chce rozmawiać, pani Julia odpowiedziała: „Nie, nie mam siły”. Te słowa w tle były ostatnimi jej słowami, które usłyszałem. O tym czasie w życiu poetki pisze prof. Anna Legeżyńska w swoim biograficznym szkicu: „Od 2015 roku Julia Hartwig radykalnie ograniczyła kontakt ze światem zewnętrznym. Jej telefon na ogół milczał”⁹. W 2016 roku poetka wyjechała do Pensylwanii, do domu córki, Danielle Lehtinen i pozostawała w kontakcie już tylko z najbliższymi przyjaciółmi. Miesiąc przed dziewięćdziesiątymi szóstymi urodzinami Julia Hartwig odeszła we śnie, kończąc długie, barwne, ale i wypełnione bólem życie.

Drugi i ostatni raz spotkaliśmy się 13 września 2017 roku, gdy urna z prochami poetki wróciła do ukochanego przez nią miasta i spoczęła obok jej wybitnego męża – Artura Międzyrzeckiego. W drodze do kościoła Karola Boromeusza na Powązkach minąłem Jarosława Mikołajewskiego, spojrzeliśmy sobie w oczy i usłyszałem: „Dzień dobry”. Dwoje nieznanących się ludzi, których łączyła wspólna znajomość. Jakbyśmy wyczuli, że z tej racji i nas coś łączy.

Jest takie zdanie Julii Hartwig: „W momencie, kiedy już nie będę chciała pisać, nie chciałabym już żyć”¹⁰. Mam nadzieję, że to się pani spełniło.

Pani Hubercie Kopaczowi
na najbliższe spotkanie
5 marca 2013
Włocławek

Post Scriptum. Kiedy kończyłem pisać ten esej, nadszedł list z Pensylwanii od córki Julii Hartwig, Danielle Lehtinen, a w nim wysłuszony obrazek Jasnogórskiej Madonny z biurka pani Julii oraz słowa: „Niech pana chroni!”.

6 <http://booklips.pl/zestawienia/22-pisarzy-probuje-zdefiniowac-czym-jest-poezja/> [dostęp: 16 kwietnia 2018].

7 J. Hartwig, *Dziennik*, t. 2, Kraków 2014, s. 380.

8 http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,18174245,Zdanie_Wislawy__Sie_zyje__Mimo_wszystko.html [dostęp: 23 marca 2018].

9 A. Legeżyńska, *Julia Hartwig. Wdzięczność*, Łódź 2017, s. 218.

10 <http://ninateka.pl/film/julia-hartwig-rozmowy-poszczególne> [dostęp: 24 marca 2018].

O pisaniu

Kto zawyrokował, że trzeba pisać tylko wtedy, gdy się ma coś do powiedzenia? Przecież sztuka na tym właśnie polega, że nie pisze się tego, co się ma do powiedzenia, tylko coś zgoła nieprzewidzianego.

Witold Gombrowicz

Zgadzam się z poglądem Gombrowicza na temat pisania. Piszę wtedy, gdy mam ochotę pomilczeć. Pisanie jest fascynującym spotkaniem ze samym sobą. Być może na pozór brzmi to dość egoistycznie, a może nawet narcystycznie, ale odrobina egoizmu i narcyzmu jest wręcz konieczna, by twórca mógł być twórcą. Szczególną satysfakcję sprawia mi pisanie obrazami. Najpierw w moim umyśle rodzą się obrazy, symboliczne atrybuty tego, co czuje dusza. To niezwykle kreatywne zajęcie. Trzeba je jednak precedzić przez sito słów, by móc je utrwalić za pomocą pisma. Ten proces jest mniej fascynujący, by nie powiedzieć nudny. Przypomina to trochę żmudną pracę kręcenia filmu z tą różnicą, że kręcąc film, reżyser wycina nieudane, jego zdaniem, zdjęcia, zaś pisarz skreśla źle dobrane wyrazy. Hitchcock powiedział w jednym z wywiadów: „[...] filmowanie jest najnudniejszą częścią procesu twórczego, ponieważ w głowie już go nakręciłem”. Z tekstem jest podobnie. Pisarz zwykle ma gotowy tekst w głowie, problem polega na tym, że jedynym, znanym nam sposobem na to, by go z tej głowy wydobyć, jest zapisanie go. I tu pojawia się problem, ponieważ o ile opisanie miejsca lub czyjegoś wyglądu jest względnie wykonalne, to jak za pomocą abstraktów, którymi są słowa, wyrazić uczucia i stany emocjonalne, towarzyszące treści? Czy jest to w ogóle możliwe? Czy możliwe jest opisanie przeżyć człowieka w taki sposób, by czytelnik, czyta-

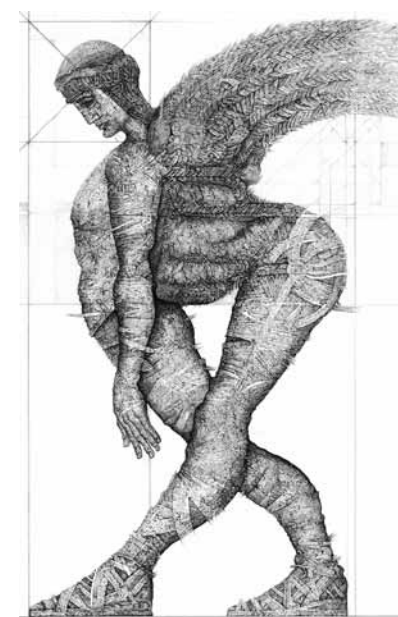
jąc tekst, mógł doznawać tego, o czym czyta? Jak słowami wyrazić złożoną emocjonalność człowieka? Jak zachować przy tym wrażenie autentyczności? Jakich słów użyć, by czytelnik, odtwarzając je w swoim umyśle, mógł doznawać?

Doznawanie. Myślę, że sukcesywnie zapominamy o tym, by doznawać. Poddajemy dzieła literackie analizie, interpretacji, a zapominamy o ich doznawaniu. A przecież to jest istotą literatury – doznawanie. Pisarzowi, w procesie tworzenia tekstu, nieustannie towarzyszy doznawanie. Autor najpierw doznaje tego, o czym wtórnice chce napisać. Im głębsze doznawanie, tym bardziej autentyczny przekaz. Taki rodzaj literatury – natchnioniej – pozostaje w pamięci czytelników, bo oni czytając tekst, mogli go doznawać, mogli go przeżywać, niemal fizycznie doświadczając, odczuwając wszelkie opisane emocje i uczucia. Nad brakiem doświadczania w literaturze ubolewał żyjący i tworzący w XX wieku John Williams, który w swojej książce *Profesor Stoner* narzekał na zmiany w sposobie wykładania literatury oraz kształtowania stosunku do tekstu, jakby powieść lub wiersz należało studiować i zrozumieć raczej niż ich doznawać. Przywykliśmy do klasyfikowania wszelkiej twórczości jakby wyodrębnianie cech typowych czyniło z tekstu dzieło. Przez to nasze działania, nasze, czyli pisarzy i krytyków, stają się jednostajne aż do ogłupienia. Już Szestow wywnioskował, że „[...] wszyscy boją się zniszczyć ową ogłupiającą jednostajność, jak gdyby kryło się w niej źródło nadzwyczajnej radości” (L. Szestow, *Kierkegaard i filozofia egzystencjalna*). A przecież ten, kto zajmuje się tworzeniem literatury, powinien mieć odwagę mówienia tego, co chce i w taki sposób, jaki chce. Tymczasem czym zajmuje się większość współczesnych pisarzy? Tworzą światopoglądy i mają przekonanie, że zajmują się czymś

niezwykle ważnym. Owa ważność, nie doświadczanie, jest istotą ich tworzenia. Być może dostarczają w ten sposób czytelnikowi pewnej rozrywki intelektualnej, ale tym samym odbierają mu źródło prawdziwego doświadczania, odzierając go z uczuć i emocji. Sam twórca zaś nie pozwala sobie na przeżywanie, na smakowanie życia, na rozkoszowanie się procesem tworzenia. W efekcie przyjemność tworzenia zostaje zastąpiona przez ważność, a samo pisanie, jak mawiał Gombrowicz, staje się „[...] walką, jaką toczy artysta z ludźmi o własną wybitność” (W. Gombrowicz, *Dzienniki 1953-1956*). O wolności w tworzeniu pisał Nikos Kazantzakis. Główny bohater jego książki – Zorba nieustannie i świadomie przeżywający swoje życie, zapytany, czemu nie opisz tych wszystkich cudów świata, odpowiedział: „Po prostu dlatego, że ja przeżywam te wszystkie cuda [...] i nie mam czasu na bazgraninę. [...] Gdzie znaleźć czas, by chwycić za to kretyńskie pióro? Zresztą cała sprawa dostała się w ręce gryziopiórków. Ci, co przeżywają dziwy, nie mają czasu, a ci, co mają czas, nie przeżywają nic” (N. Kazantzakis, *Grek Zorba*). Nastął czas gryziopiórków. Nastął czas ważności. Nastął czas wybitności. Jest to problem społeczeństw, które osiągnęły już pewien stopień bogacenia się. Pisząc „pewien”, mam na myśli, że nie są już biedni i nie muszą pracować wyłącznie rękoma, fizycznie, dlatego też oddają się innej aktywności,

np. pisaniu. Nie są jednak na tyle bogaci, by mieć komfort doświadczania. Dlatego w naszym społeczeństwie pisze niemal każdy: celebryta, gwiazda show biznesu, przedsiębiorca, podróżnik i wszyscy oni nazywają siebie pisarzami. Tematów jest nieskończenie wiele. O wszystkim można pisać, ba, można nawet samemu wydać swoją książkę. Potem te stosy zapisanych kartek piętrzą się na półkach, smutniejszych od cmentarzy, bo po chwili nikt już o nich nie pamięta, nawet ten, kto zadał sobie trud ich przeczytania. „Kultura tonie w masie produkcji, w lawinie pism, w szaleństwie ilości. Dlatego [...] jedna zakazana książka [...] znaczy nieskończenie więcej niż miliardy słów, które z siebie wyrzucają [...]” (M. Kundera, *Niezdolność lekkość bytu*) tak zwani pisarze.

Jednak, mając na uwadze potrzebę kreacji, która jest wpisana w naturę człowieka, dla czego mielibyśmy uzurpować sobie prawo do przesądzania o tym, kto powinien pisać, a kto nie? Wszak mówienie o twórcy, a więc także o pisarzu, sprowadza się do obnażania ukrytej w jego dziełach tendencji. To dość bolesna operacja. Dlatego zgadzam się z Szestowem, że przeprowadzanie takiej operacji na żywym człowieku bynajmniej nie zawsze wydaje się dopuszczalne. Zatem pozwólmy ludziom pisać, a ocenę efektów ich twórczości pozostawmy samym czytelnikom.



Arnulfo Briceño: wszechstronny kompozytor i kolumbijski folklor

Arnulfo Briceño Contreras (Villa Sucre, Kolumbia, 1938 – Tame, Kolumbia, 1989) – kolumbijski kompozytor i wykonawca muzyki folklorystycznej. Z wykształcenia prawnik i pedagog muzyczny; specjalizował się w ochronie praw autorskich artystów. Laureat licznych nagród muzycznych krajowych i międzynarodowych. Odbił wiele tras koncertowych po krajach Ameryki oraz po Europie. W 1978 roku w ramach jednej z nich odwiedził Warszawę.

Kolumbijska muzyka, kojarząca się głównie z folklorem, a to o nim będzie tu mowa, nie jest dobrze znana w naszym kraju. Tymczasem w tym roku przypada osiemdziesiąta rocznica urodzin jednego z najwybitniejszych kolumbijskich kompozytorów i wykonawców muzyki folklorystycznej – Arnulfo Briceño. Warto przybliżyć tę niezwykle wszechstronną postać oraz jej twórczość, także ze względu na inspiracje kompozytora Europą oraz krótki polski wątek pojawiający się w jego biografii.

Arnulfo Briceño Contreras urodził się w 1938 roku w Villa Sucre, w departamencie Norte de Santander na północy Kolumbii. Był synem stolarza i muzycznym samoukiem: bardzo wcześnie nauczył się grać na gitarze, a już jako kilkunastolatek występował w zespole grającym *vallenato*, muzykę pochodzącą z regionu karaibskiego Kolumbii, w której dominującym instrumentem jest akordeon. Zespół, którego twórcą był Alfredo Gutiérrez, uznawany obecnie za jednego z najwybitniejszych

kolumbijskich akordeonistów, zaczął wkrótce występować w telewizji i radiu, co dało początek karierze Arnulfo Briceño. Z pierwszego wykształcenia był on jednak prawnikiem i specjalizował się w ochronie praw autorskich artystów. Studia muzyczne (które ukończył na kierunku wychowanie muzyczne, co wskazuje na jego zainteresowania także pedagogiką) postanowił rozpocząć dopiero dużo później, będąc już znanym kompozytorem, aby móc wzbogacić swe utwory i doskonalić aranżacje. Jest autorem m.in. Mszy G-dur na chór, która została wykonana w 1986 roku z okazji wizyty w Kolumbii papieża Jana Pawła II.

Najbardziej znany jest jednak z muzyki folklorystycznej. Teksty jego utworów mają dużą wartość literacką, dzięki czemu w połączeniu z piękną barwą głosu, doskonałą dykcją i wysoką kulturą słowa artysty powstały piosenki, do których warto sięgać także w dzisiejszych czasach, choć sposób postrzegania niektórych elementów tradycji i kultury może się już dziś wydawać nieco przebrzmiały. Arnulfo Briceño poświęcił znaczną część swej kariery muzycznej folklorowi regionu Llanos Orientales – równinnych, podmokłych terenów na wschodzie kraju, w dorzeczu Orinoko, na których dominuje tradycyjna gospodarka, przede wszystkim hodowla bydła, a zatem i konserwatywna mentalność, co nie umniejsza jednak w żaden sposób wysokich walorów artystycznych muzyki tego obszaru oraz jego znaczenia dla historii kraju. O nim właśnie mowa

w najśłynniejszej piosence Arnulfo Briceño, *Ay, mi llanura*, której tłumaczenie publikujemy. Utwór od 1979 roku jest oficjalnym hymnem przynależącego do *llanos* departamentu Meta i nawiązuje do roli, jaką *llaneros* – hodowcy bydła, odpowiednik północnoamerykańskich kowbojów czy argentyńskich *gauchos* – odegrali w walce o niepodległość Kolumbii. Hodowla bydła była istotna w tym rejonie już w XVII wieku, a pierwsi *llaneros* prowadzili wędrowny tryb życia, przemieszczając się pomiędzy ranczami, na których byli potrzebni do pracy. Trudne warunki życia, ciężka fizyczna praca, nieprzyjazna dla człowieka roślinność, konieczność życia w sposób, na jaki pozwalały warunki przyrody – to wszystko wykształciło ludzi postrzeganych w zbiorowym wyobrażeniu jako odważnych i o ogromnym poczuciu wolności i przynależności zarówno do małej ojczyzny, *llanos*, jak i tej w szerszym rozumieniu.

Llaneros zasłynęli odwagą podczas wielu bitew kampanii wyzwolenczej Simona Bolívara w 1819 roku 25 lipca tego właśnie roku, podczas bitwy pod Pantano de Vargas przeciwko rojalistom, Bolívar, widząc przewagę przeciwnika, wypowiedział słynne zdanie, skierowane do pułkownika Juana José Rondona: „Pułkowniku, niech pan ratuje ojczyznę!”. Rondón sięgnął po ostatnie rezerwy i na jego okrzyk: „Kto odważny, za mną!” zgłosiło się czternastu ochotników spośród lekkiej kawalerii złożonej z *llaneros* zbrojnych w lance (*lanceros*). Po ich ataku do bitwy dołączyli pozostali *llaneros*, co przechyliło szalę zwycięstwa na stronę walczących o niepodległość. Dwanaście dni później doszło do decydującej bitwy kampanii wyzwolenczej – bitwy nad rzeką Boyacá. To dzięki mieszkańcom *llanos* osłabionemu już i źle uzbrojonemu wojsku boliwariańskiemu udało się pokonać lepiej wyposażony oddział usiłujący utrzymać się przy władzy rojalistów. Dobrze znający teren *llaneros* zniechcątko otoczyli straż przednią przeciwnika i pokonali dwa jego pododdziały, co wywołało chaos w szeregach rojalistów i umożliwiło zwycięstwo Simona Bolívara. Do tych wydarzeń, jak również do specyfiki i piękna krajobrazu *llanos*, nawiązuje Arnulfo Briceño w piosence *Ay, mi llanura*.

Druga piosenka kompozytora, której przekład publikujemy, *Los girasoles*, różni się swym charakterem od poprzednich. Została ona zainspirowana podróżą Arnulfo Briceño do Europy w 1978 roku w ramach trasy koncertowej wraz z zespołem Soni Osorio – tancerki i choreografki, której założony w 1960 roku i działający po dziś dzień Ballet de Colombia wykonuje tradycyjne folklorystyczne tańce kolumbijskie. Podczas wspomnianej trasy koncertowej Arnulfo Briceño, poza Hiszpanią, Francją czy Niemcami, odwiedził m.in. Warszawę, a także ówczesny Związek Radziecki. To właśnie z tym ostatnim krajem wiąże się historia piosenki *Los girasoles*. Kompozytor napisał ją już po powrocie do Kolumbii i zadeedykował kobiecie, która zakochała się w nim podczas jego pobytu w Rosji – uczucie oczywiście nie mogło zostać odwzajemnione. Inspirację Europą widać tutaj w odniesieniach do pór roku, niemal nieistniejących w Kolumbii ze względu na całkowicie odmienne warunki klimatyczne. Jednocześnie nie sposób nie zauważyć podobieństwa do motywów z węgierskiej operetki *Skowronek* z 1918 roku autorstwa Franza Lehára. Opowiada ona o wiejskiej dziewczynie, która ulega załotom pewnego artysty i zgadza się wyjechać z nim do miasta, jednakże ostatecznie zostaje przez niego porzucona i powraca na wieś, do dawnego narzeczonego, „tam, gdzie skowronek śpiewa” – wyprowadzając się z miasta, zabiera ze sobą klatkę ze skowronkiem.

O ile w przypadku operetki *Skowronek* wydaje się wskazywać raczej na szczęśliwe zakończenie (przypomnijmy, że w wyobrażeniu europejskim skowronek kojarzy się z radością, gdyż jego śpiew zapowiada nadjeście wiosny), to w piosence Arnulfo Briceño symbolizuje wędrowne życie (jak pierwszych *llaneros*...) i chwilowe, ulotne szczęście. Ulotne jak same koleje losu kompozytora, postaci uniwersalnej jako znawcy różnych kultur i gatunków muzycznych, a zarazem lokalnej – zawsze oddanej muzyce i historii ukochanych równin. W 1989 roku zginął on w katastrofie samolotu w gminie Tame w Arauca, jednym z departamentów *llanos*, gdzie miał wykonać hymn gminy z okazji 170. rocznicy kampanii wyzwolenczej. Jak śpiewał w innej swojej piosence, *Canta llano*: „moje serce pozostało na równinie”.

Ach, ma równino

Śpiewa *llanero*,
gdy wśród równin galopując
jak majestatyczny centaur,
spotyka naprzeciw szczygła.

Ach, ma równino!
Czarze zielony
tam, gdzie lazurowe niebo
z ziemią zlewa się w oddali
na bezkresnym horyzoncie!

Ciebie o świcie
całuje słońce,
a nad rzeką sponad drzew
siwe czaple tną powietrze
pośród palm poszeptujące
cichy o wolności śpiew.

Ach, ma równino!
Jak czysty szmaragd
jest twe krystaliczne niebo.
O twoim pięknie
śpiewa *llanero*,
gdy wśród równin galopując
jak majestatyczny centaur,
spotyka naprzeciw szczygła.

Ach, ma równino!
Gwiazd niezliczoność
czuwa nad ciszą twych nocy
jak rozmięgotane broszki
na tkaninie z twej gładkości.
Jesteś milcząca,
gdy kochankowie
wyznają ci swe miłość
w wersów najczulszych bezmiarze.
Wśród płomiennej pasji rosa
składa pocafunek kwiatom.

Ach, ma równino!
Ojczyzna cała

szlachetnością twą się szczyli.
Ty swą odwagą
natchnąłś dusze
tych, co wszystko z siebie dali,
aby ujrzeć ją zwycięską,
dumną, wielką, suwerenną.
Wielką, suwerenną!

Słoneczniki

Kiedyś ujrzała go, jak w wielką rusza dal.
Lodem jej serce ściął ten pożegnania żal,
przejmujący smutek i samotności chłód.
Z zimna usychając, ciągle mówiła tak:

ach, do mnie wróć, ach, do mnie wróć!
Smuć się słoneczniki, bo nie ma cię tu.
Ach, do mnie wróć, ach, do mnie wróć!
Zima targa mą duszą, bez ciebie jest chłód.

On jak wino, ona – jak w lecie pszenica.
Czemu los ich złączył – oto tajemnica.
On lotnym skowronkiem i wędrownym ptakiem,
granic nie uznawał i stronił od klatek.

Ach, do mnie wróć, ach, do mnie wróć!
Smuć się słoneczniki, bo nie ma cię tu.
Ach, do mnie wróć, ach, do mnie wróć!
Zima targa mą duszą, bez ciebie jest chłód.

On wino pił do dna, aż zgasił pragnienie,
do innej winnicy odszedł za przygodą.
W niej została pustka, na wiatr spoglądała,
z pszenicą splątana, ale już dojrzała.

Ach, do mnie wróć, ach, do mnie wróć!
Smuć się słoneczniki, bo nie ma cię tu.
Ach, do mnie wróć, ach, do mnie wróć!
Zima targa mą duszą, bez ciebie jest chłód.

Wojciech Śmigielski

Komentarz do nieodbytego wieczoru autorskiego

Rzadko decyduję się na spotkania autorskie. Za bardzo mnie psychicznie wyczerpują. Wydawać by się mogło, że nic prostszego nad rozmowę z czytelnikiem. W istocie są to zapasy, nie lada jakie! Żeby to jeszcze mieć gwarancję, że przyjdą tacy, którzy zechcą porozmawiać o książce. Ale gdzież tam! Przychodzą ludzie złąkieni pocieszania. To ci najwierniejsi czytelnicy niekoniecznie moich książek, którym świat się rozsypał, a poeta zawsze go za nich układał. Oni są cisi, uważnie słuchają, tylko czasem ktoś podniesie palec, by sprawdzić, czy jeszcze potrafi. Poeta jest dla nich synonimem człowieka, który wszystkiego doświadcza w sposób najbardziej osobisty, a jednocześnie pozostaje cały czas synem „wielkiej rodziny ludzkiej” i jeszcze można go dotknąć. I właśnie ten dotyk mnie najbardziej zatrzymał! Chciałbym się wówczas schronić najgłębiej, jak potrafię, bo publiczne zagłębienie do duszy wcale mi nie jest miłe. Najlepiej być wtedy listkiem brzozy, który czeka na deszcz i wszystko inne nie jest ważne. Ale oni, choć wcale tego nie manifestują, domagają się, w milczeniu, hierarchii w ocenie zjawisk. Bo wszelka rzeczywistość jest po prostu hierarchiczna. Lecz tutaj jednak nie może być łatwej zgody. Nawet poeta może mieć wątpliwości, co jest najważniejsze. Tym bardziej, że dzisiaj, jak nigdy dotąd, oczywista jest kruchość wszystkiego, w tym i rozpad hierarchii. A ja chciałbym mówić tylko o sobie, cały czas mając jednak nadzieję, że mój osobisty lament jest odpowiedzią

na beznadziejną sytuację, w jakiej znalazła się cała gmina, mój zakątek świata.

Biorąc to wszystko pod uwagę, ale także to, że przepowiednie pisarzy czasem się sprawdzają, spróbuję odpowiedzieć na pytania, które mogłyby mi zadać czytelnicy, gdyby wieczór autorski doszedł do skutku. A pretekstem do całej wypowiedzi niech będzie okoliczność wydania nowej książki*, która może być powodem przemyślenia na nowo, tego wszystkiego, czym jest literatura, zajęcie pisarskie i tajemnica poetyckiego powołania. Poeta nigdy nie może całkowicie się oderwać od tej małej gry dominacji i poniżenia, ale też jego zabiegi nie prowadzą wyłącznie do skupienia uwagi na samym sobie. On tylko wtedy ma prawo przemawiania publicznie, gdy wierzy, że świat będzie zbawiony przez piękno. Wierząc w to głęboko, chciałbym się usprawiedliwić z wydania kolejnej książki, która się odnosi do naszego dziedzictwa, jakim jest pamięć, czyli historia. Historia indywidualna, ale i zbiorowa. To pod jej naciskiem dopiero może objawić się wymiar czasu i każdej rzeczy przez nas widzianej albo dotykanej.

Dziedzictwo klasycyzmu przybiera stale nowe, nieraz trudne do nazwania formy. Nie mam do tego procesu stosunku jednoznacznego, ale jestem przekonany, że nie można go odesłać w bezpowrotną przeszłość. Mój bohater tytułowy – Marsjasz, to pierwotnie bożek frygijski, patron miasta Kelajnaj. Przypisywano mu wynalezienie aulosu i gry na tym egzotycznym instrumencie. W mitologii greckiej repre-

* Skrzypce Marsjasza, Zielona Góra 2000

zentował muzykę frygijską, która słyneła z wykorzystywania instrumentów dętych, w przeciwieństwie do greckiej, której domeną były instrumenty strunowe. Według podania ateńskiego wynalazczynią aulosu była jednak Atena. Ale ponieważ gra na tym instrumencie szpeciła jej twarz, nadymane policzki pozbawiały subtelności jej oblicze – odrzuciła go. Marsjasz zaledwie go podniósł i nowy zrobił z niego użytek. Nie to jest jednak najważniejsze. Ważniejsza jest przypowieść o tym, jak tendencje helleńskie walczyły z kulturalnymi wpływami ze Wschodu. Przypowieść opisuje, jak Marsjasz swą grą na aulosie współzawodniczył z Apollinem, grającym na kitarze. Mityczna historia przyznaje zwycięstwo Apollinowi, który pokonanego Marsjasza, za karę, że ośmielił się mierzyć z bogiem, przywiązał do drzewa i kazał obdrzeć ze skóry. Tyle mówi o Marsjaszu mitologia.

Ten mityczny pojedynek stał się później inspiracją do wielu utworów artystycznych, wszystkie one dotyczyły istoty sztuki. Były to głównie utwory literackie, ale i dzieła malarskie. Mord dokonany na muzyku stał się podstawą refleksji etycznej, ale i estetycznej. Wszak pojedynek Marsjasza i Apollina to konfrontacja dwóch rodzajów sztuki. Apollin – klasyk i parnasista, jest po jednej stronie szafy, a obdierany ze skóry Marsjasz, który wrzeszczy z bólu – po drugiej. Widownia obserwująca pojedynek chłonie oba dźwięki, ona ma zdecydować, który z nich jest bardziej prawdziwy. Krzyk Marsjasza czy muzyka Apollina, która ów krzyk chce zagłuszyć. W finale pojedynku Apollin odchodzi, świadom swojej klęski. Sztuka czysta unicestwiona została przez prawdę bólu. A ból człowieka wstrząsnął nawet naturą – skonał słowik i drzewo osiwiło. Apollin stał się tym samym bogiem pięknego pozoru, bo chciał upiększyć rzeczywistość, a wrzask rozsadził niewzruszone zasady jego sztuki. Nie udało mu się zagrać krzyku Mar-

sjasza, bowiem granice sztuki wyznacza osobiste doświadczenie. Poeta – świadek i uczestnik odkrywa ciągle nowe wymiary rzeczywistości tylko poprzez bezpośrednie doświadczenie. Takie jest również moje mniemanie. Trzeba zachować takt i umiar, bo własnym krzykiem nie odda się bólu Marsjasza. Nie można się wszak dostać do wnętrza drugiego człowieka i utożsamić z konającym. Dla artysty pozostaje wyobrażenie. Sztuka może być zatem też tylko wyobrażeniem.

W tej sytuacji artysta współczesny ma trzy wyjścia. Może zamilczeć, przeklinając bezsilność sztuki! To nie jest jednak żadne wyjście. Może również krzyczeć, wierząc, że krzykiem odda cierpienie zakatowanych. Tak bardzo długo postępował Tadeusz Rózewicz. Można wreszcie z umiarem i spokojem mówić wyłącznie o własnych wrażeniach, nie przekraczając własnych wrażeń, bo ich przekroczenie to zdrada poetyckiego poznania. Najwyraźniejszym przykładem tej postawy jest twórczość Zbigniewa Herberta. Ta trzecia droga i mnie jest najbliższa.

Muszę jeszcze wyjaśnić drugi człon tytułu książki. Dlaczego skrzypce, a nie aulos czy uwspółcześniony obój? Otóż skrzypce są dla mnie metonimią muzyki w ogóle. Nie aulos ani obój, i to nimi chciałem podkreślić obecność pierwiastka muzycznego w książce. Paganini natomiast jest dla mnie najbardziej żywiołowym instrumentalistą wszech czasów. Jego żywioł i temperament jest porównywalny do dynamiki muzyków kapel rokowych.

Muzyka jest obecna w całym tomie. W istocie przecież poezja bierze swój początek od melodii. Lira akompaniowała jej od samego zarania, a meliczność jest jej cechą i w naszych czasach. Wiele tych utworów, a może wszystkie, są do śpiewania.

maj 2000 – maj 2001

Piotr Gulewski

Light novel

Light novel jest stylem japońskiej powieści współczesnej. Charakteryzuje się on głównie obecnością ilustracji w stylu anime/manga oraz podziałem na tomy (średnio 50 tysięcy słów każdy) lub odcinkową publikacją w czasopiśmie takich jak „Faust”, „Gekkan Dragon Magazine”, „The Sneaker” czy „Dengeki hp”.

Za początek tego zjawiska uznaje się powstanie w 1975 roku wydawnictwa Sonorama Bunko, gdzie debiutowali pisarze tacy jak Baku Yumemakura. W późniejszych latach styl ten zyskiwał na popularności, zwłaszcza wśród młodych czytelników. Przełomowym dla tzw. lekkich powieści był rok 2006, kiedy sukces zaadaptowanej na anime serii *Haruhi Suzumiya* autorstwa Nagaru Tanigawy wpłynął na rozwój light noveli także poza granicami Japonii.

Aktualnie za główną grupę docelową tego typu powieści uważa się młodzież szkolną oraz „młodych dorosłych”, jednak większość light noveli może zainteresować też i starszych czytelników. Dzięki nim można dowiedzieć się wiele o współczesnej kulturze krajów azjatyckich, ich zwyczajach oraz mentalności mieszkających tam ludzi. Nawet gdy świat przedstawiony jest w pełni fikcyjny, panujące w nim wzorce zachowań są oparte na japońskich.

Light novele cieszą się dużym powodzeniem w innych mediach. Bardzo często są one adaptowane nie tylko na mangę i anime, ale także i na gry oraz filmy aktorskie. Jednym z najgłośniejszych z tych ostatnich jest *Na skraju jutra* z 2014 roku (w rolach głównych Tom Cruise i Emily Blunt), oparty na dwutomowym *All You Need Is Kill* Hiroshi Sakurazaki.

Rynek lekkich powieści stopniowo rozwija się także i w Polsce. Po powodzeniu sprowadzonej przez wydawnictwo Kotori na nasze ziemie serii *Sword Art Online* (autor: Reki Kawahara) liczba nowych tytułów w języku polskim regularnie rośnie. *Durara!!*, *Re: Zero kara Hajimeru Isekai Seikatsu*, *Fate/Zero* i kilka innych rozpoznawalnych marek to stan z końca 2017 roku. W Polsce kultura „anime” nadal raczkuje i niekiedy bywa pogardliwie uważana za „chińskie bajki”, więc z perspektywy finansowej wydawanie light novel może być dość ryzykownym przedsięwzięciem. Pomimo tego, jak pokazują zebrane przez portal Polskie Light Novel dane statystyczne*, liczba nowych tomów z roku na rok stale rośnie, co świadczy o wzroście zainteresowania tym typem literatury.



* <http://lightnovel.pl/analiza-polskiego-ryнку-light-novel-2017/> [dostęp: 31 lipca 2018].

RECENZJE I OMÓWIENIA

Piękne z bólu ocalenie

Barbara Konarska, *Słodycz imbiru*, Związek Literatów Polskich. Oddział, Zielona Góra 2018, 72 s.

Przed jednym ze spotkań autorskich zapytałam Barbarę, jak daleko możemy pójść w rozmowie o śmierci. Bez ograniczeń – odpowiedziała poetka, zalotnie pochylając głowę (co oczywiście nie ułatwiło sprawy). Zatem spróbuję napisać o jej wierszach uczciwie i bez uników, nie tyle oceniając ich literacką wartość (choć uważam, że są dużo lepsze niż te z początku drogi twórczej), co przyglądając się naprzemiennej historii bólu i zachwytu, na jaką się składają. Trzeba zauważyć, że obraz nieuleczalnej choroby ma w tym przypadku wymiar zarówno egzystencjalny, jak i artystyczny. Słowa wynikają wprost z cielesności. I gwarantuję ocalenie dzięki swojej naturze. Jedno jest pewne: choroba nie jest tu chwytem poetyckim ani fantazmatem, a rozmyślanie o śmierci nie wynika tylko z zaplecza intelektualnego. Liryczne „ja” to w pełni Barbara Konarska, dlatego właściwa będzie w tym przypadku analiza biograficzna.

Poetka usłyszała diagnozę w 2011 roku. Jej debiut (*Ocalone śmy, czyli moje wędrowanie*) ukazał się nieco wcześniej, bo w 2009 roku. Już wtedy pojawiały się fragmenty świadczące o potężnym bólu: „Z krzyżem pokutnym kręgosłupa/ szukam drogi” i nieco dalej: „Szumny ból kuli się” (*moja ostatnia góra*). Każda z kolejnych książek (*Malowanka jesienna*, *Osty w fioletoch*, *Jestem*, *Niesyta czasu*, *Czy życie musi boleć?*) była pogłębianiem tematu rozpoznanej choroby. To ona stała się dramatyczną ramą tych wierszy. W literaturze taką formę opisów nazywa się czasem patografią (gr. *pathos* – choroba,

graphien – pisanie). Ale w przypadku Basi, to pisanie wykraczało poza jej prywatne doświadczenie bólu. Do raka porównywała ona każdy przejaw zła: „nie-nawieść rozpełza się niczym rak” (*Fiat voluntas tua*).

Wydaje się to dosyć normalne, że boimy się dotykać tematu umierania. Stanowi ono obszar tabuizacji. Czujemy, że mówiąc o nim, przekraczamy pewne granice przyzwoitości. Unikamy osób noszących (co raz rzadziej) żałobę. Geoffrey Gorer stwierdził nawet, że śmierć jest pornograficzna – w sensie: wstydliva, zakazana. Być może perwersyjna jak żucie imbiru, porównane w tytułowym wierszu do przygryzania warg przy pocałunku. Dlatego współczesny świat (w którym dominuje kult nieśmiertelności) najchętniej urządziłby „wygnanie zmarłych” – o którym pisze Jean Baudrillard – ale przecież jest to niemożliwe.

Na spotkaniu autorskim w wilkanowskim Ogrodzie Sztuk wiersze Basi interpretowała Lidia Kurzawa. Mam wrażenie, że wszyscy poza autorką byli na pograniczu zasmucenia i zawstydzenia. Boimy się pożegnać. Zresztą nikt głośno tego tak nie nazwał. Ale czuć było podskórnie, że Basia chce nas poprzez te wiersze przygotować i czegoś nauczyć. Dla mnie jest to lekcja świadomego i szlachetnego odchodzenia – sztuki na kształt *ars moriendi*.

Tomik Barbary Konarskiej *Słodycz imbiru*, zredagowany starannie przez Eugeniusza Kurzawę, to sposób na odwiązywanie się od oczekiwań, planów, samej siebie. A więc uwalnianie. Różnie się ono odbywa. Niekiedy jest to przechodzenie przez pustynię,

bezkresny pesymizm, miejsce, w którym istnieją niezrozumiałe prawa („w chwili najbardziej samotnej/pragnę zamknięcia w kokonie snu/by ukołysał duszę smutną aż do śmierci”, *Chwila samotności*). Zdarza się też, że przebija z tych tekstów nadzieja („Może to będzie piękne z bólu ocalenie?”, *Tanatos*), absolutna akceptacja wszystkiego, co się wydarza, praktyka uważności i ćwiczenie obserwacji siebie. Poetka próbuje się zachwycać resztkami życia. Wiersz *Dykatura choroby* jest tylko w pierwszej części pieśnią pochwalną o świecie. Nieco dalej wybrzmiewa głęboka tęsknota za niedostępnością lasu, widokiem księżyca. Od bólu nie ocala jednak magia codzienności (*Tanatos*). Poetka mozolnie skleja fragmenty mozaiki, choć „wzór zagubił się dawno/a może go nigdy nie było” (***) „w kręgu lampy...”). Podejmuje próbę ostatniego uporządkowania rzeczywistości. Prawie przy każdym wierszu umieszcza datę. Pyta o sens bólu, ale go nie uwzniośla: „Czy mózg umierający ostatnim przebyśkiem/ przywróci sens maksymie: per aspera ad astra?”.

Zawiesza aksjologię cierpienia, bo może ono przyjąć różne formy i prowadzić do odmiennych postaw (niekoniecznie lepszych). Ustawia je po stronie życia, a nie śmierci. Nie jest typem romantyki, dla której zdrowie jest zbyt banalne i proste, i która nadawałaby umieraniu status niezwykłości, uduchowienia. Choroba nie jest przedmiotem sublimacji.

Białowłosa wielokrotnie podejmuje próbę wyobrażenia sobie pośmiertnej wędrówki. Tę podróż porównuje do spadania w lodową szczelinę, w beczas (*Interludium w beczasie*), do lotu poprzez lekką mgiełkę (***) „Wyobrazić sobie śmierć...”), do tonięcia łodzi (***) „Łódeczki uśmiechów...”). W tomiku pt. *Jestem* dominowała perspektywa kosmiczna. Czytaliśmy: „szukaj w sobie gwiazdowego wezwania do lotu”. Także i tym razem Basia wykracza poza ziemski horyzont. Choć w sprawie duszy wypowiada się niepewnie:

Co z duszą? Nie znam jej we mnie.

Tylko słoneczny spokój na łące dzieciństwa
szemrze echem jedności wszechświata
ze mną.

To przecucie pełni odczuwane było już w poprzednich książkach (*Jestem*, *Niesyta czasu*). Wyrażało się raczej zachwytem i miłością do (wszech)-świata, nawet jakimś religijnym stanem panteizmu:

Aktem strzelistym świerków
Błagam o łaskę powrotów.

Milczy góra
(moja ostatnia góra, [w:] *Ocalone śmy...*)

Podstawowym miejscem, które pojawia się we wszystkich tomikach Basi, są góry. To w ich krajobrazie wplata ona swoją opowieść o życiu i wędrówce. Służą też one metaforyzowaniu zmagania ze sobą i chorobą: „jakże wielka jest moja wędrówka/ z doliny na szczyt i znów ku dolinie” (*od siebie ku sobie*, [w:] *Ocalone śmy...*). Wizerunek jej osoby też był na wskroś wędrówny: spakowana w mały plecak i zawsze uśmiechnięta, pełna optymizmu. Gotowa wyruszyć.

Wiersze o cierpieniu i śmierci są dopełniane w *Słodycz imbiru* czułymi i wzruszającymi tekstami na temat macierzyństwa i relacji z najbliższymi. Pokazują one koło życia i są elementem rozumienia „mozaiki”. Barbara umieszcza życie ludzkie jako interwał pomiędzy „częściami misterium beczasu” (*Interludium w beczasie*). „Beczcas” to jej określenie na trudny do wyobrażenia stan istniejący przed narodzinami i po śmierci. W tym przypadku przedrostek „bez” nie musi oznaczać braku w sensie negatywnym, ale wieczność, nieprzemijalność, stałość. Może Boga? Bo przecież znaczenie misterium przywołuje skojarzenia z tajemnicą i transcendentnym doświadczeniem.

Pisanie dla Barbary było imperatywem, świadectwem życia. Kiedy skończyła się egzystencja, skończyło się też pisanie („Dziś? / Mówisz: jestem”, *Wczoraj, jutro*, [w:] *Jestem*). Dlatego najważniejsza okazała się dla niej perspektywa teraźniejsza. Nie ma nic poza dziś i poza byciem. Stąd ten zachwyt, stąd pisanie jako trwanie. Stąd wreszcie pytanie: „Czyż nie napisać można?”.

Mirosława Szott

Morderstwo w butelce

Krzysztof Koziołek, *Wzgórze Piastów*, Muza, Warszawa 2018, 320 s.

Polecany w Winnym Grodzie i pozytywnie opisywany w mediach kryminał *Wzgórze Piastów* Krzysztofa Koziołka, który debiutował w 2007 roku powieścią *Droga bez powrotu*, to druga odsłona na wzór Mickiewiczowskiego cyklu. Do tej pory ukazały się: część czwarta – *Furia rodzi się w Ślawie* (2015) oraz część pierwsza – *Góra Synaj* (2017); trzecia część ma się ukazać wiosną 2019 roku. Autor został kilkakrotnie nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, Kryminalnej Piły oraz zgłoszony do Paszportu Polityki.

Bohaterką książki jest „jedyna kobieta w Rzeszy, która osobiście odwiedziła każdy szyb należącej do niej kopalni” Hrabina Franziska von Häften, agentka polskiego wywiadu, której zadaniem jest zdobycie kluczowych informacji o budowie umocnień przez jej męża Aleksandra von Häfena, na zlecenie III Rzeszy. Hrabina jest postacią pełną sprzecznych emocji, rozdartą między miłością do męża i swojego łącznika, Józefa Wasiaka. Na kartach powieści poznajemy historię jej zwerbowania oraz płomiennego romansu.

Sprawy komplikuje śmierć jednej z najzamożniejszych bywalczyń salonów, Charlotte Stempel, uważanej za „wichrzycielkę obgadującą bogu ducha winnych mieszkańców uczciwie pracujących na rzecz własną”, którą bada starszy asystent kryminalny Julius Knot, protegowany komisarza Kriminalpolizei. Metody Knota przywołują klasyczne wzorce kryminału, gdzie mozolna dedukcja oraz mieszanka intuicji i inteligencji wyłuskują mroczną prawdę z wydawałoby się nieszczęśliwego wypadku i stają się niezbędne do złapania sprawcy. Lektura balansuje na pograniczu kryminału, kryminału retro i powieści sensacyjno-spiegowskiej, zwłaszcza kiedy w całe dochodzenie zaczyna mieszać się Abwehra, co niekiedy dodaje, a niekiedy ujmuje jej uroku.

Niezwykłą zaletą okazuje się to, że jako czytelnicy zostajemy od razu wrzuceni w niemal z filmową precyzją oddane kadry akcji, której tempo oraz niezwykle szczegółowe oddanie topografii i historii regionu utrzymuje czytelnika znajdującego lokalne realia w skupieniu przez parę godzin. Moim zdaniem to

doskonałe oddanie szczegółów, na które autor niewątpliwie poświęcił niejedną noc, nieco niestety zaburza śledzenie intrygi, gdyż wciągającą i zaskakującą historię szpiegowską przerywa on na przynajmniej półstronicowy, Długoszowski opis budynków Grünbergu czy okolicznych wiosek.

Postacie posiadają wielokrawędziową osobowość, na której skosach zatrzymujemy się, uświadamiając sobie złożoność budowy bohaterów. Niestety czasem właśnie owe krawędzie okazują się skrótami do zupełnie odrębnych obrazów, które momentami sobie przeczą. Bo z jednej strony Kriminaloberassistent Julius Knot jest niezwykle skutecznym funkcjonariuszem Kripo, przebiegłym detektywem, w mgnieniu oka wyciągającym z przesłuchiwanym informacje, troskliwym ojcem i wiernym małżonkiem, a z drugiej strony bohaterka, wychodzi z niego raptus, któremu ciężko połączyć ze sobą dwa fakty.

Ciekawym zabiegiem jest nieszablony, niemalże sielankowy nastrój, jaki panuje na terenach opisywanego Miasta Ogrodu – Grünbergu zaledwie pół roku przed wojną. Zakłócają go jedynie daty widniejące pod każdym rozdziałem. Odnosi się wrażenie, jakoby akcja powieści przenosiła się na tereny Wersalu za panowania Ludwika XVI, gdzie codzienne przyjemności i ogólna ospałość ma na celu jedynie odwracać uwagę od nadciągającej burzy, która nieodwracalnie przemieni, wydawałoby się, niezniszczalne mury w nierozpoznawalne gruzowisko.

Autor skupia się również na ukazaniu regionalnej dumy z tradycji winiarskiej, nie przejawiając jednak graniczącej z obłądem zapalczywości w promowaniu lokalnych wyrobów, podając w zamian garść pasjonujących historii, które jeszcze bardziej wpasowują miasto w wizję zbrukanej morderstwem utopii.

Mimo tych kilku potknięć polecam *Wzgórze Piastów* nie tylko historykom szukającym wytchnienia przy jakiejś lekturze, ale również fanom twórczości Marka Krajewskiego, a także spragnionym sensacji czytelnikom.

Klaudiusz Mirek

Słyszająca, niesłyszająca, nieposłuszna*

A. Leśniewska, *Wyprawa w częstochowskie*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2017, 58 s.

coś, co kazało im patrzeć,
mnie pozwala pisać.
(czterej)

Wyprawa w częstochowskie to podróż po świecie gorzkim i skomplikowanym. Przedstawiona w zbiorze rzeczywistość, z wyeksponowanymi dysfunkcjami, nie nastroja optymistycznie. Tomik składa się z trzydziestu jeden utworów, których tematyka często wkracza na obszary społecznie zakazane. Tutaj nie szczekają psy, nie pachną zioła, słońce wstaje cierpiące, tłum gapiów ogląda śmierć z bliska, a autorka pisze... i robi to dobrze.

Tomik Agnieszki Leśniewskiej został wydany w 2017 roku w Zielonej Górze przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. To aż dwanaście lat od nieprzeciętnego debiutu (*dwie rzeczy*). Twórczość lubuskiej poetki jest dojrzała, ale prześlągnięta pesymizmem. W utworach dominują wyrażenia, które konotują negatywne znaczenia. Czytelnik, chcący obcować z poezją lekką, radosną, nie odnajdzie się w tym, co proponuje Leśniewska (poetka jest jakby programowo antymarketingowa). W tomiku nawet *uśmiechnięta* układa swoje kości do umierania, a *dom i widok* są nieodłączną częścią nocy. Może jakieś *życzenia, dobre rady*? Nic z tych rzeczy. Życieliwe głosy namawiają do bezsensownej ucieczki.

Autorka rozwija tematy kontrowersyjne i trudne. Dotyka problemów tanatologicznych, porusza też aspekty egzystencjalne i religijne. Jednak nie drażni wszechobecny patos, przedstawieni bohaterowie liryczni są bardzo zwyczajni. Studentka rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w *Miasto, rzeka, gołąb* rzeźbi upapranymi rękoma, jednocześnie trzymając dziecko przy piersi. W pokoju pachnie mlekiem i paruje glina. „I raptem mała robi swój pierwszy krok / w stronę rzeki...”. Nic nie jest takie, jak być powinno. Leśniewska zaskakuje odbiorcę. Czyż obcować nie ze sztuką, a nawet jej tworzenie nie powinno

uwznioślać, uszlachetniać? Cóż, nic na to nie wskazuje. Bohater wiersza pod tytułem *Miłosz*, „ma pięć lat i jest nikomu nieznanym autystykiem”. Dziecko żyje we własnej rzeczywistości, której obawia się nawet jego matka. Jest nierozumiany, samotny. Być może postać chłopca ma więcej wspólnego z poetami, niż mogłoby się zdawać? Uwrażliwieni, z własną wizją świata, natchnieni tym, co przeciętnej jednostce każe tylko patrzeć... „Czasami w nim krzyczy samotność”. Leśniewska skąpo przedstawia swoich bohaterów, pozwala to odbiorcy na domysły, własne interpretacje i wnioski.

W poezji Leśniewskiej królują niebanalne metafory. Nie są to schematyczne przenośnie. Silnie wpływają one na wyobraźnię odbiorcy. „Moja matka przekroczyła Odrę, żeby patrzeć na Wartę z jej dna i nie widzieć...”. Wywołują określone uczucia, dopełniają obraz lub same go tworzą. Pytania retoryczne podtrzymują relację z czytelnikiem, zmuszają do refleksji („co teraz będzie z nami?” w *słyszająca, niesłyszająca, nieposłuszna*), element eufoniczny w *odwiedziny I – zawieszona* nadaje przyjemny rytm (uwagę zwraca aliteracja: „pod powiekami / płomyk płonie, / powidła się smażyć, / powidoki śliwkowe”), anafora w *noe umiera* wprowadza ciekawą regularność („w różanych wodach płodowych / w czasie migracji ludzi i ptaków / w efekcie ocieplania klimatu / w białym szpitalu na skale”).

Wyprawa w częstochowskie to podróż po dość mrocznych aspektach życia. Bez drogowskazów, bez map. Utwory prowokują do refleksji, przemysłu. Śmierć matki, choroba dziecka, alkoholizm ojca to niektóre tematy, które podejmuje lubuska poetka. Autorce z pewnością nie można zarzucić braku wyobraźni, bezrefleksyjnego pisania czy chaotyckości. Wiersze tworzą spójną opowieść o poszukiwaniu sensu. *Wyprawa w częstochowskie* zdecydowanie zasługuje na polecenie.

Martyna Budnik

* Recenzja nagrodzona (1. miejsce) w studenckim Konkursie na Wawrzynową Recenzję. Organizatorem konkursu jest Studenckie Koło Literaturoznawców UZ.

Uwznioślenie i mistycyzm

Winston Morales Chavarro, *Słodka Aniquirona*, Poznań 2017, 90 s.

Kolumbijski poeta Winston Morales Chavarro, który jest autorem „parunastu książek poetyckich, kilku powieści i również książek eseistycznych”, dwukrotnie odwiedzał Zieloną Górę. Teraz czytam jego pierwszą poetycką książkę przełożoną na język polski, z odręczną dedykacją „Para Ewa Mielczarek”. Jej tytuł – *Słodka Aniquirona*. Składa się z 26 jakby rozdziałów. Polskiemu przekładowi towarzyszy hiszpański oryginał, a więc mamy do czynienia z książką dwujęzyczną. Autorką przekładu, wstępu i ognistej, powiedziałbym, okładki jest Barbara Stawicka-Pirecka z UAM w Poznaniu.

W pewnym sensie ten utwór jest niezwykle, bo od początku do końca naznaczony ciągiem jakby nie kończącej się językowej oracji, rozpisywanej z wielką namietnością do wymaginowanej, a zapewne też do realnej kobiety, nazwanej bardzo metaforycznie „dziewczynką światła”, za sprawą poety uosabiającej zarazem wieczną kobietą, prawzór bytu przenikającego wszechświat. Do tej kobiety, nazwanej imieniem Aniquirona, adresowana jest rzeka słów – wszystkie autorskie, podniosłe wołania i lamentacje. Poeta umieszcza ją, wyidealizowaną, w „wykreowanym królestwie Schuaima”. Nie ma z tą kobietą w zasadzie realnego, cielesnego kontaktu, a nawet w końcowej partii tej książki (s. 88) przyznaje, że „Jest kobieta/ której nie znam/ wiem jednak, że zaledwie jest pretekstem”, żeby śnić o niej, by uzasadniać swoją wizję, a ta wizja to też jest dla poety „za mało”. Chodzi tu więc o przekroczenie wszelkich granic. O sięgnięcie po niemożliwe.

Umieścić poeta mentalnie ową boginię-kobietę w rzeczywistości mitu i kosmicznego wszechbytu z premedytacją. Taką bowiem może kontemplować i sakralizować. Tego domaga się pragmatyka jego poezji. Tam więc jej szuka i upatruje szczególnej wartości. Nie w rzeczywistości codziennej, domowej egzystencji. Nie chodzi mu o adorację uładowanego życia ani o „mebli przestawianie z jednego miejsca na drugie”. Cel jest zupełnie inny. Nadzwyczajny. Morales wytrwale gromadzi energię słów, symbolizuje

je żywioły, by wzniośle istnienie tej kobiety wyrazić. Zarazem ją zdobyć.

Szkoda tylko, że tonacja jego retoryki jest dość monolityczna. Utrzymana na jednorodnej nucie i napięciu. Jest w tym wszystkim pewien rodzaj szaleństwa, ale poeta powiada: „Ciesz mnie, iż jestem szalony”. Szalony, więc na właściwej drodze ku prawdziwej rzeczywistości. Bez wątplenia w takim poetyckim zadaniu można dopatrzeć się znamion wielkiej ambicji. Tak wygląda twórca wiara i nadzieja poetycka. I dodałbym od razu, że swój artystyczny cel przesyci mistycyzmem życia i śmierci. Te dwie sfery autor ze sobą łączy i zrównuje. Są lirycznym motorem. W konsekwencji każde uwznioślenie jest dopuszczalne i właściwe. Każde odległe przywołanie trafne. Poeta postanawia z tego powodu wszelkie oczarowujące porównania, obrazy, argumenty filozoficzne, rzeczy i zjawiska dedykować kobiecie. Cała psalmodia zaklania i błagania służy jednemu: „Aby dotrzeć do Ciebie”. Czytając ten utwór, musimy pamiętać, że jest to w gruncie rzeczy kreowany ceremoniał wzniosłości, patetyzmu, artystyczny rytuał nie wolny od szczególnej afektacji. Kolumbijski poeta wchodzi jakby we wtajemniczający trans, chce maksymalnie otwierać się i pozbawiać siebie wszelkich ograniczeń, utożsamiać się z całością bytu. Bo to dla niego „jest inną formą wstępowania”. Chodzi też o podniosłość samego natchnienia, ono nie może być nakierowane ku temu, co zwyczajne, trzeba twórcy „głowę zanurzyć w strumieniu nicości”. Morales nazywa taki stan „piękną śmiercią”, „Szukam śmierci/ i wędruję nagi”. Jednak nie o dosłowność tego pojęcia chodzi, nie o unicestwienie. Raczej o duchowe roztopienie się, by tą drogą wejść do wnętrza królestwa poetyckiego. Do magicznej całości doświadczenia i doznać wtajemniczenia. W tej postawie nie ma raczej miejsca na ból, ciężar ani metafizyczne cierpienie. W grę wchodzi tylko jasna, wielka wizja. Tłumaczka wskazuje, że poeta nawiązuje do tradycji mistycznej poezji hiszpańskiej, jak i latynoamerykańskiej (Gongora, Neruda). Oczywiście. Z punktu widzenia polskiego czytelnika można powiedzieć, że jest to głos inny,

żeby nie powiedzieć: naszej tradycji obcy. Niepozba- wiony tonu egzaltacji. Widać więc, jak mocny wpływ na ryt poetycki wywiera historia. Zupełnie inna z tych powodów jest polska poezja. W niej granice rzeczy są ostro zaznaczone, obowiązuje sceptycyzm, ironia, do głosu dochodzi zwątpienie. I chodzi o skupienie, a nie rozproszenie. Nie ma miejsca na wprost uwznioślają- cy ton ani na „magiczne braterstwo Człowieka i natu-

ry”, lasu, rzeki, obłoków etc. Apoteoza tego rodzaju szybko zostałaby uznana za naiwną. Kolumbijski poeta przypisuje jej atuty, bowiem dzięki niej może wy- posażać centrum swojej wizji w mistyczną ważność. Myślę, i to chcę podkreślić, że zaprezentowany prze- kład oddaje celnie ducha tej poezji.

Czesław Sobkowiak

Poznańskie peregrynacje naukowe

Rafał Reczek, *Pielgrzymowanie w PRL na przykładzie pieszych pielgrzymek Duszpasterstwa Rolników Diecezji Gorzowskiej z Klenicy do Częstochowy w latach 1984-1989*, Wyd. Instytutu Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Poznaniu, Poznań 2016, 422 s.

Doktor Rafał Reczek nie stroni od trudnych i cza- sochłonnych badań naukowych, czego odzwier- ciedleniem jest opublikowana w 2016 roku książ- ka pt. *Pielgrzymowanie w PRL na przykładzie pieszych pielgrzymek Duszpasterstwa Rolników Diecezji Gorzowskiej z Klenicy do Częstochowy w latach 1984-1989*. Zaznaczyć trzeba, że nie jest to pierwsza monografia tego autora, ponieważ w 2008 roku ukazała się drukiem jego obszerna praca doktorska (obroniona w 2006 roku) zatytułowana *Życie społeczno-polityczne w Wielko- polsce w latach 1956-1970*.

Podjęcie tej problematyki jest zasadne nie tylko z racji konieczności zintensyfikowania badań nad dziejami wsi zielonogórskiej, ale również dlatego, że sam fenomen pielgrzymek rolniczych odbywa- jących się z Klenicy do Częstochowy w interesują- cym nas okresie chronologicznym nie był dotychczas przedmiotem rozważań naukowych, zwłaszcza tak gruntownych. Świadczy o tym chociażby kwerenda archiwalna, która na potrzeby tej pozycji objęła: Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (w Poznaniu, Warszawie, Wrocławiu i Katowicach), Archiwum Diecezjalne w Zielonej Górze, Archiwum Sanktuarium na Jasnej Górze, Archiwum Akt Nowych w Warsza-

wie, Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp. oraz Zielonej Górze, a także zasoby źródłowe przecho- wywane w Urzędzie Gminy w Bojadłach. Za ważne dopełnienie tej pracy należy uznać: kroniki, spisane wspomnienia świadków historii, materiały archiwal- ne ze zbiorów prywatnych i relacje. W mniejszym za- kresie sięgnięto po literaturę przedmiotu, co jest zro- zumiałe, zważywszy na nowatorski charakter oma- wianego opracowania.

Istotę omawianej pracy stanowią trzy rozdzia- ły. Pierwszy z nich należy traktować w kategoriach wprowadzenia do tematu, ponieważ przedstawio- no w nim zazwyczaj, delikatnie mówiąc, nieprzy- chylny stosunek ówczesnej władzy wobec or- ganizacji pieszych pielgrzymek w kraju w latach 1945-1989 (s. 23-54). Następny poświęcono reali- zacji idei pieszej pielgrzymki Duszpasterstwa Rol- ników Diecezji Gorzowskiej w schyłkowym okresie istnienia komunistycznej Polski, tj. w latach 1984-1989 (s. 55-170). W ostatnim przybliżono działa- nia aparatu przemocy, czyli Służby Bezpieczeństwa obliczone na ograniczenie tej formy aktywności re- ligijnej społeczności wiejskiej (s. 171-211). Zwieńcze- nie książki stanowią krótkie zakończenie, obszer- ne wspomnienia uczestników pielgrzymek z Kle-

nicy do Częstochowy wzbogacone, podobnie jak w innych fragmentach tego opracowania, materiałem ilustracyjnym, a także wybór dokumentów, wykaz skrótów czy też fotografii, bibliografia oraz indeks nazwisk i geograficzny.

Nie ulega wątpliwości, że autorowi w sposób interesujący i wyczerpujący udało się przedstawić czytelnikowi problematykę badawczą związaną z interesującymi nas pielgrzymkami Duszpasterstwa Rolni-

ków Diecezji Gorzowskiej z Klenicy do Częstochowy w latach 1984-1989. Za drobne niedopatrzenie, należy uznać brak wyjaśnienia przez autora używanego terminu: „Polska «ludowa»” (s. 9, 19, 23, 32, 36, 55, 138, 177, 181, 211) bądź niezrozumiałej zazwyczaj dla młodszych czytelników potocznej nazwy „bezpieka” (s. 11, 14, 152, 158, 159, 176, 177, 179, 180, 181, 185, 188, 190, 191, 192, 195, 198, 201, 205, 206, 208, 210).

Daniel Koteluk

Słowa jak klucze

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, *Klucze*, Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp. Biblioteka Pegaza Lubuskiego, Gorzów Wlkp. 2018, 66 s.

Profesor dr. hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska urodziła się w 1955 roku w Skwierzynie. Pracuje jako rektor Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wlkp. Do tej pory ukazało się pięć tomików poetyckich autorki: *Nim dojdę* (1987), *W drodze* (1994), *Krople* (2005), *Niczyja* (2010). Piąty tomik nosi tytuł *Klucze*. Właśnie z nim spotkałam się w Bibliotece Norwida.

Tytułowe klucze to słowa, którymi autorka otwiera świat swojej poetyckiej duszy. Myśl, refleksja i zabawa słowem mają bardzo dokładną konstrukcję. Porusza w swym tomiku wiele tematów: samotność, przemijanie, ludzkie postawy. Píše też o sobie. Tymi kluczami wślizguje się w przestrzeń czytelnika. I dokonuje w nim subtelnej zmiany. Elżbieta Skorupska-Raczyńska podzieliła tomik na sześć części: *Pomiędzy*, *Wyznanie*, *Pytania do...*, *Dokąd*, *Kawałek Raju*, *Zapominajki*. Otwieram książkę, z pachnącą okładką i sięgam po słowa klucze, którymi otwieram jej znaczenie. Wydawcą książki jest Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp., Biblioteka Pegaza Lubuskiego.

Wiersz *Że niby* próbuję czytać rytmem serca, choć jest nieregularnej budowy. Podzielony na siedem strof, o zupełnie różnej ilości wersów i sylab. Burzy monotonię ukrytą w powtarzalności zjawia-

ska wyrażonego słowem „niby”. W pierwszej strofie poetka wymienia wygładzające przysłówki, odpowiada na pytanie: jak. Słowo klucz tego wiersza „niby” nadaje podwójną jakość tym określeniom. Podważa ich wiarygodność. „Niby delikatnie, niby ładnie, niby dobrze” – możemy czytać jako zakamuflowaną intencję oszukiwania bądź zaniebdania z zachowaniem pozorów. W drugiej strofie znajdujemy niejasne dookreślenia tego co i kto „na niby”. To zaledwie jeden wers z całego utworu. „Niby tak niby coś niby ktoś” – jest ciągiem szybkich wrażeń, bez treści. W czwartej zwrotce wiersza pojawia się rodzina, czyli podmiot wiersza. Niby mąż, niby żona, niby teściowa, a nawet niby zięć. Tworzą oni całość. Z przypisanymi sobie nazwiskami, wspólnym adresem i więzią. Osoby najbliższe, lecz też na niby. „Niby szef niby pan”. To ironia i dwuznaczność. Czy „Pan” jako człowiek, czy też jako płeć? Nawet mężczyzna i kobieta w swych rolach pozostają już genderowi. Bez jasnych podziałów na obowiązki i role. Może posiadający władzę mentalną, która też nie idzie w parze ze słowem: dobroć, kultura, szacunek? Autorka demaskuje ich autentyczność. Pod tą glazurą kryje się tylko człowiek ze swoimi ranami, słabościami, bylejąkością. Słowo klucz otwiera ten świat relacji międzyludz-

kich. Co robi podmiot liryczny? „Niby szanuje, niby docenia, niby kocha”. To smutna refleksja. Prawdziwa i gorzkawa ironia życia. Poezja Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej jest mądra i dojrzała. Wiersze mają nieregularną budowę. Zachęcają do zatrzymania się i zastanowienia nad sensem życia Chwytają za serce prostotą i prawdą. Poetka trafnie oddaje styl i kulturę dzisiejszych czasów, w których bliskość z drugim człowiekiem można sprofanować, wystawiając ją na mnogość wygodnych interpretacji. W innym utworze *Znowu*, oksymorony: „czas biegnie niespiesznie”, „niktoś z nieludzkoludzką twarzą” obrazują zastój. Zwolnione tempo życia, przemijanie. Lustro to symbol braku więzi z ludźmi, „z nikim nie podzielony czas, wydłuża się bardziej”. Uśmiechu brak. W tym podsumowaniu, tego co się osiągnęło, chyba „niematerialne” jest najważniejsze, a to zabiera słaba pamięć i pustka. „Tu i teraz” nie cieszy, bo człowiek ma potrzebę bycia dla kogoś ważnym, a nie jest ważne to, co minęło. Samotność i przemijanie towarzyszą każdemu. Taki jest nasz los. W wierszu *Syndrom* oczyma wyobraźni widzę kogoś, kto czeka. Na telefon, dzwonek do drzwi. Nie trzeba przechodzić syndromu pustego gniazda, by poczuć się niepotrzebnym. Zateśknąć za kimś. Odbieram ten utwór Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej jako zawód i rozczarowanie. Poetka odmienia przez osoby czasownik móc.

Ja mogę
Ty możesz
On, ona, ono może

Nie.

To zaprzeczenie jest słowem kluczem. Wyklucza, nie otwierając drzwi i do drzwi nie pukając. Jest

świetną zabawą słowotwórczą i przykrą pointą tego utworu. Natomiast w wierszu *O życiu* zadumać się można nad ludzkimi postawami. Są tacy ludzie, którzy zamiast gadać działają. Ratują innych. Narażając siebie. Poświęcają się. Zwyczajnie też żyjący codziennością, dokonują mądrych i dobrych rzeczy. Są też ludzie, którzy marnują energię na gadanie o życiu. „Wszyscy się na tym znamy jak na wychowaniu dzieci i leczeniu”, pisze poetka. Tu nie chodzi jednak o słowa, ale o czyn. I ta bardzo głęboka prawda zawarta jest w kilku strofach pięknego wiersza z pouczającą prawdą na końcu. Żyć po ludzku jest najlepiej. Tomik poezji Pani Elżbiety znalazł się również w rękach bibliotekarek – poetek. Jedna z nich zachwyciła się wierszem *Pelargonie*. Tak pięknie wspomina matkę. Ci, którzy odeszli, żyją razem z nami, dopóki jesteśmy. Jak kwiaty. Kolor czerwieni to symbol miłości. Mama to najdroższa osoba. Ciepło jej jest wieczne. Jej kolorowe mazurki i chustki żywe i radosne obrazy, podobnie jak stare fotografie. To dzięki nim wciąż jest z córką. Twórczość Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej obfituje w wiele nawiązań do Ewangelii i przyrody. W *Betlejem* jest jednym z nich. Matka Boska zostaje ujęta jako zupełnie krucha, tak po ludzku sama z całą odpowiedzialnością za dziecko. Bez pomocy przy porodzie. Wiele takich kobiet jest na świecie. Tylko Ona akurat matką Boga. Tyle, że to niewiele zmienia. Jej krzyżem jest właśnie ten początek. Narodziny Jezusa w Betlejem. W tomiku *Klucze* wiele jest pięknych tekstów. Trzeba jednak pokonać w sobie tę wygodę niezastanawiania się głębiej, aby je docenić. Nie jest to poezja powierzchowna. Dająca nam przyjemność ekscytowania się byle czym. To bardzo świadoma i oszczędna w ozdóbce kobieca liryka. Polecam ją dla ducha, oka i ucha.

Agnieszka Aleksandrowicz

Wiersze z różnych lat

Halina Jerulank, *Przed Tobą*, Pro Libris, Zielona Góra 2018, 120 s.

W młodych latach często odzywa się pasja poetycka. Wiersze powstają, ale i są odkładane do szuflady, bez ambicji ich publikowania. Jednak ta wartość dodana do egzystencji nie jest pozbawiona siły. I przychodzi moment, kiedy staje się punktem oparcia, ucieczką od codzienności i chęcią wyrażenia wewnętrznych przeżyć. Poza tym żyć trochę lepiej, inaczej, to zajmować się twórczością, co coraz częściej ma miejsce. Całkiem podobnie ma się ta rzecz w przypadku Haliny Jerulank, która dopiero w późnych latach wydała ładnie autorsko ilustrowany pokaźny tom *Przed Tobą*. Poetka systematycznie drukuje, niemal cotygodniowo, swoje liryki w „Gazecie Lubuskiej”. A zajmowała się, mniej lub więcej, pisanem już jako uczennica liceum. Po wydaniu kilku zeszytów, niskonakładowo, ten zbiór (*Przed Tobą*) ma cechy profesjonalnej edycji. Nie zamierzam tu dokonywać ściśle recenzenckiej oceny. Raczej odnotowuję fakt wydawniczy. Zauważę jednak, że zajmują wrażliwą poetkę głównie trzy sprawy. Po pierwsze – zagadnienia społeczne, obrazy różnych obserwowanych wokół życiowych patologii, a więc przy tej okazji snuje moralnej proweniencji refleksje. Cechuje je też wyraźny akcent

feministyczny, czyli zwrócenie uwagi na trud życiowy kobiet, ale na szczęście ten wątek wolny jest od piętna ideologii. Po drugie – w wielu wierszach, i te utwory mogą się bardziej podobać, zwraca się ku opisowi natury, a wraz z tym – zmienności pór roku. Czyli znajdujemy w nich więcej nuty osobistej, podmiotowego, zmysłowego wrażeniowego kontaktu ze światem. I jest jeszcze trzecia poetycka odsłona. Myślę, że najbardziej mogąca trafić do odbiorcy. Najbardziej wewnętrzna, osobista i dająca wgląd w sferę intymną poetki – jej marzenia, namiętności, uczucia, przyjaźnie etc. Ten jej poetycki głos, bardzo szczery i prawdziwy, utrzymamy jest w dobrym tonie. O miłości mówi poetka wielokrotnie, ale z zachowaniem miary, bez epatowania, bez nadużycia górnolotnych, sentymentalnych formuł, jak to często bywa, i bez detalicznego przerysowania cielesnej strony erotyki. Ma tu miejsce mówienie niezbyt skomplikowane, o wielkich sprawach zwykłym językiem, co nie jest przecież łatwe. Można więc tę umiejętność docenić. Mam nadzieję, że następny zbiór, jeśli takowy się ukáže (czego życzę), będzie tego potwierdzeniem.

Czesław Sobkowiak

Rejs po wywiadzie rzece (rzece Wiśle)

Marcin Świetlicki, *Nieprzysiadłość. Autobiografia*, rozm. R. Księżyk, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, 649 s.

Niebiesko-szara okładka, z której patrzy na mnie Marcin Świetlicki ze sztucznymi skrzydłami. Autobiografia pisarza, z którym rozmawiał Rafał Księżyk, nosi tytuł zaczerpnięty z kultowej już piosenki Świetlicków: *Nieprzysiadłość*. „Każdemu bym odmówił. Oprócz Księżyka” – czytam na odwrocie okładki. Oto książka, którą zamierzam recen-

zować. Pierwsze skojarzenie? Błękitnoszare gołębie z krakowskiego rynku, z którym Świetlicki był mocno związany. No i sam bohater uskrzydłony. Tchnie tandetą? Może to rodzaj dowcipu, z którego poeta-wokalista jest znany? Otwieram książkę i zabieram się do lektury, może wyjaśnienie przyjdzie samo.

No i zaczyna się snucie historii życia pisarza. Książka podzielona jest na rozdziały, z których każdy opatrzone jest cytatem ze Świetlickiego i tytułem zapowiadającym, o jakim okresie życia poety-wokalisty będzie w nim mowa. Dowiadujemy się, że dzieciństwo spędził Świetlicki w Piaskach, mieście w województwie lubelskim. Tam miejscem magicznym dla młodocianego pisarza był strych, na którym tworzył swoje pierwsze wiersze. Do liceum uczęszczał poeta w Lublinie. Był to pierwszy powiew wolności. W końcu przyszedł czas studiów, poznawania ważnych, znaczących postaci literackiego i artystycznego Krakowa, klimatycznych miejsc. Odwiedzał lokale „szemrane” i „artystyczne”, obydwa kusily z mocą. Wymienia Świetlicki wiele nazwisk: Pawlak, Dyduch, Maj, Wilczyk. Ten ostatni sprawił, że Świetlicki przestał czuć się jak turysta zwiedzający Kraków, a zaczął być jego mieszkańcem. Poeta współpracował również z „NaGłosem” – ważnym antykomunistycznym stowarzyszeniem artystycznym. Pisarz początkowo studiował polonistykę, krótko później przeniósł się na filmoznawstwo, ale jak pisze: „miasto było ciekawsze” – nie ukończył studiów. Później przyszło do niego wezwanie do wojska. Wspomina ten czas jako nieprzyjemne doświadczenie. Waha się między stwierdzeniem, że wojsko – jak mówią – sprawia, że chłopiec mężczyźni, a tym, że pozbawia go osobowości, polotu. Kiedy ukończył służbę wojskową, przez krótki okres pracował jako pedagog w Lublinie, jednak wkrótce przeniósł się do rodzinnego miasta. Wtedy bardzo dużo pisał, większość jednak jego wierszy przepadło. Kiedy przeprowadził się z powrotem do Krakowa, pierwszą pracą, jaką podjął, było „wieszanie obrazków na wystawie w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięk-

nych”. Tak zaczęło się jego prawdziwe krakowskie życie. Opowiada Świetlicki o sprawach osobistych, o związkach z kobietami. O swoich przeprowadzkach krakowskich, z których – jak twierdzi – można by stworzyć historię jego życia w mieście Kraków. Snuje długie historie swoich licznych współprac z muzykami, tekściarzami, filmowcami. O tym, jak pracował w „Tygodniku Powszechnym”, a nawet w telewizji, która to praca mu się nie podobała. Nie ma jednak sensu, abym streszczała całą biografię, mogę jedynie zachęcić do jej lektury. Przystępna wersja wywiadu rzeki sprawia, że czyta się ją z przyjemnością, wchodząc w życie artystyczne Krakowa i nie tylko.

Jedna kwestia mnie rozczarowała. Twórczość Marcina Świetlickiego znana jest z celnych, przewrotnych tekstów-sloganów, mam tu na myśli np. „nie bądź gnidą, poczuj freedom”. Dowiedziałam się jednak, że teksty te, wraz z wymienionym przeze mnie wyżej, są zasłyszane, zapożyczone z rozmów z innym muzykami czy poetami, nie są autorskim wymysłem Świetlickiego, może nie wszystkie, ale większość, które zapadły w mojej pamięci. Książka wzbogaciła moją świadomość o masę tekstów poety, których wcześniej nie znałam, zachęciła mnie do dalszej lektury utworów. Polecam sięgnąć po nią w ramach relaksu, w celach edukacyjnych, aby wyruszyć w podróż do miejsc, które Świetlicki plastycznie, sentymentalnie i w bardzo osobisty sposób opisuje. Co do zagadki skrzydeł – nie dowiedziałam się, dlaczego akurat tak. Może był to rodzaj kompromisu – próba ukazania lotności poetyckiego geniusza, ale w czasach współczesnych, do których de facto twórca ów nie do końca pasuje, pozostając outsiderem?

Klaudia Małagocka

Obcowanie z wielkością

Tadeusz Różewicz w Karkonoszach, red. Z. Kulik, Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, Karpacz 2011, 96 s.; *Tadeusz Różewicz w fotografii Zbigniewa Kulika*, Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, Karpacz 2018, 96 s.

Za sprawą wydania przez Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu dwóch albumów: *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach* (2011) i *Tadeusz Różewicz w fotografii* (2018), według redakcyjnego zamysłu i autorstwa Zbigniewa Kulika, otrzymujemy niebywałą możliwość ikonograficznego obcowania z wielkościami. Albumy te w swej głównej intencji mają oczywiście dobre zadanie na uwadze: pokazać wielkiego polskiego poetę (który odnowił język polskiej poezji), ale i promować Karpacz, jego architekturę, instytucje, ważne miejsca, zabytki, bo jakże mogłoby być inaczej. Legendarne postaci świata polskiej kultury – Henryk Tomaszewski i przede wszystkim osoba Tadeusza Różewicza, uobecniona na kartach albumów – też temu służą. Prezentowane fotografie mają zarazem cechę unikalnej dokumentacji ich życia. A więc trzeba je traktować jako świetny pomysł pokazania i utrwalenia wartości humanistycznych. Choć Karpacz i cały okoliczny rejon sam w sobie jest niepowtarzalną wartością, będąc przecież fenomenem przyrodniczym, to i te dwie postaci – Różewicz i Tomaszewski – istotnie go dowartościowują, bo dodają faktem pobytu i zamieszkania do klimatu Karpacza coś jeszcze, co nazwać już wypada legendą. Albumy pozwalają patrzeć nieco inaczej i budzą oczywistą pokusę, chęć i nieodpartą ciekawość zobaczenia na własne oczy tych wszystkich miejsc, pomieszczeń i eksponatów, np. Muzeum Zabawek czy antykwariatu, w którym Zbigniew Kulik zrobił Poecie na jego życzenie kilka zdjęć. Skłaniają do podążenia i zobaczenia szlaków górskich, którymi Tadeusz Różewicz szedł. Stał. Dotykał. Patrzył. A także szczególnie zachęcają do odwiedzenia tego miejsca, gdzie prochy Poety zostały złożone (2014) – w grobie na cmentarzu przy świątyni Wang, obok grobu Henryka Tomaszewskiego – twórcy Wrocławskiego Teatru Pantominy i właśnie Muzeum Zabawek w Karpaczu. Węc wszystko to stało się dla człowieka kulturalnego, wędrow-

ca, ożywczą legendą, nawet powietrze, fasady domów, światło, drzewa – można rzec. Kolejną wielkością, nie do pominięcia w tych dwóch albumach, jest natura fotograficznie pochwycona i utrwalona. Tak jak chce się czytelniczo uczestniczyć w śladach T. Różewicza, tam uwiecznionego w licznych miejscach i w gronie różnych osób (np. Jana Stolarczyka pomocnie, wytrwale, towarzyszącego autorowi *Niepokoju* przez wiele lat), tak też dość chciwie chce się oglądać naprawdę piękne, panoramiczne, profesjonalne fotografie krajobrazów urzekających Karkonoszy, wykonane przez Zbigniewa Kulika. Mają one posmak malarski o duchowym wy-czuciu perspektywy ujęcia połaci pól, łąki z krowami, lasu, suchych konarów, wodospadów, stawów, skał, roślinności, śniegu zalegającego na Śnieżce. Wszystkie fotografie, dokumenty pobytów, w tych albumach zamieszczone są widowym dowodem, iż rzeczy ważne i wielkie może zrodzić dobra wola oraz autentyczna, pełna systematyki, pasja. Różewicz wpisał do książki wystawowej o funkcji fotografii oczywiste zdanie, że dzięki niej „widzi się jeszcze raz krajobraz lub człowieka”, powiedziałbym: można to wszystko po czasie, po latach widzieć wiele razy, więcej – kontemplować nawet. Tego zresztą domaga się życie. Pamiętania obrazu. Domaga się podążania jakąś drogą, ale i powrotów do tego, co już było. Dobrym pomysłem jest przeplecenie obu wydań poezją autora *Kartoteki*, zwłaszcza utworami bezpośrednio odnoszącymi się do Karpacza, jak np. *Gawęda o spóźnionej miłości*. Po przewędrowaniu przez albumy Kulika przychodzi mi do głowy myśl, że życie należy utrwalać (szybko znika), by je jeszcze kiedyś prezentować. Także w lubuskim regionie można byłoby rzeczy podobne robić. I publikować, z myślą o budowaniu legendy, wydania monograficzne, poświęcone pisarzom, oczywiście robiąc to dobrze, profesjonalnie, z pietyzmem.

Czesław Sobkowiak

Proza z malarstwem Zdzisława Beksińskiego w tle

Nadieżda Myslennik, *Rabunek i Maska*, Wydawnictwo Novae Res, Gdynia 2017, 146 s.

Nadieżda Myslennik mieszka w Żaganiu od 2013 roku, a do Polski przyjechała z Omska w 1997 roku. I nie jest poza żagańsko-żarskim środowiskiem literackim w zasadzie szerzej znana. Dawno temu wydała mały zbiorek wierszy, a zupełnie niedawno (w ubiegłym roku), ku memu zaskoczeniu, sporej objętości, bo ponad 140-stronicową prozę pt. *Rabunek i Maska*. W części pierwszej, (*Rabunek*), klimaty, myśli i fabuły istotnie ogniskują się wokół postaci i malarstwa słynnego malarza Zdzisława Beksińskiego, zmarłego śmiercią tragiczną, który wywodził się z Sanoka (i tam obecnie w Muzeum Historycznym znajduje się liczny zbiór jego dzieł). W drugiej części (*Maska*), której narracja stanowi kontynuację pierwszej, akcja zostaje przeniesiona do Żagańskiego Pałacu i nasycona jest demonologią, skupioną wokół wizerunków maskaronów.

Myślę, że dość niezwykła to książka, bo potrafiła autorka swoją narracją wejść w metafizykę malarską tego akurat Artysty, a zarazem pokazać Żagań. W lubuskim krajobrazie literackim stanowi taki utwór pewien ewenement. Szkoda, że jury Wawrzynu Literackiego choćby nominacją tej książki nie doceniło. Od razu dodam, że została wydana przejrzyście, starannie. Znajdujemy w niej kilka reprodukcji dzieł malarskich Beksińskiego, a zarazem na końcu zdjęcia pięknego Żagańskiego Pałacu, wykonane przez Jana Mazura. Wszystko to ma znaczenie. Widać, że włożone zostało w to wydanie dużo pracy. Oczywiście nie jest to eseistyczna proza, ale raczej sytuuje się w obszarze magiczno-psychologicznym,

tudzież z elementami horroru. Pisarka przedstawia, jak czytam: „Historię przyjaciół, dla których spotkanie ze sztuką (Beksińskiego) okazuje się pierwszym stopniem do... piekła”.

Prozę Myslennik, napisaną wartkim, sugestywnym językiem, cechuje aura niesamowitości, tajemniczości, takiej, jaką zawiera malarstwo wyżej wymienionego Artysty. Dwoje młodych ludzi, aby się wzbogacić, podejmuje decyzję o obrabowaniu Gallerii. Zjawiają się w tym celu rano w Muzeum w Sanoku. Drzwi otwiera pracownik o dziwnej powierzchowności: „jakby sam chwilę temu zszedł z obrazów Beksińskiego. Był bardzo chudy, wysoki, całkiem łysy, do tego błąd”. Podczas zwiedzania piorun wtrąca zwiedzających do zwierciadła w jednej z sal, a na dodatek spotyka ich „Śmierć z czarnym psem”. Nie zamierzam streszczać tych wszystkich przeżyć i zarazem istotnych rozważań moralno-metafizycznych. Chcę tylko zauważyć, że niezwykłość tej książki polega na tym, iż pisarka czerpiąc inspirację ze sztuki Beksińskiego, potrafiła rzeczywiście napisać prozę jakby w jej wnętrzu, w jej realności i nastrojach.

Na koniec jeszcze zaanonsuję, że Nadieżda Myslennik napisała kolejną ciekawą prozę, tym razem poświęconą historii Wielkiej Ucieczki alianckich lotników z jenieckiego obozu w Żaganiu w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku. Myślę, że władze Żagania docenią ten jej wkład pisarski w tworzenie wielkiej legendy ich miasta.

Czesław Sobkowiak

Są tacy i tacy wśród Niemców

Ewa Wanat, *Deutsche nasz. Reportaże berlińskie*, Wyd. Świat Książki, Warszawa 2018, 336 s.

Deutsche nasz. Reportaże berlińskie stanowią znakomitą próbę odpowiedzi na pytania: Jakie dzisiaj są Niemcy? Co kształtuje świadomość naszych zachodnich sąsiadów? Czy przeszłość jeszcze dzisiaj im ciąży?

Ewa Wanat, m.in. dziennikarka i znawczyni Niemiec, ponownie zamieszkała na stałe w Berlinie około dwa lata temu. Stolica naszych zachodnich sąsiadów należy do najbardziej dynamicznie zmieniających się miast Europy. Nie tylko ze względu na to, że od momentu upadku muru jest jednym, wielkim placem budowy (stałym krajobrazem panoramy Berlina są dźwigi i wznoszące się konstrukcje). Także dlatego, że zmienia się populacja miasta, staje się coraz bardziej różnorodna i wymieszana. Przenikają się języki, kultura, style życia. Autorka książki próbuje zgłębić ten fenomen, zastanawiając się jednocześnie: czy taki będzie świat przyszłości; coś, co dopiero zaczyna powstawać? Czy też może przeciwnie, jest to świat odchodzący – w kontekście coraz większej roli w Niemczech nacjonalistycznej prawicowej partii oraz eurosceptycyzmu, coraz wyraźniej dochodzącego do głosu w Europie? Warto przy tym podkreślić, że obecnie 22 procent mieszkańców Niemiec ma „tło migracyjne” – sami są imigrantami lub potomkami imigrantów.

Reportaże powstawały w latach 2016/17, a zatem w okresie, gdy trwała kampania wyborcza do Bundestagu, niemieckiego parlamentu. To w życiu każdego kraju szczególny czas, gdy podgrzewane są emocje, a na rzeczywistość patrzy się bardziej uważnie, bo tak wiele wydarzeń i zjawisk nabiera kontekstu politycznego. W przypadku Niemiec kluczowy okazał się kryzys uchodźczy polaryzujący język debaty politycznej i postawy obywateli: po jednej stronie pojawiły się lęk i ksenofobia, po drugiej – ukształtowała się kultura powitania, na którą złożyły się liczne obywatelskie inicjatywy pomocy nowo przybyłym, które wyprzedziły działania władz. Bez wątplenia oba obrazy niemieckiego społeczeń-

stwa są prawdziwe, ale poszukiwania Ewy Wanat sięgają dużo głębiej, bo dotyczą tego, co można dostrzec pomiędzy nimi. Dlaczego tak jest? Próbie odpowiedzi na to pytanie w *Deutsche nasz* autorka poprzedziła analizą licznych źródeł: lektur, artykułów, filmów stron internetowych. Ich imponujący i bardzo inspirujący spis znalazł się na końcu książki.

Autorka nie jest tutaj wyłącznie reporterką, ponieważ dzieli się także z czytelnikami własnym doświadczeniem jako osoby przybyłej z Polski jeszcze przed 1989 rokiem i próbującej znaleźć swoje miejsce w Niemczech Zachodnich. Doskonale zna więc lęk towarzyszący poczuciu, że jest się w kraju na granicy legalności, że w każdej chwili ktoś może podważyć zasadność pobytu i odesłać z powrotem. Ten obraz i emocje Ewa Wanat sugestywnie łączy z opisami przypadków imigrantów przybywających z nadzieją na uzyskanie w Niemczech azylu. Autorka rozmawia z uchodźcami, z osobami, które im pomagają, odwiedza ośrodki pomocy i edukacji. Czasami, niestety, na końcu tej długiej drogi nadziei i biurokratycznych procedur jest deportacja. Za każdą taką decyzją kryją się dramaty ludzi; każdy jest osobny, każdy ma inne tło.

Czy rzeczywiście Niemcy są dzisiaj tak otwarci, bo obawiają się demonów ze swojej przeszłości, jak ujął to cytowany przez autorkę Jacek Żakowski? Jak żyje się Niemcom z poczuciem winy? Z taką historią? Być może odpowiedzią są sylwetki Wolfganga i Sigrun, którzy adoptowali kilkoro dzieci, wcześniej żyjących w trudnych warunkach w Ameryce Południowej. Świetny jest w książce wgląd w historię naszych zachodnich sąsiadów. Trauma wojny i podziału kraju po 1945 roku. Znamienny rok 1968. Szczególnym przykładem jest Berlin, miasto „zgwałcone” po wojnie, później – okaleczone dramatycznym podziałem i murem. Do dzisiaj widać jeszcze blizny, ale też trzeba dostrzec, jak bardzo to miasto się zmienia. Każda dzielnica – inaczej, bo ma swój własny kolor i kulturę, zależnie od tego, jakie korzenie mają mieszkańcy. Najliczniejsze są osoby z korzeniami turecki-

mi i polskimi. Ewa Wanat przygląda im się uważnie, dostrzegając – to zaskakujące – sporo podobieństw u obu mniejszości.

Jest też miejsce w książce na opis berlińskich subkultur: punków, hipisów, squattersów, anarchistów, bezdomnych i tych należących do mniejszości seksualnych. W reportażach Ewy Wanat obecni są także *sexworkers* – pracownice i pracownicy seksualni. Tutaj miałabym zastrzeżenie, że ich świat został przedstawiony wyłącznie z punktu widzenia osób, które bez przymusu i świadomie zarabiają w ten sposób na życie. Jest to, niestety, obraz jednostronny i wypaczony, bo przysłaniający wszelkie formy drastycznej przemocy i seksualnego niewolnictwa, w Berlinie i w Niemczech – jak najbardziej obecnego, mającego w dodatku silny związek ze zjawiskiem imigracji. Na uwagę zasługują sylwetki uchodźców należących do seksualnych mniejszości, najczęściej prześladowanych w swoich społecznościach.

Bardzo interesujące, przewijające się w wielu miejscach książki Ewy Wanat, jest porównanie poglądów reprezentowanych przez mieszkańców Niemiec oraz Polaków wobec uchodźców i (i) migracji. Te różnice postaw są widoczne również między dawnymi Niemcami wschodnimi a zachodnimi. Autorka przytacza przy tej okazji oficjalne komentarze polityków polskich i niemieckich. Potwierdza to socjologiczną prawidłowość, że lęk przed obcymi jest dużo mniejszy, gdy są oni blisko, obok nas. Bardziej obawiamy się tych, których osobie nie znamy. Strach to także rodzaj emocji, świetnie poddającej się manipulacjom. Na szczególną uwagę zasługuje w tym kontekście ostatni rozdział książki, w którym Ewa Wanat odnosi się do opublikowanego w „Dzienniku Gazecie Prawnej” wywiadu Magdaleny Rigamonti z Mayą Paczesny o rzekomych spustoszeniach, dokonanych przez nowo przybyłych w Ruppertsheg w Górnej Bawarii. Przeczytajmy, jak wiele – niesprawdzonych przez redaktor Rigamonti szczegółów – się tutaj nie zgadza.

„Są tacy i tacy wśród Niemców”, jak konstatuje jedna z rozmówczyń Ewy Wanat. Poznajemy ich wszystkich podczas lektury tej książki. Z tomu *Deutsche nasz* wyłania się jednak obraz Niemiec jako

społeczeństwa otwartego, uczącego się na swoich błędach, nie obawiającego się różnorodności, choć z rezerwą spoglądającego w przyszłość. To kraj, który przyznaje, że oczywiście humanistyczna postawa kosztuje, ale też nie można obsesyjnie „fiksować się” się na micie (nigdy i nigdzie niemożliwej do osiągnięcia) biologicznej czystości. Zamiast tego, trzeba dostrzegać potencjał tkwiący w każdym. Rozwijając instytucje, które są w tym pomocne.

Jak wspominałam, Ewa Wanat podczas pisania książki korzystała z licznych źródeł, składających się na tło jej reporterskich tekstów. Na tej liście zdecydowanie brakuje publikacji Heinza Buschkowsky’ego, burmistrza berlińskiej dzielnicy Neukölln w latach 2001-2015. Oczywiście można usprawiedliwić autorkę, że nie da się wyszukać i zacytować wszystkich źródeł. Jestem jednak przekonana, że na tematy dotyczące wielokulturowości i imigrantów poruszane w *Deutsche nasz* trudno dyskutować, pomijając postać i dorobek Buschkowsky’ego. Jego książka *Neukölln ist überall* [Neukölln jest wszędzie] (Wyd. Ullstein, 2012) była w Niemczech szeroko komentowanym bestsellerem i stanowi ważny punkt odniesienia w tamtejszym dyskursie o inności i imigracji. Zawarte są w niej doświadczenia i refleksje autora jako burmistrza wielokulturowej dzielnicy, zmagającej się z licznymi problemami społecznymi za czasów jego kadencji. Co również ważne, Buschkowsky napisał swoją książkę w ramach polemiki z Thio Sarrazinem, autorem cytowanej przez Ewę Wanat książki *Deutschland schafft sich ab* [Niemcy się zwijają]. Były burmistrz Neukölln jest, owszem, bardzo krytyczny wobec idei multi-kulti, ale też nie jest pesymistą, o czym świadczy także jego druga publikacja *Die andere Gesellschaft* [Tamto drugie społeczeństwo] (Wyd. Ullstein, 2014). Stoi mocno na stanowisku, że kluczem do udanej integracji jest intensywna edukacja możliwie od jak najwcześniejszego wieku.

Heinz Buschkowsky udowodnił, że taki sukces jest jak najbardziej możliwy. To za jego kadencji burmistrza berlińska dzielnica Neukölln zmieniła się z „szemranej” i wręcz wyjętej spod prawa we wzorcowy dla Unii Europejskiej rejon, gdzie konse-

kwentna inwestycja w edukację przynosi znaczące osiągnięcia w polityce społecznej i integracji. Przykładem jest – przekształcony z trudnej, pełnej przemocy szkoły – wizjonerski na skalę Europy Campus Rütli. Dziewięćdziesiąt procent jego uczniów ma pochodzenie inne niż niemieckie. Do ich dyspozycji na miejscu, oprócz placówek edukacyjnych różnego szczebla, są miejsca spędzania wolnego czasu (w formie różnorodnych warsztatów), centra pomocy psychologicznej i socjalnej, szkoła muzyczna, ośrodki pomocy dla młodzieży i rodziców.

I na zakończenie miałabym pytanie do wydawców: czy jest szansa na wydanie po polsku powieści

Jenny Erpenbeck *Gehen, ging, gegangen* (nominowanej trzy lata temu do nagrody Deutscher Buchpreis)? Odwołuje się do niej i cytuje w swojej książce Ewa Wanat, i ja też pozwalam sobie zauważyć, że ta powieść, inspirowana faktami i odnosząca się do wartości humanistycznych, mogłaby stanowić ważny głos w (jakże u nas jednostronnym) dyskursie o uchodźcach.

Strona internetowa Campusu Rütli: <http://campusruetli.de/>

Joanna Kapica-Curzytek

Długi rejs Galery

Igor Myszkiewicz, *Galeria Twórców Galera. XX lat rejsu, Stowarzyszenie Forum art., Zielona Góra 2017, 224 s.*

Wielki Mistrz Galery, Igor Myszkiewicz, działa na tak wielu płaszczyznach twórczych, że zaprezentowanie jego wszystkich dokonań jest prawie niemożliwe, bo co rusz kreuje coś nowego – a to komiks, cykl rysunków czy książkę, a to ilustruje grę fabularną, a w końcu odbiera kolejną nagrodę. Stworzył projekt sztandaru Zielonej Góry zrealizowany w 2010 roku. Jest członkiem licznych stowarzyszeń i organizacji, dość wymienić ponad 20 lat w szeregach Zielonogórskiego Klubu Fantastyki AD Astra, ponadto Okręg Zielonogórski ZPAP, Stowarzyszenie Forum Art czy Radę do spraw realizacji form przestrzennych w Zielonej Górze, tzw. Radę Pomnikową.

Galeria Twórców Galera funkcjonuje już ponad dwie dekady (od 1997 roku) i właśnie jej Igor poświęcił swoją ostatnią książkę. Galera założona przez grupę studentów Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej koncentruje się na prezentacji twórczości młodego (choć nie wyłącznie) pokolenia artystów. Nigdy nie stała się oficjalną instytucją czy zarejestrowanym stowarzyszeniem, utrzymując przez lata status niezależnej inicjatywy. Jak pisze autor na

stornie internetowej Galery: „Zbudowali ją studenci rocznika 94/99 Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej – Igor Myszkiewicz, Sylwester Mocur, Izabela Jędrulak, Beata Łuksza, Agata Zbylut, Ola Gnap, Joanna Kalemba, Katarzyna Walczak... Proklamacja odbyła się 04.12.1997 roku (jako Galeria Studentka Galera) razem z pierwszą zrealizowaną wystawą (Izabela Jędrulak GRANICE rysunek)”.

Myślę, że każdy, kto uczestniczy w życiu kulturalnym Zielonej Góry, na pewno choć raz świadomie lub nie, widział którąś z wystaw pod szyldem Galery. I znowu Igor: „Wystawy odbywały się początkowo w korytarzach Instytutu, następnie w klubie studentckim Dziupla, w Cafe Borgia, na poddaszu Domu Kultury KOLEJARZ, w Klubie Muzyczno-artystycznym 4 Róże dla Lucienne, siedzibie Radia Zachód, epizodycznie w Galerii Pro Arte Okręgu Zielonogórskiego ZPAP. Ostatnimi (jak na razie) portami stały się Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13 w Zielonej Górze) i Krzywy Komin (ul. Fabryczna 13b w Zielonej Górze). Wystawy Galery odbywają się także w zielonogórskim Muzeum Ziemi Lubuskiej”.

Naliczyłam, że przez cały okres działania Galerii miała ona jedenastu sterników. Od 2005 do czasów obecnych przewodzą jej: Anna Nabel Myszkiewicz (Kierownik Referatu do Spraw Promocji Twórczości) i Igor Myszkiewicz (Wielki Mistrz). Galera współpracuje z szeregiem organizacji i stowarzyszeń, takich jak Kombinat Kultury, Okręg Zielonogórski ZPAP, LSMDK Debiut czy ZKF Ad Astra, jednak mnie najbardziej w pamięć zapadły prezentacje pokazywane w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Od roku 2008 Igor – który jest równocześnie kustoszem oraz szefem muzealnej pracowni plastycznej, a wszystkie plakaty oraz foldery wystawowe, które wyszły spod jego ręki (i Corel Drawa), to kolejny kamyczek na polu jego aktywności – organizuje tu ekspozycje z kręgu rysunku satyrycznego, ilustracji, komiksu, malarstwa cyfrowego, sztuki fantastycznej czy wreszcie fotografii, jak ostatnia, ciesząca się popularnością wystawa *Zielonogórskie Zagłębie Kabaretowe*.

Gdyby czytelnik książki towarzyszącej jubileuszowi 20-lecia Galery nie wiedział, kto jest jej autorem, od razu odgadłby to po zapoznaniu się z treścią. Dzieje Galery opisane zostały charakterystycznym dla Igora językiem, brzmią trochę jak opowieść, tro-

chę jak legenda, pojawia się mnóstwo różnych okoliczności i bohaterów, ale to nie przeszkodziło w rzetelnym opisanu wszystkich działań, miejsc oraz osób związanych z Galerią. Naturalnie nie mogło zabraknąć smaczków językowych, np. „rustykalnych ław o wątpliwej geometrii” w klubie 4 Róże dla Lucienne (s. 42). Oczywiście cała historia nie miałaby sensu bez ilustracji, a archiwum Galery jest dość bogate i to uwidoczniło się na łamach publikacji. Są i fotografie, i plakaty do wystaw, okładki książek, a na końcu indeks artystów, którzy pokazywali swe prace w Galerii, kalendarium wystaw oraz „Porty Galery” i jej „Sternicy”.

Warto poznać ten ciekawy fragment historii Zielonej Góry, zwłaszcza że został przedstawiony w interesujący sposób, bez patosu, nudnego wyliczania, przytłaczania faktami i datami. Galera w książce płynie i przybija do coraz to nowych portów. W rzeczywistości znalazła już swoją przystań, w której ciągle coś się dzieje. Życzymy Galerze wielu nowych wystaw i kolejnej książki za następne 20 lat, ale trzy razy grubszej!

Alina Polak-Woźniak

Między rzekami

Bronisława Raszkievicz, *Nad Żejmianą i Odrą, Organon, Zielona Góra 2018, 248 s.*

W maju br. ukazała się książka Bronisławy Raszkievicz pt. *Nad Żejmianą i Odrą* (Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2018). Jest to opowieść o rodzinie autorki i rozpoczyna się w roku 1879 (w retrospekcjach jeszcze wcześniej), a kończy w latach 80. ubiegłego wieku.

Bronisława Raszkievicz urodziła się przed wojną na Wileńszczyźnie i tam spędziła dzieciństwo. Jak czytamy w notce biograficznej: „w 1946 r. [...] zamieszkała na drugim krańcu Polski. Tak więc życie Autorki [...] zawarto się w ramionach dwóch rzek: Żejmiany i Odry”. Wychowana wśród przyrody,

zgodnie z panującymi w rodzinie od pokoleń zwyczajami, w duchu religii i umiłowania literatury polskiej oraz idei patriotycznych, przedstawia czytelnikowi niezwykle barwną opowieść, która mogłaby być materiałem nawet do kilku ciekawych powieści, a wymienione powyżej motywy tworzą kanwę do snucia historii rodziny Tomkiewiczów, która doświadcza różnych kolei losu. Jest zatem miłość i namiętność, choroba i śmierć, dobro i zło, radość i smutek. Autorka oprowadza nas po dobrze znanych jej z dzieciństwa miejscach na Litwie – m.in. Korkozyskach, Kiemielskach, Miskierini, Bojare-

lach, Lipowie, Podbrodziu, Święcianach, aż po Wilno ze swoją Ostrą Bramą i obrazem Matki Boskiej czy popularne od wieków kaziuki, czyli święto patrona Litwy, św. Kazimierza Jagiellończyka oraz słynną w latach 20.-30. Redutę Osterwy.

Nie brak też opisów realiów życia ludności mieszkającej na tych terenach, ich codziennych obowiązków i pracy, na tle przyrody i wydarzeń historycznych. Sporo miejsca Bronisława Raszkiewicz poświęca tradycjom, zwyczajom i obyczajom, znajdziemy zatem te, które dotyczą Bożego Narodzenia (s. 12-13, 136-137, 178-179), Wielkanocy (s. 99-100), modlitwy przed każdą ważną czynnością, jak np. nauka tkania (s. 102-103), ale także te, przekazywane z pokolenia na pokolenie, jak „zamawianie” szeptuchy i odczynianie (s. 103-104), bo jak przyznaje autorka: „wierzo w zaświaty, złe i dobre siły, krążące wokół ludzi” (s. 103).

W tym swoistym pamiętniku autorka dokumentuje realia życia na Wileńszczyźnie, zatem znajdziemy opisy żniw (s. 46-47), zwyczaje żywieniowe, zaprawy (s. 98), wspólne posiłki (s. 99), a także barwne tło społeczne: śluby i małżeństwa z rozsądku (s. 80-84), babkę, pomagającą przychodzić dzieciom na świat (s. 93-96) czy żebraków (s. 123), sąsiedzkie i rodzinne spotkania, którym poświęca sporo miejsca, gdyż „dzięki nim trwała tradycja, przekazywano wiedzę i mądrość, uczyły się kolejne pokolenia, a ludzie żyli we wspólnocie, blisko siebie” (s. 104). Na kartach tej rodzinnej historii znajdziemy nawet przepisy na chleb i jego wypiekanie (s. 90-92) bądź kutię, tradycyjną potrawę wigilijną (s. 179). Ważną rolę odgrywa przyroda, którą uwielbiała starsza siostra Joasia, znajdziemy więc we wspomnieniach opis Żejmiany (s. 121, 130-131), litewskie zimy (s. 123) czy dary lasu (s. 133).

Jak napisała autorka: „wszystkie te obyczaje, zabawy, różne zalecenia i zakazy, to nie jakieś gusta,

lecz po prostu życie pełne ukrytych znaczeń, obserwacji i ludowych mądrości” (s. 101).

Nad Odrę Bronisława Raszkiewicz trafia po wojnie, która odcisnęła swoje piętno na rodzinie Tomkiewiczów. Początkowo do Połęcka, a potem do Chlebowia. Tutaj autorka pokrótce przedstawia swoje losy od przyjazdu na tzw. Ziemie Odzyskane, poprzez własną edukację w Ośnie Lubuskim, pracę zawodową w Maszewie, zamążpójście, aż po śmierć matki.

Książka *Nad Żejmianą i Odrą* z pewnością stanowi dużą wartość sentymentalną dla rodziny autorki. Nie brak w niej momentów wzruszających, ale bez egzaltacji i nadmiernego sentymentalizmu (śmierć Zuzanny, pierwszej żony Alfreda, śmierć kliniczna ojca – s. 110-111 i jego odejście – s. 181). Nie można też jej odmówić wartości edukacyjnej, bo oto wędrujemy przez przedwojenną Wileńszczyznę, poznając jej koloryt – zarówno w zakresie życia ludności i ich zajęć, tradycji i obyczajów, jak i otaczającej przyrody. Wydawać by się mogło, że niektóre treści, zwłaszcza dotyczące historii, trącą nieco dydaktyzmem. Dużo bardziej przekonujące wydają się np. dialogi Adolfa z Antosią latem 1939 roku w obliczu zagrożenia wojną (s. 140-141) i w jej trakcie (s. 157-158) czy opis nalotu oczami małej Broni (s. 143-144, 148) bądź rewizja w domu i działalność konspiracyjna ojca (s. 166-167). A skoro już mowa o dialogach, są dużym plusem książki – naturalne, ciekawie prowadzone, uatrakcyjnijają narrację. Znajdują się wśród nich i takie, które mimo trudnych doświadczeń rodziny zawierają filozofię życiową bohaterów (s. 107-109). Dla rodziny Tomkiewiczów miłość, wiara, dobroć i prawda są sensem życia, dlatego próżno szukać we wspomnieniach Bronisławy Raszkiewicz żalu, goryczy, ciemnych stron, bo jak zauważa: „Życie ma różne smaki, a w każdym trzeba widzieć sens. Dzięki temu potrafi się cenić każdą chwilę, a doceniać zwłaszcza chwile spokoju” (s. 12).

Elżbieta Brygida Kościucha

Słowa, obrazy, dźwięki... w poezji Tomasza Jankowskiego

Tomasz Jankowski, *Skrzydła motyla*, Nowa Sól 2016, 91 s.

Autor tomiku *Skrzydła motyla*, Tomasz Jankowski, pochodzi z Nowej Soli i para się zarówno pisanem, jak i fotografowaniem. Do sukcesów autora należy aktywność w amatorskim Klubie Filmowym Muza w Koninie, także uzyskanie państwowych uprawnień instruktora gotografii. W 1980 roku odbył swój pierwszy plener malarski i zadebiutował literacko. *Skrzydła motyla* są dziesiątą książką poetycką Tomasza Jankowskiego.

Tomik ten poświęcony jest tkaczkom z zielonogórskiego Klubu Tkaniny Artystycznej „Anna”. Powstał z okazji 30-lecia Klubu. Książka charakteryzuje się, jak na literaturę piękną, niezagmatwaną i nieprzegadaną terminologią. Co zresztą jest, wbrew pozorom, trudniejszym zadaniem dla recenzenta. Przechodząc jednak do oceny poetyckich zmagania autora, zauważam w nich spojrzenie fotografa ze słowami kluczami, takimi jak motyl czy tąka. Motywy przyrodnicze stanowią bowiem o klimacie poezji. Tomik wydany jest w sztywnej oprawie i opatrzonego ilustracjami z motywami przyrodniczymi, zaczerpniętymi z gobelinów pań z zielonogórskiego Klubu „Anna”. Autor stwierdza, że z przyczyn od niego niezależnych nie mógł ustalić źródeł inspiracji do niektórych gobelinów. I tutaj warto zacytować myśl z książki: „Gobeliny... / W nich zatrzymane chwile... / Zamknięte w niciach, zaplecione duszą... / Niczym ulotne baśniowe motyle / Są, będą i już tak pozostać muszą...”.

Tomasz Jankowski zafascynowany jest w tym tomiku światem przyrody. „Cieszy i karmi oczy” owym tomikiem. Nie omija go również poczucie humoru, choćby w wierszu pt. *Czy ogórek powinien śpiewać* opartym na kanwie wiersza K.I. Gałczyńskiego: *Dłaczego ogórek nie śpiewa*. W wierszach Tomasza Jankowskiego czuje się zapach łąnów zboża, spokój i chłód lasu, barwy kwitnących kwiatów. Dźwięki i odgłosy przyrody w wierszu *Przed koncertem* porównane zostały do dźwięków instrumentów muzycznych. Prócz porównań do orkiestrowych wariacji pojawiają się tajemnicze obiekty budowlane, jak zamczysko w wierszu *Bursztynowa zatoka*. Z kolei w wierszu *Ryt-*

mika przyrównuje pojęcie muzyczno-taneczne z pracą przy tkackiej maszynie, gdzie miarowość wystukują ręce gobelinarek. W *Skrzydłach motyla* sporą grupę literackich skojarzeń stanowią ujęte w słowa intensywne barwy i kolory „polskiej złotej jesieni” (wiersze: *Kolorowe igraszki*, *Aleja bukowa*).

W dalszej kolejności, w nawiązaniu do tytułu książki, pojawia się motyw motyla w wierszu *Gobelin z motylem*. Inną wypowiedź literacką ujawnia wiersz *Tajemnica starych drzew* oraz *Barwy ziemi*. Obserwator – poeta rozróżnia i zauważa z dużą precyzją kształty i barwy takich zjawisk jak: tęcza, las, kłosa zbóż, deszcz czy wiatr. Tomik jest pełen – jak wspomniałam – przyrodniczych zachłyśnień, podkreśla także polskość w wierszu *Medalion z Fryderykiem*: „Kto by pomyślał, że nasz Fryderyk, na medalionie z nici utkany! W muzykę wiatru, z deszczem na cztery i w błękit Odry on zasłuchany”. A wcześniej: „Szkoła muzyczna to jego przystań...”. Tak więc przeplata się w tomiku aura obrazu, barwy oraz melodii. Autor ujawnia lokalny patriotyzm, bowiem pojawia się w poszczególnych wierszach opis Zielonej Góry i okolic, np. w: *Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie, tu Zielona Góra* oraz w *Barwach mojego miasta*, które najbardziej uroczko prezentują się – według autora – we wrześnie. Spora część zawartości albumowego wydania poświęcona jest tematyce gobelinarskiej. Gobelinom poeta przypisuje wartości żywych istot. „Czy gobelin ma duszę?”, pyta autor. Na stawiane pytania Tomasz Jankowski znajduje jednak odpowiedzi, które są nasycone abstrakcją bądź filozoficznymi porównaniami. Tak więc Tomasz Jankowski nie pozwala nam się nudzić, zapomnieć o przyrodzie, otaczającym nas krajobrazie i geograficznym umiejscowieniu. Zachęca w sposób wyszukany (poprzez oglądanie gobelinów) do baczniejszego dostrzegania zjawisk przyrody. Do czego i ja zachęcam, aby nie dać się zdominować miejskości i miejskim pomrukowi cywilizacji. Zamiast tego – usłyszeć trzopot motyla, zachwycić się szumem lasu albo dźwiękiem spadającej kropli deszczu...

Anna Wiwiana Szewczuk

KSIAŻKI NADESŁANE

Dariusz Chajewski, *1960 wydarzenia zielonogórskie*, Polska Press. Oddział – Gazeta Lubuska, Zielona Góra 2018, 150 s.

Marek Dankowski, *50 lat kierunku budownictwo w Zielonej Górze*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2018, 224 s.

Danuta Dzikowicz, *Taka moja miłość*, [b.r.w, b.m.w, bez wydawcy], 16 s.

Tadeusz Dzwonkowski, *Wydarzenia zielonogórskie w 1960 roku*, wyd. 4 poprawione i uzupełnione, Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana, Zielona Góra 2018, 216 s.

Gmina Koźuchów w przeszłości. Cz. 1, pod red. naukową Joanny Karczewskiej, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Koźuchowskiej, Koźuchów 2018, 150 s.

Jak niedźwiedź Wojtek został polskim żołnierzem (prawdziwa historia niedźwiedzia – żołnierza 2. Korpusu Polskiego), rysunki Anna Kret, wyd. 2, Dekorgraf, Żagań 2018, 130 s.

Komu? Cemu? Utwory laureatów XI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „O Laur Dziewina” 2018, zespół red. Agnieszka Machej, Agnieszka Mikoś, Piotr Pużak, „eMBePe” Miejska Biblioteka Publiczna, Żary 2018, 82 s.

Barbara Konarska, *Słodycz imbiru*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2018

Krzysztof Koziołek, *Imię Pani*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2017, 333 s.

Krzysztof Koziołek, *Wzgórze Piastów*, Wydawnictwo Akurat – Muza, Warszawa 2018, 317 s.

Mieczysław Ostrowski, *Tu gdzie się niebo nisko schyla. Kętrzyńskie ślady tożsamości*, Wydawnictwo MAJUS 2018, Zielona Góra, 126 s.

Waldemar Ranuszkiewicz, Tomasz Jarosz, *Gmina Zielona Góra: polska Szampania*, Vers, Bydgoszcz 2014, 59 s.

Relacje: Warszawa – Zielona Góra, Gdańsk. Jerzy Leszin-Koperski – Andrzej K. Waśkiewicz. Korespondencja, autobiografia, dzieła, przygotował do druku, opracował oraz opatrzył komentarzami Piotr Smoliński, wstęp Marian Kisiel, Anagram Gdańsk: „Wspólny Stół”, Warszawa – Gdańsk 2018, 394 s.

Robert Rudiak, *Prasa, wydawnictwa i wydarzenia literackie w Zielonej Górze i regionie*, Związek Literatów Polskich i Polskie Towarzystwo Historyczne, Zielona Góra 2018, 320 s.

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, *Klucze*, Związek Literatów Polskich. Oddział Gorzów Wlkp., Gorzów Wlkp. 2018, 66 s.

Maria Szafran, *Wymiatając kąty*, [Maria Szafran], Świebodzin 2018, 80 s.

Bartosz Tietz, *Ścieżkami zapomnianego pokolenia: z dziejów walki o polskość powiatu wschowskiego w początku XX wieku*, Muzeum Ziemi Wschowskiej, Wschowa 2018, 79 s.

Ewa Wieczorkowska, *Niby nic... a tak wiele*, Morpho, Sieniawa Żarska 2018, 138 s.

Zielonogórcy Sybiracy, pod red. nauk. Czesława Osękowskiego, Stowarzyszenie na Rzecz Pomocy Zesłańcom Sybiru, Zielona Góra 2018, 614 s.

Katarzyna Justyna Zychła, *Rezerwacja dla dwojga*, eMBePe: Stowarzyszenie Wspierania Inicjatyw Kulturalnych „Dwukropek”, Żary 2017, 90 s.

AUTORZY NUMERU

Agnieszka Aleksandrowicz

Urodziła się w 1977 r.; ukończyła animację społeczno-kulturalną w zakresie animacji kulturalno-społecznej oraz oligofrenopedagogikę. Do tej pory publikowała w miesięczniku „Życie nad Odrą” głównie opowiadania, reportaże i recenzje. Od niedawna młodsza bibliotekarka w Centrum Bibliotecznym dla Dzieci i Młodzieży w Zielonej Górze.

Krzysztof Bąkowski

Członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Dyrektor WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, dyrektor artystyczny Festiwalu Filmu i Teatru Kozzi Gangsta Film.

Martyna Budnik

Studentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, laureatka studenckiego Konkursu na Wawrzynową Recenzję, której organizatorem jest Studenckie Koło Literaturoznawców UZ.

Barbara Curzytek

Urodziła się w 1993 r. w Zielonej Górze. Absolwentka studiów magisterskich na kierunku filologia hiszpańska na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Obecnie na studiach doktoranckich tegoż Uniwersytetu. Do jej zainteresowań naukowych należą: praktyka przekładu literackiego z języków hiszpańskiego i katalońskiego, literaturoznawstwo hispanoamerykańskie, literatura, kultura i społeczeństwo Kolumbii, a także animal studies i prawa zwierząt.

Edward Derylak

Urodził się w 1953 r. w Harasiukach nad Tanwią. Absolwent WSOW Panc. w Poznaniu i WSP w Zielonej Górze. Prozaik. Autor tomu opowiadań *Styro* (2004), powieści *Cień lasu* (2008), opowieści (z Tomaszem Lipowskim) *Czołgiści, czołgiści...* (2011), opowiadania *Per ardua ad astra* (wersja polsko-angielska, 2009) i tomu opowiadań *Wedelmann* (2014). Współautor kilkunastu almanachów i antologii. Pomysłodawca i redaktor *Gawęd żagańskich* Adama Stawczyka (2008). Współredaktor książki-albumu *Dwudziesty dziewiąty w obiektywie* (2014). Swoje opowiadania publikował w takich czasopismach jak: „Pro Libris” (Zielona Góra), „Aspekty” (Biłgoraj), „Temat” (Bydgoszcz), „Własnym Głosem” (Warszawa). Laureat kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów literackich. Należy do Grupy Literackiej „Dysonans” z Wrocławia. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

Renata Diaków

Filolog, nauczycielka, scenarzystka, pisarka. Prowadzi Rodzinny Teatr Lalek „Pinokio”. Mieszkanka Nowogrodu Bobrzańskiego, laureatka 7. edycji konkursu Lubuski Laur Oświaty organizowanego przez Sejmik Województwa Lubuskiego. Finalistka konkursu na książkę roku 2014 – jej powieść *Artysta zmarłych wstały* była nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Zainteresowania: literatura, filozofia, teatr.

Elżbieta Dybalska

Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Piotr Gulewski

Student anglistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim. Prozaik.

Karol Graczyk

Urodził się w 1984. r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca konkursów literackich. Juror, były członek kilku grup artystycznych, z których wystąpił. Od 2006. r. jest redaktorem stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – Polskie Kulturalne Podziemie (www.pkpzin.com), w którym publikują zarówno młodzi, jak i uznani artyści. Od 2007 r. jest współpracownikiem redakcji kwartalnika „Szafa”. W 2008 r. założył „Stajnię poetycką”, której celem jest pomoc młodym, zdolnym poetom w stawianiu pierwszych kroków literackich. Redaktor kilku książek poetyckich. Organizuje spotkania z pisarzami. Swoje teksty publikował m.in. we „Frazie”, „Akancie”, „Szafie”, „ArtPapierze”, „Obrzeżach”, „Kozimrynku”, „Tyglu Kultury”, „Łabuziu”, „Migotaniach”, „[fo:pa]”, „Śladzie” i „Pinezce”. W dorobku ma książki poetyckie, m.in. *Oko i oko* oraz *Osiemdziesiąt cztery*. Wraz z Markiem Wojciechowskim prowadzi Pracownię Literacką w Gorzowie Wlkp.

Halina Jerulank

Rusycystka, wieloletnia nauczycielka. Od paru lat zajmuje się pisaniem wierszy, rysowaniem. Publikuje w „Gazecie Lubuskiej”. Wydała tomik poetycki pt. *Przed Tobą* (2018).

Dorota Kaczmarek

Starszy kustosz, kierownik Działu Promocji w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagog, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współ-

pracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia w konkursie „Polska i Świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Obecnie stała recenzentka (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Oprócz literatury jej pasją są języki obce, muzyka klasyczna oraz próby naukowego ujęcia globalnych problemów współczesnego świata. Od kilku lat uczy się śpiewu.

Bartosz Konstrat

Poeta, prozaik, z wykształcenia animator i menedżer kultury. Zwycięzca wielu prestiżowych konkursów literackich (m.in. 9. edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Biereżina dla autorów przed debiutem, Konkursu Poetyckiego dla Młodych Twórców im. Zbigniewa Dominiaka, o Laur Czerwonej Róży, Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „...jak liść” w Jaworze, 15. Tyskiej Zimy Poetyckiej, 19. edycji OKL im. Eugeniusza Pauksztty w Kargowej). Nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” w kategorii książka roku w 2010 za tom *Samochody i krew* i w 2014 za tom *Dzika kość. Encyklopedia utraconych szans*. Obecnie mieszka w Warszawie.

Hubert Kopacz

Urodził się w 1994 w Świebodzinie, mieszka w Poznaniu. Student kulturoznawstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, poeta. Debiutował na łamach „Pegaza Lubuskiego” w 2013 roku. Na podstawie jego sztuk Konrad Stala wyreżyserował w 2014 r. spektakl *Stosunki między L...*

Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek

Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Z zawodu nauczycielka polonistka.

Daniel Koteluk

Historyk, regionalista, autor książek naukowych, absolwent studiów doktoranckich Uniwersytetu Zielonogórskiego (2005). Doktorat poświęcił Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu w województwie zielonogórskim w latach 1950-1956. W 2014 r. uzyskał na Uniwersytecie Wrocławskim stopień doktora habilitowanego w zakresie historii, specjalność: historia najnowsza Polski. Laureat 7. Lubuskiego Wawrzynu Naukowego (2011). Współtworzy monografie miast, publikuje w historycznych pismach naukowych.

Alina Kruk

Poetka, szefowa grupy OKSYMORON w UTW w Zielonej Górze.

Władysław Łazuka

Urodził się w 1946 r. Poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także występuje na antenie PR i TVP. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszczynie.

Klaudia Małagocka

Studentka filologii polskiej na UZ. Poetka, reportażystka.

Klaudiusz Mirek

Urodził się w 1991 r., z wykształcenia edytor, obecnie student filologii polskiej. Pasjonat literatury posthumanistycznej, fantastyki, poezji oraz eseistyki. Interesuje się wykorzystaniem teorii językoznawczych w literaturoznawstwie i budową światów allotopicznych. Mieszka w Zielonej Górze.

Alina Polak-Woźniak

Dr historii, specjalizuje się w odczytywaniu starych dokumentów, rękopisów i pamiętników. Do jej zainteresowań naukowych należą historia i archeologia słowiańszczyzny oraz średniowiecza, a także kultura materialna dwudziestolecia międzywojennego w Polsce i Europie. Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie uczy się języka japońskiego.

Agata Poważńska

Urodziła się w 1995 r., z wykształcenia pedagog resocjalizacyjny, obecnie studentka filologii angielskiej. Miłośniczka literatury dystopijnej, fantasy oraz filozofii. Interesuje się językoznawstwem i metodami kreacji światów. Mieszka w Wałbrzychu.

Marcin Radwański

Urodzony w Zielonej Górze, gdzie nadal zamieszkuje. Wielbiciel kryminałów, literatury obyczajowej i poezji. Autor wielu opowiadań, których większość ukazała się drukiem w magazynach literackich. Publikuje również na łamach portali internetowych („wZielonej” przy Uniwersytecie Zielonogórskim, „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”, „Ośrodek Postaw Twórczych – Helikopter”, „Nowa Gazeta Literacka”, „Cegła”, „Litenet”, „2Miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych”). W 2014 r. wydał w formie e-booka zbiór opowiadań pt. *Skok w przepaść* i powieść kryminalną *Nieprzypadkowa ofiara* (w 2015 r. wydał wersje papierowe obu książek). Jest autorem tomiku poezji pt. *Czekając na...* Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za 2013 r.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilku książek poetyckich, współautor antologii i szkiców literackich. Należy do Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze (obecnie wiceprezes) i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Justyna Stachura

Urodziła się w 1987 r. w Lubinie na Dolnym Śląsku, obecnie mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Mgr informacji naukowej i bibliotekoznawstwa oraz edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej. Poetka, bibliotekarz w WiMBP. Organizator warsztatów i konkursów dla dzieci i młodzieży. Autorka tomiku poezji *Opleciona czarami*.

Sandra Stempniewska

Urodziła się w 1992 r. w Zielonej Górze. Bibliotekarka w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, dziennikarka, doktorantka UZ na kierunku socjologia. Debiutowała jako 19-latką powieścią *3 Płatki Kamelii* wydaną w 2011 r., pod nazwiskiem Lara la Voe. Publikowała m.in. na łamach magazynu „Imperium Kobiet” i w portalu „Queer.pl”, jest także związana z lokalnymi mediami, dla których pisze o życiu kulturalnym, społecznym i politycznym Zielonej Góry. Jej zainteresowania naukowe oscylują wokół seksualności człowieka, teorii queer i gender. W przeszłości związana z Teatrem Tańca i grupą „Proforma” dra Marka Zadłużnego – obecnie Pracownia Teatru Tańca.

Anna Wiwiana Szewczuk

Urodziła się w 1967 r. w Sulechowie. Absolwentka filologii polskiej i filologii rosyjskiej w WSP w Zielonej Górze. Poetka zamieszkała w Zielonej Górze.

Jerzy Szewczyk

Urodził się w 1937 r. w Łasku. W Zielonej Górze mieszka od 1960 r. Pracę zawodową rozpoczynał w fabryce wagonów, później przez wiele lat kierował Państwową Inspekcją Pracy w województwie lubuskim. Jest autorem wielu publikacji zawodowych i społecznych, m.in. w „Ateście – Ochronie Pracy”, „Przyjacielu przy Pracy”, „Nadodrzu”, „Gazecie Lubuskiej”, „Pro Libris”, „Przeglądzie Technicznym”. Był aktywnym działaczem społecznym, pełniąc ważne funkcje w TKKF, NOT, SIMP, spółdzielczości mieszkaniowej, Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Greckiej. Podróżnik i fotograf. Od kilkunastu lat członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Animator kultury (m.in. Dzień Spadającego Liścia, Order Szczęsnej Podkowy). Autor kilku tomików wierszy.

Mirosława Szott

Urodziła się w 1987 r., pochodzi ze Zbąszynka, obecnie mieszka w Zielonej Górze. Poetka, krytyczka literacka, autorka dwóch książek poetyckich (*Pomiary Zamku*, *Anna*). Ukończyła studia z zakresu filologii polskiej i pedagogiki na Uniwersytecie Zielonogórskim, choć zawsze chciała studiować filozofię. Doktor nauk humanistycznych. Od 2009 r. członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze. W marcu 2013 r. jej wiersze były czytane na antenie Radia Zachód w audycji „Radiowa Książka Poetycka”. Lubi górskie wędrówki i podróże pociągami.

Wojciech Śmigieński

Urodził się w 1952 r. w Zielonej Górze. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Poeta, krytyk, tłumacz. Debiutował zbiorem *Nieobecny nie będzie dziedziczył* (Ossolineum 1977). Opublikował kilka książek poetyckich. Jest autorem książki eseistycznej o Andrzeju Bursie i tomu przekładów Václava Hrabě. Pierwszy redaktor „Obecności”, kwartalnika literackiego wydawanego poza cenzurą w latach 1983-1990 we Wrocławiu. Był kierownikiem literackim w Lubuskim Teatrze im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Obecnie mieszka i tworzy we wsi Droniki, w pobliżu Jeziora Sławskiego.

Adam Bolesław Wierzbicki

Urodził się w 1972 r. w Krośnie Odrzańskim. Autor kilku zbiorów poetyckich; nagradzany i wyróżniany w kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursach literackich. Mieszka w Dłużku pod Lubskiem.

Anna Witkowska

Mieszkanka Zielonej Góry, animator kultury. Bibliotekarz w WiMBP. W trakcie studiów na Uniwersytecie Zielonogórskim członkini Stowarzyszenia Animatorów Kultury „Vaganti”, w ramach którego brała udział w warsztatach teatralnych, m.in. z Mikołajem Wiepiewem oraz współtworzyła wraz z grupą studentów liczne etudy oraz spektakle, prezentowane w trakcie Dni Nauki i na festiwalach w Zielonej Górze czy Cottbus. Pasjonatka sztuk wizualnych z malarstwem na czele – szczególnie polskich kolorystów; prywatnie również amatorsko maluje.

Edyta Wysocka

Prozaiczka, laureatka 3. miejsca w 19. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pauksztzy w Kargowej.

8. FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ PROZA POETÓW

Zielona Góra, 17-25 listopada 2018

17 listopada / sobota

Czytanie poezji Anny Tokarskiej przez aktorki Lubuskiego Teatru: **JOANNĘ WĄŻ** i **ANNĘ STASIAK** w autobusie MZK linii nr 6 w godz. 13.00-17.00.

18 listopada / niedziela

GODZ. 17.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA
INAUGURACJA FESTIWALU

Czytanie wybranych tekstów poetyckich Anny Tokarskiej, patronki Festiwalu przez gościa **KATARZYNĘ GNIEWKOWSKĄ**.

PROMOCJA KSIĄŻKI

Koniec świata wartości Krystiana Lupy i Łukasza Maciejewskiego.

Spotkanie z udziałem autora **ŁUKASZA MACIEJEWSKIEGO** oraz **KATARZYN GNIEWKOWSKIEJ**, aktorki z wieloma kreacjami zrealizowanymi w Starym Teatrze w Krakowie pod kierownictwem Krystiana Lupy, wybitnego reżysera teatralnego, scenografa, dramaturga. Aktorka filmowa i teatralna jest także jedną z osiemnastu bohaterek trzeciego tomu *Aktorki. Odkrycia* Łukasza Maciejewskiego. Prowadzenie: ANDRZEJ NOWAK.

19 listopada / poniedziałek

GODZ. 18.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Spotkanie autorskie z **DOROTĄ MASŁOWSKĄ**, pisarką, felietonistką, kompozytorką, piosenkarką, producentką muzyczną, laureatką Nagrody Literackiej Nike za powieść *Paw królowej*, autorką m.in. powieści *Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną*, *Kochanie zabiłam nasze koty*, poematu *Inni ludzie*, dramatów *Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku*, który wystawiany był m.in. w Australii, USA i na Sachalinie, *Między nami dobrze jest*, za który otrzymała nagrodę Ministra Kultury. W 2014 roku pod pseudonimem Mister D ukazała się jej debiutancka płyta *Spółeczeństwo jest niemiłe*. Prowadzenie: DR ANNA MARCHEWKA.

20 listopada / wtorek

GODZ. 18.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Spotkanie autorskie z **MARIUSZEM SZCZYGŁEM**, dziennikarzem, reportażyście, tłumaczem, laureatem wielu prestiżowych nagród – Europejskiej Nagrody Książkowej, nagrody literackiej Parlamentu

Europejskiego, autorem bestsellerowych książek *Gottland* i *Zrób sobie raj*. Mariusz Szczygł jest także twórcą antologii polskiego reportażu po 1989 roku *20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła*, dwutomowej antologii polskiego reportażu *100/XX*. Najnowsza jego książka to *Projekt: prawda*. Razem z Wojciechem Tochmanem i Pawłem Goźlińskim założył Instytut Reportażu oraz księgarnię reporterów Wrzenie Świata.

Prowadzenie: DR ANDRZEJ BUCK.

21 listopada / środa

GODZ. 18.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Spotkanie autorskie z **MAŁGORZATĄ GUTOWSKĄ-ADAMCZYK**, pisarką, historykiem teatru, scenarzystką filmową, dziennikarką, autorką m.in. 13. *Poprzeczna* – Książka roku 2008 przyznana przez Polską Sekcję IBBY, *Paryż, miasto sztuki i miłości w czasach belle époque*, *Kalendarze*, serii *Cukiernia pod Aniołem* oraz scenariuszy seriali filmowych: *Tata, a Marcin powiedział* i dialogów *Na Wspólnej*. Prowadzenie: DR ANNA MARCHEWKA.

22 listopada / czwartek

GODZ. 18.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Promocja tomiku poetyckiego *Spojrzenie spod kapelusza* **KATARZYN JAROSZ-RABIEJ**, poetki, członkini Związku Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze i Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Autorka wydała tomiki poetyckie: *Dedykacje*, *Noc nad miastem*, *Smak lebiody*. Jest laureatką wielu konkursów literackich, m.in. w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Szczecinie i Zielonej Górze. Prowadzenie: JOLANTA PYTEL.

GODZ. 19.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Premiera filmu dokumentalnego *Nieparzysta. Opowieść o Annie Tokarskiej*. Scenariusz: Anna i Maciej Klaudelowie. Montaż: Justyna Poniatowska. Realizator: Paradoxs Film Studio i LSMDK Debiut. Konsultanci: dr Andrzej Buck, dr Robert Rudiak, dr Mirosława Szott.

23 listopada / piątek

GODZ. 17.00, MEDIATEKA GÓRA MEDIÓW

Promocja tomiku poezji *Niemateria* Sebastiana Piórkowskiego. Prowadzenie: SANDRA STEMPNIEWSKA.

GODZ. 18.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Spotkanie autorskie z **MAŁGORZATĄ KALICIŃSKĄ**, powieściopisarką, autorką m.in. *Fiołków na trzepaku*, *Zwyczajnego faceta*, *Lilki*, serii *Rozlewisko: Powroty nad rozlewiskiem*, *Dom nad rozlewiskiem*, *Miłość nad rozlewiskiem*, zbioru esejów: *Widok z mojego okna* oraz poradnika *Kuchnia znad rozlewiska*.

Prowadzenie: DR ANNA MARCHEWKA.

25 listopada / niedziela

GODZ. 17.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA
KRAKOWSKI SALON POEZJI W ZIELONEJ GÓRZE

Czytamy Tokarską, wiersze dla Tokarskiej! – z udziałem aktorki Elżbiety Donimirskiej, Jolanty Pytel, Agnieszki Ginko, Bronisławy Raszkiewicz, Kazimierza Wysockiego.

Gospodarz Salonu: DR ANDRZEJ BUCK.

Wydarzenie połączone z promocją nowego numeru pisma literacko-kulturalnego „Pro Libris”.

POSTSCRIPTUM FESTIWALU

29 listopada / czwartek

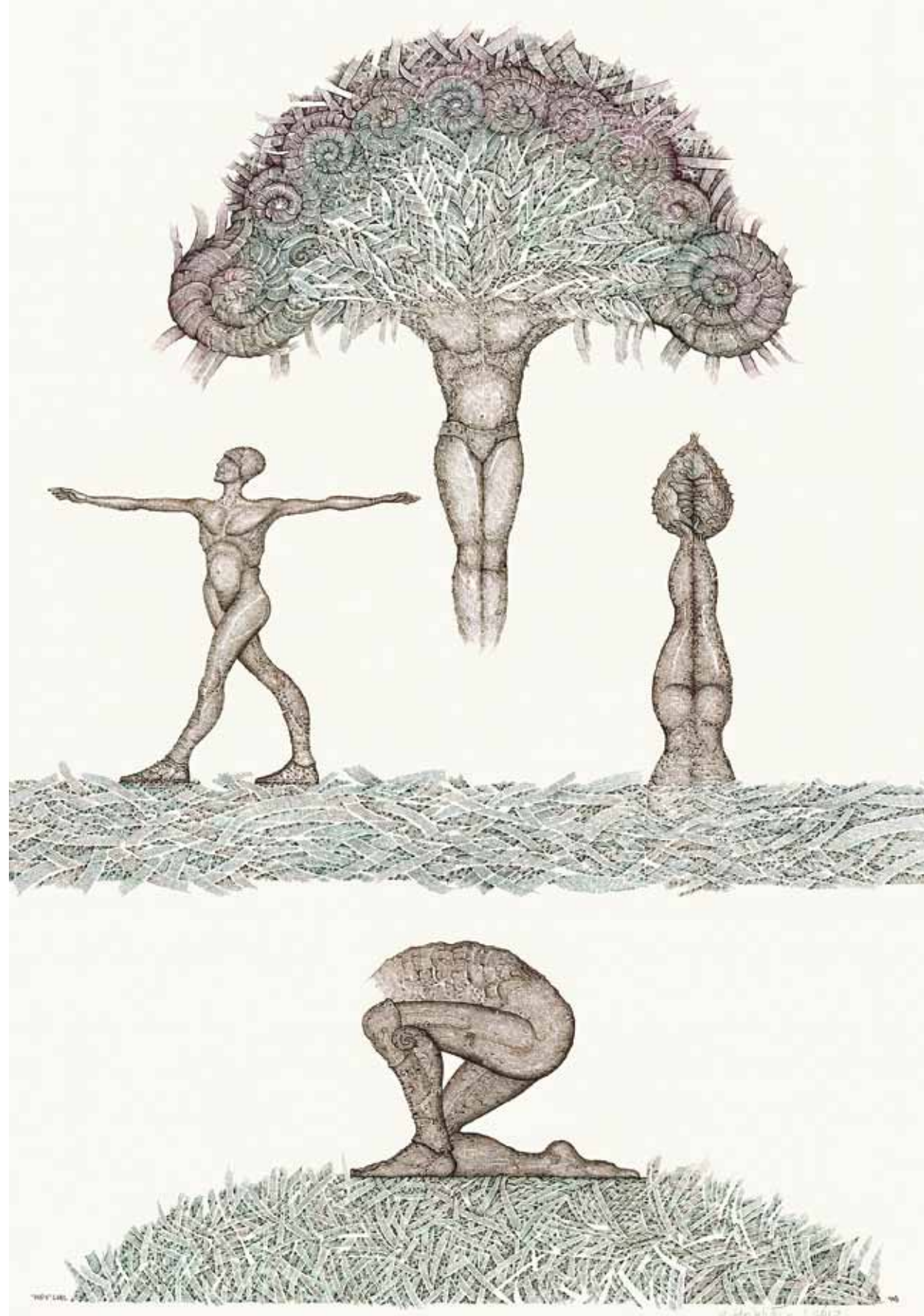
GODZ. 18.00, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA

Promocja książki *Relacje: Warszawa – Zielona Góra, Gdańsk. Jerzy Leszin-Koperski – Andrzej K. Waśkiewicz* z udziałem ANNY SOBECKIEJ I MAGDALENY KOPERSKIEJ.

Prowadzenie: DR ANDRZEJ BUCK.

Ponadto spotkania autorskie w bibliotekach publicznych południowej części województwa:

21 listopada	Małgorzata Kalicińska	godz. 17.00	Biblioteka w Żarach
22 listopada	Małgorzata Gutowska-Adamczyk	godz. 16.00	Biblioteka w Świebodzinie
22 listopada	Małgorzata Kalicińska	godz. 17.00	Biblioteka w Babimoście
23 listopada	Małgorzata Gutowska-Adamczyk	godz. 17.00	Biblioteka w Żaganiu





Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

0 6



9 771642 599108

PRO
LIBRIS